ZABAWKI
WIERSZEM POLSKIM.
PRZEZ
JOZEFA RZEWUSKIEGO
STAROSTĘ DROHOBYCKIEGO
GENERAŁA LEYTNANTA
WOYSK KORONNYCH.

ROKU 1760.

w WARSZAWIE.
w Drukarni J. K. Mći y Rzpltey XX. *Scholarum Piarum.*

REGESTR ZABAWEK.

ZOŁKIEWSKI,
TRAGEDYA.

DO
J. O. XIĘZNY JMći
Z XIĄZĄT CZARTORYISKICH
LUBOMIRSKI
STRAZNIKOWY WIELKIEY KORONNEY

JAgełłow z Oyca, wielu Wodzow z Matki,
Krwią zacna; Cnot twych znacznieyszá wyborem
Xiężno; co z Ciebie lustr biorą Mężatki,
Co ślicznym iesteś Zon chwalebnych wzorem,
Co twa Pobożność, Piękność, y dostatki
Słyną, z Polskiego narodu honorem,
Co Wuja mego uczyniłaś szczęście,
Przez twe z wyrokow Niebieskich zamęście.

PRzyim ten wierſz podły, a w Tragiczney Scenie,
Gdy niewidziany dotąd, Polak ſtawa,
Niech go twoy zaſzczyt, w ſzacunku y w cenie
Trzyma, niech ſłynie Zołkiewſkiego ſławą:
Jeźlić zaś moie choć niewdzięczne pienie,
Y ta do guſtu przypadnie zabawa,
A co wyświadczyć zechceſz, dla Sieſtrzeńca,
Ze mnie Młodziana, uczyń Nowożeńca.

ARGUMENT.

GRacyan, Hoſpodar Wołoſki, z Turkami, ktorym hołdował zniechęcony, ofiarował Zygmuntowi Trzeciemu Krolowi Polſkiemu, przyłączyć Wołoſczyznę do Rzeczypoſpolitey, byle Krol, zaſczycił go Woyſkiem przeciwko Turkom. Krol z Senatem rozkazał Zołkiewſkiemu Wielkiemu, y Koniecpolſkiemu Polnemu, Hetmanom Koronnym, aby z Woyſkiem Polſkim do Wołoſczyzny wtargnęli, gdzie iuż zaſtali nierownie licznieyſze Turkow y Tatarow ſyki. Hetmani, wiele zwycięzkich odporow, nieprzyiacielowi dali, aż naoſtatek Woyſko Polſkie uſtawicznemi utarczkami zmnieyſzone, prawie wſzyſtko pod Cecorą poległo, Hetman Wielki Zołkiewſki ścięty, Koniecpolſki Hetman Polny, w niewolą wzięty. Oſoby Praxedy y Salomei, Corek Gracyana Hoſpodara; także oſoby Złotopolſkiego wielkiego Rycerza na tey Woynie, y Tomſzy, ſą prawdziwe. Okropność tragedyi, uławodzić chciałem miłością Złotopolſkiego, z Praxedą Corką Gracyana zaręczonego. Gniew zawziętey Salomei drugiey Corki Gracyana, tudzież zdrady Tomſzy, obraz ſerc złemi żądzami zepſowanych, wyſtawią oczom Czytelnika.

AKTOROWIE Y AKTORKI.

ZOŁKIEWSKI, Hetman Wielki Koronny.

KONIECPOLSKI, Hetman Polny Koronny.

PRAXEDA, Corka Gracyana, Hoſpodara Wołoſkiego.

SALOMEA, Sioſtra Praxedy.

ZŁOTOPOLSKI, Pułkownik Woyſk Polſkich, zaręczony z Praxedą.

TOMSZA, Pułkownik Woyſk Wołoſkich, ſtaraiący ſię o Salomeę.

Scena, ieſt w Obozie Polſkim, pod Cecorą na Wołoſzczyznie.

AKT PIERWSZY,

SCENA PIERWSZA.

ZŁOTOPOLSKI y PRAXEDA.

ZŁOTOPOLSKI.

O trzyi z łez piękne oczy, y osuſz zrzenice,
Przyrodzonym rumieńcem przyozdob twe lice:
Bog nam zdarzył zwycięſtwo, Turczyn porażony
Z wielką klęſką, w dalekie uſzedł od nas ſtrony.
Jak kurzawa, gdy wiatry zmiataią ią z ziemi,
Poſzedł w rozſypkę Turczyn przed ſzyki Polſkiemi:
A garſtki bitnych ludzi zlękſzy ſię oręża,
Doznał, że nie gmin Woyſka, lecz męſtwo zwycięża.
Wątpię żeby ſię wrocił, y Kray twoy Wołoſki,
Rozumiem, że oczyści z Turkow, wyrok Boſki.
Lecz Praxedo, coż to ieſt proſzę? coż ſię dzieie?
Ze gdy ſzczęście nad naſze ſprzyia nam nadzieie,
Kiedy nad ſpodziewanie wſzyſtko ſię nam darzy,
Smutek iakiś w twey ieſzcze wydaie ſię twarzy?

Po-

PRAXEDA.

Powiem, bo ſerce moie, pewnie mię nie zdradza,
Gdy w tobie, ſame Cnoty, kochać mi doradza:
Więc z ufnością, mych troſkow zwierzę ci ſię tłumu,
Choć wiem, że ſłabość mego zganiſz mi rozumu.
Wſzyſtkoć wyiawię: wiedzże, że łzy moie kryię,
A żalami ſtrapiona, w ſmutku ledwie żyię,
Boię ſię o Oyczyznę, o Woyſko, o ſiebie,
Lecz bardziey niżli o mnie, boię ſię o Ciebie.

ZŁOTOPOLSKI.

Co ſłyſzę! mnie przekłada, nad ſiebie Praxeda?
Y ſwemi mnie to uſty, łaſkawie powieda?
Niechay umrę, niech u nog twych oſtatnie tchnienie
Złożę; a kontent poydę pod grobowe cienie!
Szczęśliwy, że ta będzie ma chluba y chwała,
Złotopolſkiemu, piękna Praxeda ſprzyiała.

PRAXEDA

Kocham twe cnoty, kocham w tobie Niebios dary,
Jm czynię winne ſerca moiego ofiary.
Wie Bog, y ty, iak od tey doby y godziny,
Ktorey z rąk Oyca danam tobie w zrękowiny;
Praxeda, wielkie twoie zważaiąc przymioty,
Ceni wſzyſtkie; nie kocha procz ſerca y cnoty.
Smieleć mowię: bądź pewny, Praxeda nie płocha,
Twą urodę mniey waży, lecz męſtwo twe kocha.
Coć dziś wyznaie, wyzna na ſzlubnym kobiercu,
Jż innych żądz płci ſwoiey, nie zna w ſwoim ſercu,
Tylko miłość cnot twoich, ktorą w lubey parze
Z Złotopolſkim, przed święte ponieść chce Ołtarze.
Toć z Tobą zaręczona Praxeda, nie błądzi,
Ze ci ſprzyia tym ſercem, ktorym cnota rządzi.

Ale

Ale wroćmy się proszę do pierwszey rozmowy,
Boiazń moię krotkiemi opowiem ci słowy.
Sen straszny, w śrzod okropney nocy, widok srogi
Pokazawszy mi, wielkiey nabawił mnie trwogi.
Widziałam, ach! trętwieię ze strachu! y ieszcze
Trwożą się zmysły moie, przyszłey klęski wieszcze;
Widziałam wprawdzie we śnie, ale iak na iawie,
Naprzod iaki Lustr twoiey dzisiay przybył sławie,
Widziałam, iakeś laurem piękne zdobiąc skronie,
Zwycięstwo nad Turkami naszey ziednał stronie.
Słyszałam, iak twe męstwo przed Polskiemi szyki
Pochwały Wodzow, y Woysk głosiły okrzyki!
To się wysniło: ale dalsze snu widoki,
Niechay od nas odwrocą Niebieskie wyroki,
Y co się ma dziać z wami dziś, nim zachod słońca
Nastąpi, żal mi nie da powiedzieć do końca.
Omdlewam, serce we mnie ze strachu się wzrusza,
Smutek, płacz, słabość, na mnie milczenie wymusza.

ZŁOTOPOLSKI.

Wdzięczne oczy, płeć piękney twarzy nad śnieg bielszą,
Orzyżw męstwem Praxedo, y pokaż się śmielszą.
Cały świat ze mną trzyma, że sen płonna mara,
Nie wart, by mu u ciebie była dana wiara.
Ty ktoraś iest płci twoiey ozdobą naywiększą,
Nie bądź nad insze Damy trwozliwszą y mięksżą.
Doskonałość tak wielką, rozsądek tak cudny,
Czyż powinien zatrwożyć ieden sen obłudny?
To serce, ktorym rozum twoy rządzi tak pięknie,
Gdy go na pomoc weźmiesz, czyliż się snu zlęknie?

PRAXEDA.

Ach! bodayby to był sen obłudny y płonny,
Bodayby nie był wyrok Niebios nieuchronny.

Bodaybym ia tę klęſkę mą głową zaległa,
A Ciebie prędſzym krokiem do śmierci ubiegła.
Widziałam, ach truchleię! alić zgraia liczna,
Y gmin naſzych, ... omdlewam!

Z Ł O T O P O L S K I.

Już Praxedo ſliczna,
Zwycięż cnotą ſtrach płonny, dokończ ſnu powieści,
Pokaż ſerce mężnieyſze nad umyſł niewieſci.

P R A X E D A.

Dokończę, bo twa wola wiele u mnie może.
Ty, ſen ſtraſzliwy w radość przemień wielki Boże!
Widziałam Woyſka Polſkie, że z hukiem y wrzawą,
Ruſzaiąc ſię, ſwoy oboz zacmiły kurzawą,
Tak, że z za podnieſionych chmurami tumanow,
Długom nie mogła widzieć Pułkow ni Hetmanow.
Dopiero iak proch opadł, gdym rzuciła okiem
Na Oboz, ztworzyłam ſię okropnym widokiem,
Ze Woyſko, ktoremu Bog dziś rano tak ſzczęści,
Zmnieyſzyło ſię do czwartey liczby ſwoiey części.
Garſtka was pozoſtała wprzod umrzeć ochotna,
Niźli by ią ſkaziła ucieczka ſromotna.
Wtym ſpoyrzę, alić ſmutnych ſępow wielka zgraia,
Siada od ſzykow waſzych na dwie lub trzy ſtaia.
Daley patrzę, aż widzę złego wieſzcza kruka,
Ze ſię u Hetmańſkiego zawieſza buńczuka.
Wtym ſłyſzę głos twoy temi budzący mię ſłowy:
Oſtatek ſnu zawiera wyrok naſz ſurowy,
Praxedo; otworz ze ſnu okropnego oczy,
Dziś w wieczor, twa zrzenica wiele łez wytoczy.
Natychmiaſt ocknełam ſię z przeſtrachem y z drzenięm,
Folgę ſercu wylanym czyniąc łez ſtrumieniem.

ZŁOTO-

ZŁOTOPOLSKI.

Niech ſię mężne twe ſerce płonnym ſnem nie trwoży,
Nie ſen los naſz ukaże, ale wyrok Boży.
Często ſię myli iaſnym okiem patrząc człowiek,
Jak że ſię nie ma mylić wzrok zamkniętych powiek?
Słowem; o przyſzłey Boga łaſce, albo gniewie,
Nikt z nas, nie tylko przez ſen, lecz na iawie nie wie.
Wierzmy Praxedo, że ſnu twego płonna trwoga,
A czekaymy wyrokow naſzych z ręki Boga.

PRAXEDA

Wielki Boże! uſpokoy ſnu mego przeſtrachy,
Y ſtrzymay nam grożące twey ręki zamachy.
A iezli Woyſka naſze ſtaczać będą bitwy
Przyim za niemi niegodne łzy me, y modlitwy.

SCENA DRUGA.

ZŁOTOPOLSKI, ZOŁKIEWSKI, y KONIECPOLSKI.

ZOŁKIEWSKI.

Wybacz proſzę, żem przerwał, ſchodzące tak mile,
Z twą Praxedą ſwobodne dwoch pięknych ſerc chwile,
Winſzuię ci, że twoie, rownym ſzczęściem gości,
Y w cudnych męſtwa dziełach, y w ſłodkiey miłości.
Waleczny twey odwadze, Hetman z Woyſkiem przyzna,
Ze dziſieyſze zwycięſtwo winna ci Oyczyzna.
A piękna twa Praxeda biorąc cię za męża,
Swiadczy, że cnot twych miłość, iey ſerce zwycięża.

ZŁOTOPOLSKI.

Wielki Wodzu, tyś wygrał bitwę, nie ia, ani
Ten zwycięża, kto służy, lecz ten kto hetmani.
Dość mam honoru, że mi pomieścić się zdarza,
Pod władzą tak sławnego krwi Polskiey szafarza.
W Wołoszech na południu, w Moskwie na pułnocy,
Polak słynię zwycięztwem, twey władzy y mocy.
Car wzięty na Stolicy, laur uwił twey głowie:
Y w Stambule z Cesarzem niech drzą Janczarowie.

KONIECPOLSKI.

Waleczna dzielność twoia, y wielkie twe męstwo,
Ziednały dziś Oyczyznie, y Woysku zwycięstwo.
Day Boże, aby prędko przyszła czasu doba,
Gdy na Seymie Hetmani pochwalą cię oba.
Ta, ktorąś dziś pokazał, rycerska odwaga,
Niechay się coraz bardziey, y wsławia y wzmaga.
Bodayby się rodzili tak mężni, y tacy
Jak ty, ludzie; a będą zwyciężać Polacy.

ZŁOTOPOLSKI.

Pochwały Wodzow, ziednać sobie, krwi okupem
W boiu mężnie stawaiąc, w oczach ich paść trupem,
Powołanie iest nasze; a krwawą śmierć niczym,
U nas zowiemy, tylko za powinność liczym.
Jezli nam Bog zwycięztwo zdarzy, to w tey mierze,
Nie my, lecz Wodz, z wygraney lustr naypierwszy bierze,
Jego są nasze czyny, należy mu zgoła
Woysk, ktorym on hetmani, śmierć, krew, y pot czoła.
Gdybym tylko mogł na ich roskazy bydź zdolny!
Teraz odchodzę; Wodzom zostawiam czas wolny.

SCENA TRZECIA.

ZOŁKIEWSKI y KONIECPOLSKI.

ZOŁKIEWSKI.

Kochany moy Kollego, y ty ieden z wielu
Naypodufalſzy w życiu moim Przyiacielu.
Niech mi ſię ieſzcze godzi kochać cię iak Zięcia,
Choć ma Corka, twa Zona, zeſzła bez dziecięcia.
Tobie ſerce otworzę, tobie poufale
Wyiawię y wynurzę taiemne me żale.
Aby, kiedy dokonam y życia y doli,
Strzegłeś ſię na mym ſtopniu, tego, co mnie boli.
Od młodości do białey woiuiąc ſiwizny,
Z razu nic w zyſkum nie miał, tylko krew y blizny.
Potym, ſzczęście, przez wſzyſtkie, prowadząc mnie ſtopnie,
Sprawdziło, że honorow Cnota z czaſem dopnie,
Jezlim żaś wart Buławy, iezlim wart Pieczęci,
Swiadczą, Stolica, Państwo, Woyſko y Car wzięci.
Coż potym? gdy w tey zaſług mych y ſzczęścia porze,
Prawdą ſię nie obłudą rządziłem przy Dworze,
A żem miał uſta z ſercem, ſerce zgodne z cnotą,
Rzetelność moię zwano niebaczną proſtotą.
J z niey, w ſwych ſztucznych działach, boiąc ſię zawady,
Sprzyſięgli na mą zgubę knowali mi zdrady.
Bo widząc, że ſię z fałſzem nie mogę polubić,
Niżbym im miał przeſzkadzać, woleli mię zgubić.
Przyſzedł czas, w ktorym moich nieprzyiacioł ſztuka,
Nie bez nadziei ſkutku, klęſki moiey ſzuka,
Kſztałtnemi ſpoſobami, namowiwſzy Pana,
Aby niechcący ſtracił Woyſko y Hetmana.
Kazał mi Krol y Senat, z Polſki mi ſzeregi,
Graniczące z Turkami przebyć Dnieſtru brzegi,

Pod-

Poddaiącą się Polszcze obiąć Wołoszczyznę,
A tak obszernym Xięstwem powiększyć Oyczyznę.
Odpisałem, Stambulskie przyłączywszy listy,
Prawdziwych wiadomości dowod oczywisty,
Ze w stu tysięcy Turkow Skinder Pasza ciągnie
Do Wołoch, y to Państwo przed nami osiągnie.
Ze choć sobie naylepiey pocznę y poradzę,
To ledwie pięć Tysięcy w pole wyprowadzę.
Ze Hospodar nas płonną obietnicą łudzi,
Ze do boiu y tysiąc nie będzie miał ludzi.
Ze kto radzi, porwać się z nierownemi siły
Na Turkow, ten chce z Woyska usypać mogiły.
Taką Krolowi dawszy radę y przestrogę,
Wyraziłem, że z Woyskiem za Dniestr iść nie mogę,
Ze mi nie rzecz, krew Braci darmo lać y trwonić;
Bo czymże bym miał potym granic Polskich bronić?
Ale mię sztuczne rady przemogły u Dworu,
Obłudnym swoim zdaniom, dawszy lustr pozoru.
Udano mię, że Pańskie za nic mam rozkazy,
Y że Krol czuć powinien tak wielkie urazy.
Więc napisał powtornie, surowo y groźno,
Ze ufa, iż mu będę posłusznym, choć poźno.
Ze gdy Krol każe, Senat gdy radzi uprzeymie,
Jesli ich nie posłucham, odpowiem na Seymie.
Naostatek, Krol do mnie, tak skończył list długi:
Na dowod twey miłości, żądam tey posługi.
Cożem miał czynić? tylko oddać Woyska dolę,
Naprzod na Boską, potym na Krolewską wolę.
Przyszedłem tu, a chociaż zwycięztwo dzisieysze
Oświadcza nam, wyroki Niebios przychylnieysze;
Jednakże, z niezliczonym codzień walcząc ludem.
Nie możemy, ztąd wynieść życia, chyba cudem.
Powiedz mi w tym, twe zdanie, a Woysko z tey toni
Wyrwiy, mocą twey rady, dzielności, y broni.

Ja

Ja tu zginę, nie Turkow ręką, ale braci,
Ktorych sztuczna zawziętość, mnie y Woysko traci.
Znał mię Swiat sławnym Cara zwycięzcą: a przecie
Zwyciężony zostałem, w Polskim Kabinecie.
Jam nieprzyiacioł znosił, szablą w krwawym boiu,
Mnie sztuczna rada piorem zabiia w pokoiu.

KONIECPOLSKI.

Oycem mym zawsze będziesz, choć z Niebios wyroku,
Y iednego z twą corką, nie mieszkałem roku,
Łzy me, cnotom iey winne, są mym świadkiem iawnym,
Zem twoy Zięć, zniewolony obowiązkiem dawnym.
Bo drugą wziąwszy Zonę, choć ią kocham z duszy,
Po pierwszey, oko moie, z łez się nie osuszy.
Do tego, zwyczay niesie, w tym narodzie wolnym,
Ażeby się kochali, Hetman Wielki, z Polnym,
Jak Ociec z Synem; a w tey serc y myśli zgodzie,
Stawali przy Oyczystych Prawach, y swobodzie.
Więc iak Syn z Oycem, mowić będę, a me zdanie
Powiem ci wiernie, w naszym nieszczęśliwym stanie.
Już się stało, przez sztuki, y przemysły bratnie,
Ześmy wpadli Tatarskim gminom niby w matnie.
Ale Bog, y Zołkiewski, częste dał dowody,
Ze z większych niebespieczeństw, wyszliśmy bez szkody.
A kiedy ręka Boska, dzwigneła nas nie raz,
Ufam mocno, że nie da, zaginąć nam teraz.
Jle, że nieprzyiaciel, porażony znacznie,
Nie tak łatwo, utarczki nowe, z nami zacznie.
Bliskośmy też iuż Dniestru, a pewnie go za nic
Mielibyśmy, przyszedłszy do Oyczystych granic:
Do ktorych, w oczach moich, za twoim rozkazem,
Ruszyło się iuż Woysko, y Tabory razem.
Tabor tak umocniłem, y gęsto y ludno,
Ze nieprzyiacielowi przerwać by go trudno.

Dotąd

Dotąd też tłum Turecki, Woyſka nie uſtraſza:
Potrafi mu dać odpor, Bog, y ſzabla naſza.
Ja radzę bić ſię mężnie, a co nam Bog ſądzi,
Mile przyiąć, on dolą y łoſem Woyſk rządzi,
Tak zznieſie gmin Turecki, iak znioſł gmin Moſkiewſki,
Wielki Bog Oycow naſzych, y wielki Zołkiewſki.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA,

SALOMEA y PRAXEDA.

S A L O M E A.

Gdy luſtr nowy przybywa, z zwycieżkiego wieńca,
Skroniom zaręczonego z Praxedą Młodzieńca:
Kiedy twoy Złotopolſki męſtwem ſłynie wſzędzie,
Pomieść Praxedo, Sioſtrę, w winſzuiących rzędzie.
Do urody, y pięknych przymiotow Oſoby,
Sława y dzielność, wiele przydaią ozdoby:
Złotopolſkiemu, wſzyſtkie zamyſły ſię wiodą,
Męſtwem Turkow zwyciężył, Praxedę urodą.

P R A X E D A.

Wierz mi Sioſtro, że ſercu memu pochop ſłaby,
Do kochania go, wſzyſtkie ſą iego powaby,
Cnotę Złotopolſkiego, ſzacuie Praxeda,
Urodzie iego dotąd, żadnych pochwał nie da;
Wie iakie ſą w Panieńſkim powinności ſtanie,
Wie ſwoiey obowiązki płci: a pomniąc na nie,
Nie zna, iakim ſię ogniem, miłość w ſercu zarzy,
Kiedy ią wzniecą piękność, y miły wdzięk twarzy.

SALO-

SALOMEA.

Aniołow taka miłość ieſt, ſerce zaś ludzi,
Z Cnotą ſię bez piękności, y ztęſkni y znudzi.
Nie poludzku Praxedo, kochać byś ſię chciała,
Tak w Cnocie bez urody, iak w Duſzy bez ciała.

PRAXEDA.

Wybacz Sioſtro, że w ſerca moiego proſtocie,
Nieumiem ſię inaczey kochać, tylko w cnocie.
Znać, że twoy umyſł kunſztu miłości świadomſzy,
Kochaiącemu, lepiey umie, ſprzyiać Tomſzy.
My, iak Sioſtry, wzaiemnie kochaymy ſię obie,
A ſercem, podług woli naſzey, rządźmy ſobie.

SCENA DRUGA.

SALOMEA SAMA.

Uſtom mym, co cię ganią, ſerce ſię ſprzeciwia,
Y nad twemi ſię Sioſtro, cnotami zadziwia.
Bodaybym ia, wſtępuiąc w piękne twoie ſlady,
Brała z twych obyczaiow, chwalebne przykłady:
A poddaiąc me ſerce, pod rządy rozumu,
Nieznała żądz naciſku, namiętności tłumu.
Wiem, że gdzie piękność rządzi affektem, tam ſnadnie,
Serce rozumem, a nie rozum ſercem władnie.
Taki zaś, nam nie może bydź, tylko Tyranem,
Co, ſługą naſzym bywſzy, ſtanie ſię nam Panem.
Nieſzczęśliwa! iakiey dziś koſztuię goryczy,
Rozum moy to nagania, czego ſerce życzy.
A ia, żądzom obłudnym, daiąc ſię uwodzić,
Nieumiem, ſerca mego, z rozumem pogodzić.
Serce moie, pozorne daie mi przyczyny,
Że Sioſtry, z Złotopolſkim, ſpełzną zaręczyny,

Ze iey affekt, ku niemu, coraz bardziey ſtygnie,
Ze ſię tey oziębłości, Złotopolſki wzdrygnie;
Ze nikt nie zgadnie, w ſercu iego, miłość czyia
Przeważa, y czy Sioſtrze, czy mnie bardziey ſprzyia.
Bo kiedy, chwilę iaką czaſu, trawi u mnie,
Twierdzi, żem piękna, że go zabawiam rozumnie.
Jeżeli go zaś Sioſtra, od ſiebie odrazi,
Kochaiąc go me ſerce, cnoty ſwey nie ſkazi.
Z drugiey ſtrony, moy rozum, groźny y ſurowy,
Każe mi targać, pierwſze miłości oſnowy:
Przeſtrzega, że iak affekt raz ſię wkradnie w ſerce,
Prętko, płomień po małey wybuchnie iſkierce,
Ktory ſię, bardzo trudno, tłumi y ugaſza,
Y czaſem go zaleią łzy, czaſem krew naſza.
Jak ow nieſzczęſny ptaſzek, gdy padnie na łepie,
Chcąc wyiść z więzow, darmo ſię ſkrzydełkami trzepie;
Chociaż mu ſię gałązka, y poda y nagnie,
Nie wyzwoli ſię z więzow, z ktorych wyniść pragnie.
Tak gdy miłość, piękności, rzuci nam ponęty,
Uśidlonych krępuie, więzami y pęty.
A iako ſtrzały maiąc, tak y ſerce z ſtali,
Nigdy ſię nad więźniami ſwemi nie użali.
Ale tu Złotopolſki, wielkim krokiem śpieſzy,
Rozmowa z nim, zaſmuci mię, albo pocieſzy.
Będę z nim prowadziła dyſkurs, tak układnie,
Ze ſkrytość ſerca iego, Salomea zgadnie.
Jeśli do mnie nakłania, affekt ſwoy, y żądzę,
Sercu nie rozumowi, wygraną przyſądzę.
Jeżeli zaś, w miłości Praxedy, ieſt ſtały,
Powiem, że rozum wygrał, żądze me przegrały.

SCENA

SCENA TRZECIA.

SALOMEA y ZŁOTOPOLSKI.

SALOMEA.

Gdy twe zwycięſtwo, głowy naſze, ubeſpiecza,
Od dobytego na nie, Tureckiego miecza;
Gdy Wodz, y Woyſko chwali, twe Rycerſkie cnoty,
Racz domieścić, w twych pochwał gminie, głos ſieroty.
Dawno winny ſzacunek wſpaniałey twey duſzy,
Przyniosła mi twa ſława, do ſerca przez uſzy;
Ale ſtan moy mi radził, ſzacować cię ſkrycie,
Dziś, iawnie chwalę tego, ktory mi dał życie.
Dzielność twą, Panie, w Kraiach naſzych, będzie co dzień
Wielbić y czcić mieſzkaniec, a chwalić przychodzień:
Rozniosą Wołochowie, po między Narody
Jmie, dawcy nam życia, ſławy, y ſwobody.

ZŁOTOPOLSKI.

Na tak wielkie, z tak zacney Damy uſt, pochwały,
Mieſzam ſię, zbytkiem ſzczęścia mego, zadumiały;
Tłumią ſię podziwieniem, myśli me y ſłowa,
Y wſzyſtka dziękczynienia, rwie mi ſię oſnowa.
Wyſokie Urodzenie piękney Salomei,
Mieści ią, z Xiężniczkami, w rzędzie y w kolei.
A Damy, tak iak ona, y śliczne y zacne,
Do pochwał Krolow ſamych, nie bywaią łacne;
Tak wielkiey czci y łaſki, nigdy ia nie wartem,
Proſzę, niech mi ſię godzi, zwać ią pięknym żartem.

SALOMEA.

Uſta mam z ſercem zgodne, y myśl ma nie inna.
Tylko, żem ci y wolność, y życie me winna.

Zaden czas, mey wdzięczności, granic nie okryśli,
Ktora do śmierci będzie, trwać w sercu y w myśli.
Winnam te obowiązki, twey Rycerskiey cnocie,
Boś życie ubespieczył, łzy otarł sierocie.
Y przyznam ci się, że się kłucę, z moią Siostrą,
Czemu tak iest dla ciebie, surową y ostrą;
Czemu Praxeda, swego nie szanuiąc szczęscia,
Nie czuie, iaki honor czeka ią z zamęścia;
Jakby nie zaręczona, surowe swe oko,
W ostrey z tobą postaci, nosi zbyt wysoko;
A fochom, daiąc imie, cnoty swey niebaczney,
Nigdy ci swey miłości, nie pokaże znaczney.
Mnie nawet powiedziała, że dla twey urody,
Nie straciłaby, serca y życia swobody:
Ze nie twoia Osoba, lecz tylko twe cnoty,
Dodadzą iey do ślubu, serca y ochoty.
A łatwo się każdemu, domyślić z tey miary,
Ze rozumu, nie serca, czyni ci ofiary,

ZŁOTOPOLSKI.

Co dzień się uczę cnoty, y korzystam wiele
Z Praxedy, co ma piękną Duszę, w pięknym ciele.
Usta iey, sprawiedliwy ten wyrok wydały,
Ze cnocie, przed pięknością, należą pochwały.
Y o tych dwoch przymiotach, powiem złote słowa
Praxedy, ktore pamięć moia, w sercu chowa:
Piękność, iest z gliny posąg, rumiany y biały,
A cnota przymiot Duszy, ktorą Nieba dały.
Drzewka, kwiatki, y ziołka piękne, ziemia rodzi:
Szczegulnie ludziom, zwać się cnotliwemi godzi,
Tak wyborna nauka, z ust Praxedy płynie,
Ktora rownie y cnotą, y pięknością słynie,
Co się mnie tycze; mogę wyznać poufale,
Zem się nigdy, nie uniosł pychą, tak zuchwale,

Ani

Ani mi nigdy dotąd, nieprzyszła myśl pusta,
Zeby śliczney Praxedy, chwaliły mię usta,
Nigdym tego niegodzien, dość mam szczęścia, że mi
Godzi się, do niey wzdychać; iuż mam Ray na ziemi.
Poki zaś, dopełniaiąc szczęśliwey mey doli,
BOG mi z Praxedą śluby, przysiądz nie pozwoli,
Ty zacna Salomeo, coć umysł wspaniały;
Z pięknieyszą Duszą, w śliczne ciało, Nieba wlały,
Jeśli by mi się kiedy stawiła surowo
Praxeda; racz mi u niey, dawać dobre słowo.

SCENA CZWARTA.

SALOMEA SAMA.

Rozumiem cię, że sztucznym, y układnym kształtem,
Chwaląc mię, słow dobierasz, przymuszonych gwałtem;
Ze gdy rozum twoy, wzgardę mą, w sercu swym dusi,
Język mi piękność przyznać, poniewolnie musi.
Ale doznasz, co miłość pogardzona umi!
Gdy się w gniew przemieniwszy, affekt złością tłumi;
Co pod płaszczykiem cnoty, nosisz umysł hardy,
Przypłacisz Złotopolski, śmiercią twą mey wzgardy.
Niżli się słońce spuści, niżli ten dzień minie:
Złotopolski, a przy nim Woysko Polskie zginie!
Wytnie ie miecz Turecki, nie uydzie go noga,
Wygubi go, y klęska strasznа, y śmierć sroga.
Jak piana, ten gmin ludzi, zniszczeie y zniknie,
Kiedy na niego, gniew moy, z Turczynem się spiknie.
Ten, co nad Woyskiem Polskim, z Tatarami wiśi
Kantymir, z chytrym Tomszą, co ma umysł liśi,
Gdy się przez moie sztuki, zniosą y ziednoczą,
Na pomstę wzgardy moiey, krew Polską wytoczą.
Ale tu, prędkim do mnie, Tomsza spieszy krokiem,
Przymuszę się, łaskawym przyimuiąc go okiem

Do zemſty go zagrzeią, mey miłości ognie;
Jeśli mi ſię nie poda, to pewnie ſię pognie,
Poki przez iego zdrady, Polakow nie zgubię;
Językowi rozkażę ſkłamać, że go lubię.
A po ułudze, zbrodnie iego, mu ochydzę,
Powiem, że zdradę kocham, a zdraycą ſię brzydzę!

SCENA PIĄTA.

SALOMEA y TOMSZA.

TOMSZA.

Miłość mię Salomeo, do Ciebie prowadzi,
Serce, u nog twych klęczyć, y wzdychać mi radzi;
A złączonym affektem, życzą mi oboie,
Bym ſtatecznie kochaiąc, znoſił wzgardy twoie.
Skarzęć ſię na moy rozum, że bardzo wykracza,
Gdy zwątpiwſzy, o łaſce twey, w żalach rozpacza,
Niebaczny; że nadludzka piękność Salomei,
Godna, aby ią kochać, bez żadney nadziei.
A ten, kto ſurowością twoią ſię odraża,
Nie ma oczu, albo twych wdzięków nie uważa.

SALOMEA.

Dziś z ſercem Salomei, nierownie znaiomſza,
Y grzeczniey ſza, niż przed tym, ieſt twa miłość, Tomſza.
Dwa ſerca, często z ſobą, idą na wytrwaną,
A kto nie ſchodzi z placu, ma ten w poł wygraną.
Miłość, choć nam ſię oſtro ſtawi, to pochwili,
Tym co ich doświadczała, wdzięcznie ſię przymili.
Skrzydlaſty chłopiec, długo z ſercami ſię drażni,
Pierwey, niżli ſię z niemi, ſtatecznie ſprzyiaźni,

TOM-

T O M S Z A.

Zycie mi daie, gdy ſię nademną użala
Salomea, y gniew ſwoy od Tomſzy oddala;
A rozpacz moią cieſząc, łaſk ſwoich nadzieią,
Łzy ociera, ktore ſię, z oczu moich leią.
Czy mogłbym ſię ſpodziewać, z czaſem y powoli,
Ze do piękności ſwoiey wzdychać mi pozwoli?
Bo nad śmiertelnych dolą, Tomſzę uſzczęśliwi,
Gdy ſię w tym, ſerca iego żądzom, nie ſprzeciwi.

S A L O M E A.

Miłość męſzczyzn, ſłomianym ogniem w ſercach świeci,
Prędko waſz płomień zgaſnie, choć ſię prędko wznieci.
Doſkonalſze w affektach, celuią was Damy,
W prawdzie nie łatwo, ale ſtatecznie kochamy.
Chcemy w przod ſerc doświadczyć, przez rożne ſpoſoby,
Potym ie oſzacować, iakiey też ſą proby.
Chcemy wiedzieć, czy ſerce waſze nieobłudne,
Przyieło by, rozkazy naſze, choć też trudne.
Mienicie ſię; nam wiecznych obowiązkow dłużni,
Chcemy obaczyć, iak nam, ieſteście uſłużni.
A doświadczaiąc ſerca, czy nas kocha wiernie,
Podobne pięknym rożom, mamy naſze ciernie.

T O M S Z A.

Ah! gdybyś chcąc mię ſwemi, uczcić rozkazami,
Choć raz na mnie ślicznemi, ſkineła oczami.
Czuiąc w mym ſercu, twoiey miłości zapały,
Chętnie poſzedłbym oślep, na miecze, na ſtrzały.

S A L O M E A.

Obaczę. Naprzod ſekret powierzam ci wielki.
Wieſz; że choć nie mam Oyca, nie mam Rodzicielki.

Cho-

Chociaż po cudzych kątach, tułam się sierota,
Jest iednak we mnie, Przodkow mych, serce y cnota.
A pamiętna, że z nacznych Xiążąt Greckich idę,
Wspaniałą myślą ciesżę mą nędzę y bidę.
Ociec moy, obietnicom Polskim, gdy dowierza,
Niebaczny, w niesżczęśliwe w szedł z niemi przymierza;
Bo prędsze, Woysk Tureckich, niż Polskich przybycie
Sprawiło, że utracił, y Państwo y życie.
A zgubiwszy niesżczęsny, Oyczyznę y ziomkow,
Zarobił, na nie dobre Jmie, u potomkow.
Pomnisz, owe wspaniałe Zamki y Kościoły?
Obrociły się teraz, w prochy y popioły.
Patrz na zabite naszych Wołochow tysiące,
Spoyrzyi, na krwi twych Braci, strumienie płynące,
Na Miasta, ktore szabla Turecka, wycieła:
Przymierza z Polakami, są to smutne dzieła.
Niechay pomsta wspaniała, twe serce zapali,
Zgub Polakow, ktorzy nas, w tę klęskę wplątali.
Znieś się z Turczynem, Polskie wydaway mu rady,
Potym, złącz z nim twe Pułki, y dokonay zdrady.
Pierwey, bądź wraz z Turczynem, Polakow morderca,
Dopiero, będziesz pewnym Salomei serca.

TOMSZA.

Czegoż bym nie uczynił, na twoie rozkazy?
W ogień, na śmierć, na męki, poszedłbym sto razy.
Poprzysięgam, na piękne Salomei oczy,
Ze w krotce, Woysko Polskie, krwią się swoią zbroczy,
Coś rzekła, iest w robocie, owszem iuż się stało,
A szczęście myśli twoie, uprzedzić mi dało,
Bo dziś, y wiele razy, przez taiemne Posły,
Skryte Polakow rady, Turkom się doniosły.
Nie minie trzy godziny, a potężnym szturmem,
Tatarowie, na Polski Tabor, natrą hurmem.

W też

W też tropy nastąpiwszy, Skinder Pasza szypki,
Złamie Tabor, przymusi Woysko, do rozsypki.
Ja znacznieyszych Polakow, skłucę, y powadzę,
Potym ich z memi Pułki, odstąpię y zdradzę.
Ciebie z sobą uwiozę, a skutkiem pokażę,
Jak twe skinienia, iak twoy rozkaz, sobie ważę.

SALOMEA.

Upewniam cię, że iak się to, coś przyrzekł stanie,
Nadgrodą twą, me będzie serce, y kochanie.

AKT TRZECI

SCENA PIERWSZA.

TOMSZA, ZOŁKIEWSKI, KONIECPOLSKI.

TOMSZA.

POmyślne wam Wodzowie, donoszę nowiny,
Skinder Pasza, w Multańskie umknął się krainy,
Zabitych swych rachuie, rannych swoich goi,
A odtąd, szabli Polskiey, doświadczać się boi.
Kantymir z Tatarami, maiaczy z daleka,
O staie na nas natrze, o dziesięć ucieka.
Rozumie biedny, że nas strafzy, albo drażni,
A on godnieyszy śmiechu, niżeli boiaźni.
W tym momencie, wiadomość mam, od moich szpiegow,
Że poprzestanie, swoich Kantymir zabiegow;
Że Tatar, przykrzy sobie trud dzienny y nocny,
Zè zwątpił, aby przerwać mogł, Tabor tak mocny.

A gdy pomyślne ſzczęście, Woyſkom Polſkim ſłuży,
Ja radzę, niech naſz Zołnierz, trudem ſię nie nuży.
Niech, choć ieden dzień ſpocznie, niechay ciężkie zbroie
Zdyimie, á z czoł zwycięzkich, niechay otrze znoie;
W czaſie potrzeby, będą zdolnieyſi do pracy,
Gdy z wytchnienia, nabiorą ſił, mężni Polacy.

KONIECPOLSKI.

Ja radzę, niechay Zołnierz naſz, nie zſiada z konia,
Kopijnik, niech z żelaza, nie obnaża ſkronia;
Niech ſtraſzy Turkow, błyſzcząc w zbroi, czy w ſzyſzaku,
Niech iazda naſza, trzyma ſzablę, na temblaku;
Niech konia, z rąk nieſpuſzcza maſztalerz oſtrożny;
Woznica, niech ma w ręku drągi, kucharz rożny;
Niech bazarnica nawet, kij trzyma przy wozie,
Niechay, y bab boią ſię Turcy, w tym Obozie.
Doznał Turczyn, y Tatar w boiu niedołężny,
Jak Polak, pod Zołkiewſkim, bitny ieſt y mężny.
Niech ieſzcze, y to wiedzą, w Krymie y w Stambule,
Ze zwyciężaiąc mężnie, obozuiem czule.
Nigdy pilna oſtrożność, w Woyſku nie zawadzi,
Rozumiem, że nie błądzi, ktokolwiek ią radzi.
A kto nieprzyiacielem gardzi, ten nie zyſka,
Bo ſzczęście zwykło rożne, wyprawiać igrzyſka.
Czy raz, na nas Turecka potęga natarła?
Zawſze ią, czuła dzielność Polakow odparła.
Wytrwaymy w niey do końca, a do Dnieſtru biegu,
Dochodzący, ſtrzeżmy ſię, tonienia u brzegu.
Tak, Hetman Wielki kazał, tak mu radził Polny,
Tak zwykł woiować Narod waleczny y wolny.

ZOŁKIEWSKI.

Zartuie mężny Tomſza, gdy nam w ſamym boiu,
Spocząć życzy, y czoło radzi otrzeć z znoiu.

Woy-

Woyſko to, co w zwycięztwach, zſtarzało y zroſło,
Nigdyby tey sromoty, na ſobie nie zniosło,
Ma zwyczay, że zmorzone ſnem, w rynſztunku zaśnie,
A wczas ma podczas Woyny, za żarty y baśnie.
Zołnierz, co pod moiemi, mężnie ſłuży znaki,
W Pokoiu tylko, ſkłada zbroie, y ſzyſzaki;
A gdy ſię bić potrzeba, wczaſować ſię wſtydzi,
W pracy ſię kocha, podłą wygodą ſię brzydzi.
Czułość ſądzi bydź znakiem Rycerſkiego ducha;
A gnuſne beśpieczeńſtwo, przymiotem leniucha.
Wola ieſt moia; aby me, y twe ſzeregi,
W ſzyku ſtały, y mego ſłuchali kollegi,
On, podług ſwego zdania, gdy na Woyſko ſkinie,
Niech mu będąc poſłuſzne, zwycięża, lub ginie.

SCENA DRUGA.

ZOŁKIEWSKI y KONIECPOLSKI.

KONIECPOLSKI.

Nie poſądzam ia Tomſzę, ale iego rady
Czynią mi podeyrzenie, ſkrytey w ſercu zdrady.
Zważ proſzę Wielki Wodzu, co te zdanie znaczy?
Spocząć Woyſku? gdy nad nim, Kantymir maiaczy.
Bydź w nieczynności? kiedy wkoło, liczne Ordy
Gotuią Woyſku klęſki, zaboyſtwa, y mordy.
Y gdy iuż Dnieſtru, prawie widziemy, brzeg bliſki,
Oſtatni ten, niebacznie uczynić, krok śliſki.
Czemu raczey, w Oyczyźnie, za Dnieſtru przeprawą,
Nie radzi, z beśpieczeńſtwem, ſpocząć nam, y z ſławą?
Ja rozumiem, że Tomſza, w przepaść nas prowadzi,
Ze zdrady knuie, kiedy Woyſku ſpocząć radzi.
Wiem y to, że dziś Tomſza, z Woyſkiem wſzyſtko ſzepcze,
Z Pułku do Pułku chodząc, po Obozie depcze.

Co godzina, do Ordy wyſyła, ſwych ſzpiegow,
Ktorzy ſię nie wracaią, do naſzych ſzeregow.
Z takich okoliczności, wſzyſtko mi ſię zdaie,
Że twe taiemne rady, Tatarom wydaie.
Strzeżmy ſię, czy nie zdradza, obłudnie y chytrze:
Patrzmy na chmury, poki, Niebo ſię nie wytrze.

ZOŁKIEWSKI.

Dawno, o to do BOGA, z prozbą ręce wznoſzę,
Aby od nas odſtrychnął, przewrotną Wołoſzę.
Kanclerz, y Hetman Wielki, w Woyſku ſię zſtarzałem,
Y z tym Narodem, wiele do czynienia miałem,
W dotrzymaniu Soiuſzow, wiem, iak był obłudny,
Wiem iak ſztuczny w robocie, w obeyſciu iak trudny
Był Gracyan; iak Krola obietnicą łudził
Woyſk, ktorych nie miał; iak go do Woyny pobudził.
A z mężnym Kalinowſkim, iak ten na oſtatek,
Utonął w nurtach Prutu, Hoſpodar nieſtatek.
Wiadoma mi, y Tomſzy ieſt obłuda ſkryta:
Coż czynić? wſzakże brzytwy, tonący ſię chwyta:
Widziſz, liczne na znakach Tureckich Mieſiące,
A my, nie mamy Woyſka, ledwie trzy Tyſiące.
Tomſza, ma ſiedmſet ludzi, chociaż nie Junakow,
Przecież, y ci zwiękſzaią, ſzczupłość Polſkich znakow:
Nadſtawiaymy ſię niemi, a Tomſzę wyśledzić
Chcieymy, y zdrady iego zniſzczyć, y uprzedzić.
Potym, iaką zaſłuży, nie minie go kara,
Teraz, myślmy dać odpor, natarczkom Tatara.

SCE-

SCENA TRZECIA.

ZOŁKIEWSKI, KONIECPOLSKI, ZŁOTOPOLSKI.

ZŁOTOPOLSKI.

ZDarzył Pan BOG, Wodzowie, że w ucieczce ſkory
Kantymir, uderzywſzy na naſze Tabory,
Gdy mu odpor był dany, mężnie y ochotnie,
W rozſypkę poſzedł, z ſwemi Woyſkami ſromotnie.
Kazanowſki, dzielnością y męztwem wſpaniały,
Wytrącił mu, z rąk ſłabych, ſzablę, łuk, y ſtrzały.
Z drugiey ſtrony, naſz Uſarz, ſamym zbroi blaſkiem,
Tak Ord tłumy przeſtraſzył, że uciekły z wrzaſkiem.
Ale, po ſzczęściu, nowa przeciwność wynika,
Z uſt, wziętego w potyczce, Murzy niewolnika,
Twierdzi ten znaczny więźień, pod ſtratą ſwey głowy,
Ze nam, dziſiay przybędzie, nieprzyiaciel nowy,
Skinder Paſza, z ſwym Woyſkiem, przyidzie za godzinę,
Z uſt Kantymira, ſłyſzał Murza, tę nowinę.

KONIECPOLSKI.

Biegnę ia, Wielki Wodzu, do Woyſka, obiadę
Tabor, ty, day mi twoie rozkazy, y radę.

ZOŁKIEWSKI.

Czyń, podług zdania twego, ia po małey chwili,
Sam przybędę; a wſpolnie będziem ſię znoſili.
Ty, mężny Złotopolſki, zoſtań trochę ze mną,
Wynurzę ci w ſekrecie, myśl moię taiemną.
Przyſzedł, ten czas okropny, y zbliżył me klęſki,
W ktorych, ſpadnie mi z głową, wieniec moy zwycięſki,

A laur

A laur, ktory ſiwego, ozdobą był włoſa,
Już na mnie zaoſtrzona, zetnie śmierci koſa.
Nie zginę ia Tureckim zabity żelazem,
Ale zginę, dobrego Krola złym rozkazem,
Wyiednanym, przez Dworſkie do mnie nienawiści,
Ktorych zemſta, na mey ſię głowie, dziś uiści.
Wieſz dobre, iak przeciwko mey radzie y zdaniu,
Krolewſkiemu, poſłuſzny będąc, rozkazaniu,
Za uſilnemi Liſty, Krola y Senatu,
Przeſzedłem Dnieſtr, na iawną mą zgubę, ktora tu
Nieuchronna nas czeka: bo chyba przez cuda,
Zycie, z tak ſtraſznych gminow wynieść, nam ſię uda.
Swiadomyś, iak Zołnierza, mamy tu nie wiele,
Ze na iednego, maią ſto, nieprzyiaciele.
Wielbię BOGA, że będąc, y ſłaby y ſtary,
Zginę przy doſtoieńſtwie Oyczyzny, y Wiary:
Dawno tego pragnąłem; ale na to ſrodzem
Załoſny, że tak bitnych ludzi, będąc Wodzem,
Nie wiem, iak ich ocalić; bo chociaż iuż ledwie,
Dnieſtr od nas, ieſt odległy, na mil tylko ze dwie,
Jednak, każdy to iawnie widzi, iak na dłoni,
Ze ieſt, prawie w oſtatniey Woyſko naſze toni.
Coż to, na ſto Tyſięcy? trzy Tyſiące ludzi,
Y kilka ſet Wołochow, co tchurze, y cudzi.
Procz tych, ieśli ieſt Zołnierz, to ranny, lub chory,
A bardziey niżli broni, zatrudnia Tabory.
Ale nie tak mię trwożą, klęſką nam grożące,
Liczne Turkow y Ordy, nie bitney tyſiące,
Jak między Rotmiſtrzami rozterki y zwady,
Y podobieńſtwo, ſkrytey w Woyſku naſzym zdrady.
Już ſzepcą w poſiedzeniach, y na ſchadzkach nocnych,
Ze Hetman, ma u Dworu, nieprzyiacioł mocnych,
Ze ktoby go, w tym razie tak ciężkim, odſtąpił,
Nieprzyiaciel Hetmańſki, łaſk by mu nie ſkąpił.

Czy

Czy to, nie cichy naboy, czy w ul nie dmuchniono,
Aby niechybniey, zgubę moią, upewniono?

ZŁOTOPOLSKI.

Wiem ia o tym, y dawno widzę, że się knuie
Spisek iakiś, a żołnierz, kupami się snuie
Po Obozie; iednakże, iawnego zdradziectwa
Nie mamy, ieszcze do tąd, żadnego świadectwa.
Jeźli się o czym dowiem, to wolałbym nie żyć,
Niźlibym nie miał, zdradom Woyskowym zabieżyć.
Co się Turkow, y Ordy tycze, to w tym razie,
Pierwey, niżby podpadło Woysko, męztwa skazie,
Niżby przestał Zołkiewski, Laurem wieńczyć skronie,
Leymy krew, traćmy życie, przy iego obronie.

AKT CZWARTY,

SCENA PIERWSZA.

KONIECPOLSKI, TOMSZA, ZŁOTOPOLSKI.

KONIECPOLSKI.

COż to iest Tomszo? czemu przed Hetmanem Wielkim
Radziłeś nam spoczywać, w bespieczeństwie wszelkim?
Zyczyłeś nam; zwycięzkie otrzyć z potu czoło:
A tu nas Woysk Tureckich, gmin, otacza w koło.
Skinder Pasza, daleko, podług twey powieści,
Już w odległych, Multańskich krainach, się mieści:
A on, z swym gminem, do nas spieszy, wielkim krokiem,
Y za godzinę, z bliska uyrzysz go twym okiem.

Powiedz

Powiedz, co ſię to znaczy: y ſtaw nam twe ſzpiegi,
Co ich poſyłaſz, zwiedzać Tatarſkie ſzeregi.
Chcę z niemi ſam pomowić, y doznać, kto kłamie,
Czy me oko, czy Tomſza, co nam wiarę łamie.

TOMSZA.

Niech nie wpadam u ciebie, w podeyrzenie żadne,
Abym ſkaził mą cnotę; przez zdrady ſzkaradne,
Wkrotce ci to pokaże na oko czas dalſzy,
Że nad Tomſzę, nikt nie ieſt, w wierności ſwey trwalſzy.
Stawięć mych ſzpiegow, ktorzy wywiodą ſię iawnie,
Że posługę ſwą czynią, poczciwie y ſprawnie,
Przebrani po Tatarſku, między Woyſk ich gminy,
Jeżdżą, a nam potrzebne, przywożą nowiny.
O Skinder Paſzy, że ſię do Multan przerzyna,
Słyſzeli, z uſt krewnego Hańſkiego, Szyrina.
Ale coż nam daremnie, czas trwonić y ſłowa,
Wyniknie z ſzpiegow, prawda czyſta y gotowa.
Naprzod mi ich należy, przed Hetmany ſtawić,
A potym, z niepotrzebnych zarzutow ſię ſprawić.
Upewniam cię, że tego wſtyd y kara potka,
Co ſię ważył, przed tobą, oczernić mię plotka.

KONIECPOLSKI.

Chwalebnie czyniſz, świadkow chcąc ſtawić, bez ſporu,
Byś uſzedł podeyrzenia zdrady y pozoru.
Gdzież ſą? chcę prędkim ſądem, twą cnotę ucalić,
Możeſz ſię potym, ſłuſznie na plotki użalić.

TOMSZA.

Czyż to ieſt rzecz podobna? bym w takim odmencie,
Szpiegow moich, mogł w iednym, ſtawić ci momencie.
Nikt inny, przyzwać ich tu, nie może bezemnie:
Wſzak z ſzpiegami trzeba ſię, obchodzić taiemnie;

Stawię

Stawię ich w nocy, by mię świadectwo ich wsparło,
Jeźlibym ich nie stawił, w zakład chcę dać garło.

Z Ł O T O P O L S K I.

Czas zyskać chciałbyś Tomszo, nadzieia cię cieszy,
Ze Skinder Pasza, z Woyskiem swym, wprędce pospieszy,
Ze do boiu weźmie się Hetman, nie do sądu:
Ale pomni, że możesz utonąć u lądu.
Bog rządzi losem bitwy, lecz choćbym miał zginąć,
Wiedz, że śmierć z moiey ręki, nie może cię minąć,
Jeśliby, gdy się stoczy z Turkiem bitwa krwawa,
Pokazała się, iaka twa zdradliwa sprawa;
Jeżeli cię zaś mężnym w boiu, y w robocie,
Obaczę, winne oddam pochwały twey cnocie,

K O N I E C P O L S K I.

Y w gwiazdach znaydzie skazy, kto zbyt bystro patrzy.
Ty Tomsza, podeyrzenie wiernością twą zatrzy;
Niech twa dzielność, zarzutom płonnym milczeć każe,
Y zakały, choćby też iakie były, zmaże.
Nastąpi usług twoich, nadgroda sowita,
Krol o nich myśleć będzie, y Rzeczpospolita.
Wspaniałym y szacownym, zapłaci ie darem:
Ktoż by mogł bydź przed tobą, Wołoch Hospodarem?
Czyż nie lepiey złączyc się, z Państwem Chrześciańskim,
Niż podłym niewolnikiem bydź, w iarzmie Pogańskim.
Niechay do dzieł Rycerskich, bierze cię ochota,
Niech zagrzewa twe Serce, y wiara y cnota.

T O M S Z A.

W kilka godzin, mogłbym sie wywieść bez ochyby,
Y fałszywe złych ludzi zarzuty, spełzłyby.
Ale, że ci iest pilniey, Woysk szykami rządzić,
Niżeli słuchać świadkow, y sprawę mą sądzić;

Pierwey twych Nieprzyiacioł, zniesie moia ręka,
Niżeli przeciwnikow swych, Tomsza ponęka.
Przyidzie potym czas, ktorym z złośliwey potwarzy,
Wyiść mi, Niebo przychylne niewinności, zdarzy.

SCENA DRUGA.

ZOŁKIEWSKI, KONIECPOLSKI, ZŁOTOPOLSKI, TOMSZA.

ZOŁKIEWSKI.

Waleczny Kazanowski, z podiazdu w tey chwili,
Powrociwszy, zostawił Turkow o puł mili.
Niezawodne bliskości ich, tym stwierdził wieści,
Ze zabrał niewolnika, Janczarow trzydzieści.
Spodziewam się, że prędzey niż za dwie godziny,
Stoczymy krwawą bitwę, z Pogańskiemi gminy.
Tym czasem, Kantymira tłumy niedołężne,
Odbieraią od naszych, odpory potężne.
Da Pan Bog, że y Turczyn, iuż raz od nas zbity,
Będzie y teraz, drugą klęską znakomity.
W stu tysięcy Poganow, ufa Skinder Pasza,
My w BOGU, w męstwie Woyska, y w ostrzu pałasza.

KONIECPOLSKI.

Ludzi, a nie Zołnierzy, te tłumy gromadne,
Ma Turczyn, do zwycięztwa szykom naszym snadne.
Choćby naywiększe owiec boiazliwych trzody,
Kilku lwom, ną zwycięzkie łatwo poydą gody.
Dzielność w naszych, w Zołkiewskim umieiętność Woyny,
Sprawi, że dziś zwycięży Turkow, Polak zbroyny.
Ufam mocno, wielkiemu Chrześcianow BOGU,
Ze Miesiącom Tureckim, dziś przytrzemy rogu.

Naosta-

Naoſtatek, iakkolwiek padnie, wyrok Boſki,
Y cokolwiek nam przyśle, czy radość, czy troſki,
Dziś, albo Laur zwycięzki, uwieńczy nas obu,
Albo wraz do iednego, poydziem z ſobą grobu.

Z Ł O T O P O L S K I.

Daruię wam Wodzowie, krew moię, y życie,
Chętnie umrę, gdy Turkow gminy zwyciężycie;
Bo ochotnie wyprułbym, każdą żyłkę z ciała,
Kroraby pod Zołkiewſkim, krwi toczyć nie chciała.
Obaczyſz, iak śmierć od nas, w boiu pogardzona,
Poydzie do Turkow, męztwem Polſkim zawſtydzona,
Umrzećbym wolał, życie bym ſobie obrzydził,
Gdyby przegraną z Turkiem, Polak ſię ochydził.

T O M S Z A.

Złotopolſkiego ſłowa, na złocie y cedrze,
Ryſować trzeba, bo czas, choć z duſz ciała zedrze,
Jednakże odiąć cnoty, nigdy im nie może,
Bo ta poyść muśi z niemi, w Niebieſkie podroże,
Y ia chcę z Złotopolſkim, pod twoią Buławą,
Albo zwyciężyć, albo poledz śmiercią krwawą:
A tych, co moią ſzpetnie, ſpotwarzyli cnotę,
Pohańbić mą wiernością, krwią zmyć tę ſromotę.
Y tak mą ſławę zechcę, męztwem ubeſpieczyć,
Ze iuż nie będą śmieli odtąd mi złorzeczyć,
Plotkom ich zamknę uſta, milczyć ich nauczę,
Gdy zakałę mey cnoty, w krwi Turkow opłuczę.

Z O Ł K I E W S K I.

Serca, Rycerſką cnotą, od BOGA natchnione,
Niech zwycięztwem, od Niebios będą obdarzone.
Wy; co na plac nieſiecie, y życie y zdrowie,
Niech BOG laurowe wieńce, ſkłada wam na głowie.

Jdźmy w ogień, iak inni idą na weſele,
A mieymy męztwo w oczach, y dzielność na czele.
Ja zginę, albo wyidę z tąd, Laurem ozdobny,
Y zawſze będzie, ſobie Zołkiewſki podobny.

SCENA TRZECIA.

ZOŁKIEWSKI SAM.

BOZE, Naywyżſzy dawco, ludow y Woyſk doli,
Poddaię loſy moie, świętey twoiey woli:
Za wſzelakieć Zołkiewſki, cześć y chwałę wyzna,
Zebrze tylko, niech będzie, w twey pieczy Oyczyzna.
Odtąd, iak mię krępować przeſtało powicie,
Za rękęś mię prowadził, iak Ociec ſwe dziecie;
Bym ſię w życiu nie kochał zbyt, me dotąd lata
To ſzczęściem, to nieſzczęściem, twa dobroć przeplata.
Wieſz BOZE, iakem pragnął, abym Zołnierz ſtary,
Krew wylał, duſzę wytchnął, przy obronie Wiary.
Nie moia rzecz ieſt, ſzpyrać w twych ſądow ſkrytośći,
Ale podobno, w bitwie tey, położę kości.
Jeśli tak ieſt, bynaymniey na to ſię nie żalę,
Niech tylko do Oyczyzny wſtęp, głową zawalę,
Niech klęſka Polſki, na mym ſkończy ſię tułubie,
A zabież Panie dalſzey, mey Oyczyzny zgubie.
Nie dopuść BOZE, aby twe Swiątnice Pańſkie,
Pohańbiły, bezecne narody Pogańſkie.
Ubeſpiecz od nich, cnotę Panny, y Mężatki,
Nie day wydzierać dzieci, z rąk płaczącey Matki,
Ktoreby potym mogły w Mahometa wierze,
Na Chrzcie z tobą zawarte, porzucić przymierze.
Zabroń Turkom, zabranych w kaydany y w pęta,
Chrześcianow, przedawać targiem, iak bydlęta.

Odda-

Oddaię głowę moię, na krwawą ofiarę,
A Oyczyznie przepuścić racz, grzechow ſwych karę.

AKT PIĄTY.

SCENA PIERWSZA.

SALOMEA y PRAXEDA.

SALOMEA.

Coż to widzę? Praxeda, y wzdycha y ſzlocha,
Kiedy Turkow zwycięża, ten ktorego kocha,
Złotopolſki, walecznym męztwem ſławny Młodzian
Powroci z bitwy, Laurem zwycięzkim przyodzian.
Już hufce Turkow znosi, iuż ſzyki ich łamie,
Na Skinder Paſzy głowę, iuż podnosi ramie,
Już złamana przez niego, Tatarſka potęga,
Do karku Kantymira, iuż ſwą ſzablą ſięga. . . .
Obaczymy co wſkora, ta śmiałość zuchwała,
Ta pycha, co nieſłuſznie, odwagą ſię zwała.
Da ſię widzieć, czy ſtraſzne Woyſk Tureckich tłumy,
Hardey Złotopolſkiego, nie uſkromią dumy;
Czy nie inſzy niż rano, Woyſkom los wypadnie,
A co byli na wierzchu, czy nie będą na dnie,

PRAXEDA.

Urągaſz ſię z łez moich, ktore żal wyciſka,
Z nieſzczęścia Sioſtry, czyniąc ſobie pośmiewiſka.
Dosyć mi ieſt nieznośna, ſrogość moiey doli,
Ale mię bardziey Sioſtry mey, nielitość boli.
Trętwieię! z uſt twych ſłyſząc, że nad Chrześcianow,
Bluźniących Boga twego, przekładaſz Poganow.

Ju-

Inſzaś w wieczor iak rano, y cale iak nie ta,
Gdy nie Chryſtuſa trzymaſz, ale Machometa.
Zyczyſz, ażeby bitwa, od Turkow wygrana,
Laurami ozdobiła, Pułki Ottomana:
Aby ſzabla Turecka, krew Chrześcian lała:
Ah Przebog! Salomeo, iakąś ſię dziś ſtała!

SALOMEA.

Nie wiem, nie znam ſię ſama, a w żądz moich tłumie,
Zda mi ſię, że iuż teraz, nic mi po rozumie.
Serce me gorę wzięło, rozſądek ieſt niczym,
Jęczy, pod namiętności iarzmem niewolniczym;
Zabrnęłam zbyt daleko, ſtanęłam na głębi,
W ktorey mię zemſta Niebios, zgubi y pognębi.
Zbrodnia, w przepaść mię nurza, y na dno pogrąża.
Strach mię otacza, rozpacz w koło mię okrąża.
Złość moia iadowita, zawziętość ma wściekła,
Nie oprze ſię w zapędach, chyba na dnie piekła!
W tak ſtraſznym y miłości, y gniewu zapale!
Dzielą me ſerce, zbrodnia, rozpacz, ſtrach, y żale.
Wſtydzę ſię ſama ſiebie, obrzydło mi życie!
Wkrotce, ſrogi moy wyrok z przeſtrachem uyrzycie!
Y ty, choć maſz żal wielki do mnie, iednak pewnie,
Na ſrogość moiey doli, będzieſz płakać rzewnie.

PRAXEDA.

Strzymay kroki, a w toni tey, nie poydzieſz na dno,
Chciey tylko, ręka Boſka, wyrwie cię z niey ſnadno.
Kto w Bogu ufa, tego ſtraż Boſka otacza,
Ten tylko ginie, kto chce ginąć, y rozpacza.
Poſtrzeż ſię Salomeo, a nie bądź dla Boga,
Y na ſiebie y na mnie, okrutna y ſroga.
Pod iedną Matki naſzey, byłyśmy wątrobą,
Jednemiśmy pierſiami, wykarmione z ſobą.

Powierz

Powierz mi ſekret, azaż ſpoſob ſię wynaydzie,
Dzwignąć cię, nim ſię daley, y zabrnie y zaydzie.
Chętniebym życie moie, y krew właſną dała,
Zebym cię Sioſtro, z ſtraſzney przepaści wyrwała.
Niechay ſię ſerce twoie, y piekła nie lęka,
Bo mocnieyſza ieſt nad nie, Naywyżſzego ręka.

SALOMEA.

Już nie wczas; bo iuż miarę dopełniłam zbrodni,
A tacy iak ia, żadney litości niegodni.
Krew Chrześcian wylana, zaboyſtwa y mordy,
Gmin Polakow ięczący, w niewoli u Ordy.
Oyczyzna ma zdradzona, y w rząd Ottomana,
Przez iadowitą moię, zawziętość podana,
Sromotne pohańbienia, Kościoła y Wiary,
Czyliż nie dopełniły, grzechow moich miary?
Gdy to wſzyſtko, o ſtraſzną zemſtę, na mnie woła!
Nie mogę podnieść w Niebo, oczu mych, y czoła!
Możeſz Sioſtro, rozumem zaſięgnąć z daleka,
Jaka zemſta, y kara, takie zbrodnie czeka!
Wſzyſtko w krotce obaczyſz, y za puł godziny,
Strętwieieſz, na okropne, o Woyſku nowiny!

SCENA DRUGA.

PRAXEDA SAMA.

Ty, co ſerce me widziſz! co myśli me czytaſz!
Co wewnętrznie mey duſzy, badaſz ſię y pytaſz;
Jeśli znoſzę cierpliwie, ſurową mę dolę,
Jeśli mile przyimuię, twoię świętą wolę,
Jeśli gorzkie łzy moie, cierpliwością ſłodzę,
Jeśli po oſtrych cierniach, bez mruczenia chodzę,
Boże! ktory maſz w ſtraży twoiey, me ſumnienie,
Nachyl ucha, na ſługi twey płacz, y ięczenie!

Poślii

Pośliy Panie Praxedę, na męki, na mary!
Chętnie krwi swey y życia, uczynić ofiary!
Przyimę wszystko z twey ręki, ochotnie y mile,
Chwalić cię będę w bolach, y wielbić w mogile.
O to cię tylko Panie, proszę z łez wylaniem,
Tego u ciebie żebrzę, z serdecznym wzdychaniem.
Boże! ktory piastuiesz w rękach, los człowieczy,
Miey Woysko Chrześciańskie, w Swiętey twoiey pieczy!
Potłum liczne poganow, zaiuszonych ludy!
Zaszczyć naszych nowemi mocy twoiey cudy,
Jeśli zaś chcesz twych Synow, za grzechy wychłostać?
Przemień prędko gniewliwą, w miłośierną postać!
Karz zlekka po Oycowsku, lud w drogach twych błędny!
Choć krwi upuścisz, bądź iey, łaskawie oszczędny,
A chociażbyś odstąpił, Chrześcianow w boiu,
Pociesz ich prędko, miłym powrotem pokoiu!
A le coż to? do mnie się Salomea wraca?
Czas pułgodzinney zwłoki, poprzedza y skraca,
Tomsza także spiesznemi, do nas dąży kroki,
Znać nam niesie, ostatnie Woysk naszych wyroki,
Czy mi się przyidzie, cieszyć z nich, czy na nie żalić,
Zawsze cię Boże, Serce moie, będzie chwalić!

SCENA TRZECIA.

PRAXEDA, SALOMEA, TOMSZA.

TOMSZA.

Stało się Salomeo; a za twym rozkazem,
Zgineło Woysko Polskie, Tureckim żelazem;
Dniestr z krwią Polską zmieszany, wszystek się rumieni,
A iuchą ich zwiększony, wzdyma się y pieni,
Pola nasze, Polskiemi okryte są trupy,
Leżą, martwe pobitych Pułkownikow kupy,

Niedo-

Niedobitek na placu, z ranami się męczy,
Y na śmierć nie pospieszną, narzekaiąc ięczy.
Tatar, zadziwion mnostwem, bogatey zdobyczy,
Woiować z Polakami, zawsze sobie życzy.
Niewolnik Polski, w ciasne okuty kaydany,
Płacze, że w krwawym boiu, nie poległ przez rany.
Słowem, gdzie tylko rzucić, pozwoliłem oku,
Wszędziem obaczył postać, strasznego widoku,
Smierci, rany, niewolą, ięczenia, rozpacze,
Losem są dziś Polaka; lub zginął, lub płacze.

SALOMEA.

Co z Złotopolskim? co się z Hetmanami stało?
Powiedz? y wszystko co się, na tey bitwie działo.

TOMSZA.

Czynię twoy rozkaz, ale przyznać ci się muszę,
Ze iakiś żal okropny, przeraża mą duszę:
Zem chociaż sam Polakow, y zdradził, y zgubił,
Chociażem nigdy tego Narodu nie lubił,
Jednak opowiedaiąc tak straszne ich klęski,
Bierze mię iakaś litość, żal iakiś nie męski;
Dlatego nie wiem, czyli nie przyidzie mi z płaczem,
Bydź ci tey krwawey bitwy, wiernym powiadaczem.
Chcąc zgubić Woysko Polskie, a knuiąc mu zdrady,
Zacząłem mą robotę, od Rotmistrzow zwady,
Ktorych tak pokłuciłem, przez sztuki wytworne,
Ze y zdania ich były, y czyny niesworne,
Z tąd częste huczki w Woysku, bez żadnego względu
Nawet na Hetmańskiego powagę urzędu,
Karność y posłuszeństwo, popsuło się z gruntu,
A Woysko było zawsze, gotowe do buntu.
Zołkiewski, choć Woiownik Wielki, y Wodz stary,
Muśiał pobłażać Woysku, y patrzyć przez szpary,

Widząc, że niekarności Woyſkowey, y ſporu
Były przyczyną Domy, wſparte ode Dworu,
Dlatego nigdy karą śmierci, rzadko groźbą,
Ale przyiaznią bunty, uśmierzał y proźbą.
Gdym tak porożnił Woyſko, widziałem że ſnadnie,
W te, ktorem pod nim kopał dołki, prędko wpadnie,
Donioſłem Skinder Paſzy: niech ſię dziś potyka,
A niech ma na Polakow, kaydany y łyka;
Bo iak grzyby pobierze, garſtkę tego ludu,
Ani na to wielkiego nie podeymie trudu.
Ja bez niego rozerwę, tabor tak potężny,
A kropli krwi nie ſtraci na to, Turczyn mężny;
Radziłem, aby prędko ſpieſzył, aby miecze
Oſtrzył, bo pewnie Woyſko Polſkie, dziś wyſiecze.
Odpiſał mi przez ſwego taiemnego gońca,
Ze będzie przed Taborem, o zachodzie ſłońca.
W prędce potym, z radością poſtrzegło me oko,
Ze ſię tuman kurzawy, rozciągnął ſzeroko;
A rowniaiąc wielkością, chmury y obłoki,
Wyſtawił, ſtraſzne Woyſku Polſkiemu widoki.
Zmiarkowałem, że Turczyn, z ſwym Woyſkiem ſię zbliża
Y na rowniny naſze, z pagorkow ſię zniża,
Jam też ſwoy tuman puścił, a me ſztuczne figle,
Y ſkryte zdrady, ktorem knował niedościgle,
Wykonałem; bo zaraz przez taiemne poſły,
Po Obozie, trwożące wieści ſię rozniosły,
Ze Hetmani iuż przeſzli, za Dnieſtru przeprawę,
A naſz Oboz wydali Turkom, na śmierć krwawę.
W tym moi Wołochowie, nayprzod zdradę zaczną,
Tabory rozrywaiąc, lukę zrobią znaczną,
A w momencie gmin luźnych, do ucieczki rączy,
Na złą robotę, z memi Wołochy ſię łączy.
Już Tabor rozerwany, roznieſione wozy,
Otworzyły zamknięte, Woyſk Polſkich Obozy,

Gdy Pocztowych, gmin wielki, luźnych zbiegow ſzladem,
Uſzedł z Taboru, ſzpetnym zgorſzony przykładem.

P R A X E D A.

Kiedyś Turkom, krew przedał Woyſka, y Hetmanow,
Nie bał żeś ſię, wielkiego BOGA Chrześcianow?

S A L O M E A.

Pozwol Sioſtro, niech kończy; niech wſzyſtko opowie,
A potym ſię o naſzych, ſentymentach dowie.

T O M S Z A.

Doydzie ta wieść Hetmanow, ktorzy prędkim biegiem,
Spieſzą za niemi, z ludzi wybranych ſzeregiem,
A dopędziwſzy zbiegow, żałoſnemi głoſy,
Na nieſzczęśliwe, Woyſka narzekaią loſy.
Zołkiewſki zdiąwſzy Szyſzak, pokazuiąc blizny,
Y doſłużoney w Woyſku, uczciwość ſiwizny,
Tak im rzecze: Rycerze; z ięczeniem y z płaczem,
Do ſerc waſzych, za wſpolną Oyczyzną kołaczem;
Za Bogiem Chrześcianow, co go Turczyn bluźni,
Smieiąc ſię, że was wodzą, ciurowie, y luźni.
Przebog! my to Hetmani, myśmy was wodzili,
Myśmy z wami, w zwycięzki laur, ſkronie ſtroili,
My was poprowadziemy: w zakład głowę kładę,
Jeźli z wami, na karkach Turkow, nie poiadę,
Zawoła Koniecpolſki; Jmie Polſkie, cnotę,
Ową, do dzieł rycerſkich, dowodną ochotę,
Wſzyſtkoż to razem ſtraciem? y także oręża,
Nie dobywſzy, poſtrachem Turczyn nas zwycięża,
Wroćcie ſię przebog z nami, y Wiara, y ſława,
Niech was o litość prosi, niech wam w oczach ſtawa.
Ale na nic, nie baczny ſtrach, y boiaźń głucha,
Ni ſumnienia, ni ſławy, ni Wodzow nie ſłucha,

 Tym

Tym poſpieſzniey, gmin zbiegow, od Hetmanow pierzchnie,
Chcąc ſię przez Dnieſtr przeprawić, poki ſię nie zmierzchnie
Ale ten gmin zatopion, nurty Dnieſtrowemi,
Znać nie był godny, życia dokonać, na ziemi,
Tym czaſem, iako mowią, że w złey doli, idzie
Nieſzczęście po nieſzczęściu, y bida po bidzie,
Złotopolſki co tabor, z Hetmanow rozkazu,
Bronił mężnie, y wielki odpor dawał zrazu,
Prożno czekaiąc, ſwoich Hetmanow przybycia,
W krwawym boiu dokonał, y doli y życia,
Bo go między więźniami nie maſz, a w taborze,
Głowęm y tułub ścięty, widział w iego porze.

PRAXEDA.

On ieźli zſzedł, męczeńſkim Bog go zdobi wieńcem,
Ty, coś go zgubił, ſzpetnym zapłoń ſię rumieńcem!
Ale czyli z Swiętemi, laurem wieńcząc ſkronie,
Złotopolſki dał garło, przy wiary obronie,
Czyli w ciężkiey niewoli, wiek ſwoy opłakany
Pędzi, brzękaiąc Turkom, pęty y kaydany,
Czyli mu opatrzywſzy, y czołny y wiosła,
Przez Dnieſtr do Polſki, ręka Boſka, go przeniosła,
Ja, chociem cnoty iego, kochała ſerdecznie,
Rwę obowiązki, w ktorych miałam z nim trwać wiecznie,
Chryſtuſa chcę do śmierci, mieć za oblubieńca,
Przyſięgam Mu dochować, czyſtości mey wieńca.
Jemu ſamemu miłość, y wiarę do zgonu,
Oświadczę, w ciaſnych murach, oſtrego Zakonu!
Tym czaſem, za męczeńſkie Chrześcianow Palmy,
Dziękuiąc Bogu, Jmię iego święte chwalmy.

TOMSZA.

Kończę; wybor Rycerzow; przy Hetmańſkim boku,
Długo nieuſtępował, licznym Ordom kroku;

Ale

Ale to czoło Woyſka, gminem zatłumione,
Poległo prawie wſzyſtkie, krwią ſwoią zbroczone:
Część ich więkſza, na placu, mieczem w pień wycięta,
Daleko mnieyſza, Ordzie doſtała ſię w pęta.
Hetmani oba walcząc, mężnie y ochotnie,
Umrzeć woleli, niżli poddać ſię ſromotnie:
Szukali śmierci, z ktorą nie mogli ſię zminąć,
Bo nieumieli, tylko zwyciężać, lub zginąć.
Nayprzod tę głowę, ktorą laur ozdobił ſetnie,
Zołkiewſkiego, Turecki oſtry bułat zetnie.
Koniecpolſki, gdy mężnie broni ſię, w kark cięty,
Upadſzy bez pamięci, w niewolą ieſt wzięty.
Z wielkiego Zołkiewſkiego tułuba, krew ciepła,
Dopiero w moich oczach, ścięła ſię y ſkrzepła.
Koniecpolſki w Stambule, goić będzie rany,
A teraz, z podłym więzniow gminem, ieſt zmieſzany.
Było Woyſko zwycięzkie; ale bydź przeſtało,
Moſkwę z Carem podbiło, u nas garła dało.
Na pułnocy, laurami zwycięzkiemi ſłynie,
Na południu, krew z niego, ſtrumieniami płynie.
Tyle Polakow, ſzabla Turecka wyſiekła,
Ze oblana, Rycerſką krwią ich, ziemia ściekła.
A to z ſzyki Polſkiemi, me zdrady zrobiły,
Ze iedni poſzli w pęta, a drudzy w mogiły.
Te zdrady, cnocie Tomſzy, nie uczynią ſkazy,
Bo Salomei u mnie, cnotą ſą, rozkazy.

S A L O M E A.

Prawda! żem w mym ſzaleńſtwie, proſiła cię o to,
Znaiąc twoy zły charakter, wierutny niecnoto!
Miłości, gniewu, zemſty, żądze y zapały,
Chytrey twoiey poſługi, wezwać mi kazały,
Złotopolſkiego cnoty kochałam, a wzgardy
Jego, znieść nie mogł umyſł moy, mściwy y hardy,
Z nim

Z nim mi Jmie obrzydło Polſkie, wſzakże w gniewie,
Y w miłości, człek każdy; co czyni, ſam nie wie.
Powinieneś był poznać, z oczu mych y twarzy,
Ze ſię ſkryty żądz płomień, w ſercu moim żarzy;
Ze do krwawey mey zemſty, wzywaiąc twe ramie,
Gdy ci mą obiecuie miłość, ięzyk kłamie;
Że z tak ſzkaradnym zdraycą, z tak wierutnym ſzachem,
Nie mogłabym pod iednym, puł dnia zmieſzkać dachem,
Ze znam twoy podły umyſł, wiem żeś thorz y zdrayca!
Ufaſz tylko w potędze Turkow y Nahayca;
Zal mi Polakow! ktorych ſławie y pamięci,
Niechay świat, winne cnotom Ołtarze, poświęci.
Ale coż to? biie mi ſtraſzny widok w oczy,
Salomea, krwią Polſką, ſkala ſię y zbroczy,
Płyną koło mnie byſtre, krwi y łez ſtrumienie,
Jęczą błąkaiące ſię, wielkich ludzi cienie,
Tu głowa Zołkiewſkiego, a tam tułub leży,
Tu Złotopolſki, z Wodzem ſwym chcąc ginąć, bieży;
Tu Tomſza, tchorz y oſzuſt, Tatarom z daleka
Szepcze, że po zwycięztwie, wielki łup ich czeka;
Tu trupy obnażone, leżą bez pogrzebu,
Tu krew woła o zemſtę, y żali ſię Niebu.
Jędze piekielne, ſtraſzne zapalcie pochodnie!
A płomieniem ſiarczyſtym, pieczcie mię za zbrodnie!
Ogniow waſzych, w łez moich, nie ugaſzę morzu,
Ah obrzydły mi zdrayco! obmierzły mi thorzu!
Wſzyſtkich poczwaro niecnot! y kłamſtw! mego wſtydzie,
Narodu, ktory w wieczney pogrążaſz ohydzie!
Jdź mi precz ztąd! ponury ten twoy wzrok, y ſmoczy,
Srożſzy mi ieſt nad piekło! Tomſzo idź mi z oczy!
Zyi! y ſkutkow zdradziectwa twego, długo użyi;
Lecz na to, by ſumnienie twe gryzło cię dłużyi!
Jeźli ztąd Turkow ſzabla, Polakow wypłoſzy,
Za zdradę, Hoſpodarem być możeſz Wołoſzy.

Lecz

Lecz furye twe zawſze, niech drapią wnętrzności!
Bezbożny! aż odbierzeſz nadgrodę twych źłości!
Cień moy, gdzie ſię obrociſz, będzieć ſzeptać zcicha!
Zyieſz duſzo zdradziecka? ſzpetna, podła, licha?

TOMSZA.

Odchodzi od rozumu Salomea; Sieſtrze
Praxedo day ratunek, ia muſzę przy Dnieſtrze,
Tę noc przebyć do świtu, bo mam Ferman taki,
Aby przeprawy, moie pilnowali znaki,
Otoż ten zyſk ażardow mych, dla Salomei,
Tak mi płaci, wtakiey mnie zoſtawia nadziei.
Prawda, żem podło zdradził, żem to zrobił ſzpetnie,
Hańby mey czas nie zmaże, y wieki ſtoletnie.
Będą (z mego zdradziectwa ſam to ſobie wnoſzę)
Polacy mieć za zdraycow, niewinną Wołoſzę.
Wiem, że me zbrodnie, Niebios pokarzą wyroki,
Coż? daleko zabrnąwſzy, trudno cofnąć kroki.

WŁA-

DO
JASNIE WIELMOZNEY, JMći PANI,
Z XIĄZĄT RADZIWIŁOW,
RZEWUSKI,
PODSTOLINY, W. X. Litt:,
KOCHANEY BRATOWY SWOIEY.

TY; co z cnotami, z zacnością, z bogactwem,
W Dom moy, szczęśliwym raczyłaś wniść krokiem,
Co za łaskawym, przeznaczenia swactwem,
Z mym Bratem, Boskim złączonaś wyrokiem,
Wielkiey Jmienia moiego ozdobie,
Ten wiersz, Bratowo, ofiaruię tobie.

NAywybornieysze, dobrych Zon przymioty,
Przed Pańskie z sobą, przyniosłaś Ołtarze,
Gdy od Biskupa, ślubny pierścień złoty,
Wziełaś z mym Bratem, w dożywotniey parze,
Dosyć Cię poznać, chwalić Cię, rzecz łacna,
Pobożnaś, piękna, bogata, y zacna.

BRat moy ieſt z tobą, nayſzczęśliwſzym z ludzi,
A z taką Zoną, ma niebo na ziemi,
Zadnym fraſunkiem, myśli nie utrudzi,
Wiek momentami, liczy weſołemi,
A Cnoty Twoie, y pobożne czyny,
BOG dwoma razem, nadgrodził ci Syny.

Z Oyca y z Matki, Dom twoy rownie wielki,
Pod iedną miarą, ſzczęściem Niebo dzieli,
To maſz z Rodzica, co y z Rodzicielki,
Oboie Krewnych, Krolow naſzych mieli,
RADZIWIŁOWNA, ſiedziała na Tronie *
A WISNIOWIECKI, panował w Koronie *

* *Krolowa Barbara, Zona Zygmunta Auguſta, z Domu Radziwiłowna.*

* *Krol Michał.*

ROdzoney Jana Siostry, Wnuk Twoy Ociec,
Twa Matka, bliskie plemie iest Michała,
Mogłaż zacnieysza, krew w żyłach twych pociec,
Jak ta, ktora się z oboiey płci wlała?
Y z Oyca twego, y z Matki Twey strony,
Liczysz, Sarmackie Berła, y Korony,

SYn Corki Jana, gdy Cesarstwa dopnie,
Bawarczyk; (*) nowe szczęście ci się zdarza,
Bo Dom Twoy, bliskie liczy z nim krwi stopnie,
Y Plemiennika, rachuie Cesarza,
A w nim na większe, do szczęścia pochopy,
Lustr ma od Tronow, połowy Europy.

* *Karol siodmy, Cesarz, ktorego rodzi, Corka Krola Jana.*

MAtkę twą rodzi Leſzczyńſka, a berła,
Dom iey rachuie, w Krolu Staniſławie,
Droga Korony Ludwikowey perła,
Marya; (*) ſłynie w żywey Cnot poſtawie,
A Ręką Boſką, żegnane iey brzemie,
Łączy, Burbonow, y Leſzczyńſkich plemie.

PRzyim Władyſława, pod Warną Jagełła,
Co Męża Twoiey Barbary, był Dziadem, *
A choć Dom iego, czas y śmierć, w proch zmełła,
Choć Wiśniowieccy, zeſzli tymże ſzladem,
Niech iednak, męſtwa ich, y Cnot nauki,
Słuchaią Syny Twoie, a ich Wnuki.

* *Krolowa Francuſka.*

* *Władyſław, ktory pod Warną zginął, był Dziadem Zygmunta Auguſta, Męża Barbary Radziwiłowny. Bo Kazimierz Jagellonczyk. Brat rodzony Władyſława, pod Warną zabitego, był rodzonym Dziadem, Zygmunta Auguſta.*

OSNO-

WŁADYSŁAW.
POD WARNĄ,
TRAGEDYA.

ARGUMENT.

WŁadysław Krol Polski y Węgierski, zawarszy y poprzysiągszy Pakta z Turkami, zerwać ie musiał, przycisniony nieodbitą całego Chrześciaństwa potrzebą, bo Amurath pierwszy Cesarz Turecki, iuż maiąc w mocy swoiey Adryanopol, groził bliskim wzięciem Konstantynopolowi, wschodnich Cesarzow na ten czas Stolicy. Tym zaś sprawiedliwiey zerwał Władysław Pakta z Turkami, że były uczynione bez wiadomości Oyca Swiętego, y wielu Panow udzielnych Chrześciańskich, ktorym był przysiągł Władysław w dawnieyszych z niemi Traktatach, że miał woiować przeciwko Turkom. To iednak zerwanie Paktow Tureckich, Polacy odradzali. Ociec Swięty y wiele bardzo Państw Chrześciańskich wysłali wielkie floty na morze dla zabronienia przeyścia z Azyi, Posiłkom Woysk Tureckich, ale Amurath liczenieyszym nie rownie Okrętow gminem, tak okrył morze, że mu umknąć się musiała Morska Chrześcianow potęga. Takim Sukkursem zmocniwszy swe Woysko Amurath ztoczył pod Warną krwawą bitwę z Władysławem, ktory z małym Woyskiem dawszy wielkie dowody odwagi y dzielności w boju mężnie poległ. Biskupi Węgierski Agryeński y Waradyński, przywodząc znaki swoie w tey bitwie za wiarę zgineli. Julian Kardynał Legat Oyca Swiętego, to przy boku Krolewskim, to przed swoim Pułkiem, za Wiarę mężnie spotkawszy się, naostatek z placu umknąć musiał, a przez Dunay przeprawuiąc się zabity od Wołoszyna; Jan Tarnowski z Polskim, Zawisza z Litewskim Woyskiem w tey bitwie polegli. Hunniad Korwin, z małą częścią Węgrow wyniosł życie z boju. O tey bitwie pisze Długosz, ktory był Nominatem Arcybiskupem Lwowskim, iako twierdzi Niesiecki. Dla ułagodzenia przerażaiącey żalem Tragedyi, przytoczyłem czystą miłość Emiliany z Władysławem, y skłonność serca Faustyny do Zawiszy. Te dwie Damy były Corki Jerzego Despoty Rascyi, ktory pod czas tey Woyny był z Władysławem, iako pisze Długosz. Krotkie, ale zwięzłe opisanie tey Woyny, znayduie się w rocznych dziejach Kwiatkiewicza.

AKTO-

AKTOROWIE Y AKTORKI.

WŁADYSŁAW Krol Polſki y Węgierſki.

KORWIN, Hunniad Wodz Woyſk Węgierſkich.

TARNOWSKI, Wodz Woyſk Polſkich.

ZAWISZA, Wodz Woyſk Litewſkich.

EMILIANNA, Corka Jerzego Deſpoty Raſcyi.

FAUSTYNA, Druga Corka Jerzego Deſpoty Raſcyi.

Scena ieſt w Obozie pod Warną w Bulgaryi.

AKT

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

WŁADYSŁAW, y TARNOWSKI.

WŁADYSŁAW.

TU nas czeka, w tych polach, przed tego dnia mrokiem,
Smierć, lub zwycięztwo, Boskim zrządzone wyrokiem,
Krew y życie nieść na plac to rzecz Władysława,
Zwycięztwa zaś rozdawać, Boska to iest sprawa.
Lecz, czy mi przyidzie umrzeć, czy wygraney dożyć,
Ni w tym szperać nie umiem, ani się tym trwożyć.
Zwyciężę? oddam Bogu dzięki y ofiarę,
Zginę? wielbić go będę, że umrę za wiarę.
Szczęścia, czyli nieszczęścia, mężnie czekam; słowem:
Co mi Bog przysle, mile to przyiąć gotowem.
Ty co wybor Polakow, maiąc pod twym znakiem,
Naybitnieyszym me Woysko, zaszczycasz orszakiem.

Tarnowſki; coś na krwawych woynach zeſtarzały,
Wysłużył ſobie zaſzczyt, y ſławy y chwały,
Coś cały wiek twoy ſpędził, w ſzyſzaku y w zbroi,
Co ſię wzmianki Jmienia twego, Tatar boi.
Co przeplataſz zwycięzkie Laury, z ſiwym włoſem,
Z iakim też, dziś zwieść bitwę, ſpodziewaſz ſię loſem?

TARNOWSKI.

Do ſchyłku życia mego, woiuiąc od dziecka,
Nigdy mię nie trwożyła potęga Turecka.
Znośić tłumy Poganow, wprawiona ta ręka,
Minęło lat pięćdzieśiąt, iak ich w boiu nęka,
Jak w kilku małych hufcach, mężne naſze ramie,
Stotyſięczne ich ſzyki, y znosi y łamie.
Lecz Panie, gdyśmy Pogan, płoſzyli iak zwierza,
Mieliśmy dobrą ſprawę, mieliśmy żołnierza.
Teraz, gdy po ztwierdzonym przyſięgą pokoiu,
Ciągniem niechcących Turkow, do krwawego boiu,
Jeźli ſzczęście poſłuży, ſprawiedliwey ſtronie,
Zważ, czy Turkow, czy naſze, Laur uwieńczy ſkronie.
Na Woyſko twe gdy ſpoyrzę, ckni mi ſię, y nudzi,
Ze nie mamy żołnierzy, ale tylko ludzi.
Złożony z ſług Kościelnych ten twoy gmin pobożny,
Inſzemi cnoty chwalny, w dzielność niezamożny.
Lud co nietrzyma ſzyku, co zrożſzy przy Farze,
Niezna Obozu, tylko Kościoł y Ołtarze. *
Co chyba z kadzielnicy zna dymu potrochu,
A przez ſwe życie nigdy niepowąchał prochu.
Tłum niesforny, pierzchliwych dzwonnikow y żakow,
Jeſt to część naylicznieyſza, Władyſława znakow.
Z tego, com ci przełożył, domyśliſz ſię ſnadnie,
Jaki, ieźli ſię ſpotkaſz, los ci dziś wypadnie.

WŁA-

* *Zwyczay ten, w przeſzłych wiekach, że Kościelni ludzie kommendowali woyſkami y służyli, był przedtym nienaganny, teraz go więcey niesłychać.*

W Ł A D Y S Ł A W.

Widzę go iak w zwierciedle; lecz w zyſku, czy w ſzkodzie,
Jak mowią: nie możemy płynąć przeciw wodzie,
Gdy mię tu zprowadziła, łatwość nieoſtrożna,
Miarkuię, że mi nazad, cofnąć ſię niemożna,
Za dolą moią poydę, zamrużywſzy oczy,
Wſzak nikt, ſzczęścia y życia kreſu, nieprzeſkoczy,
BOG rządzi, loſem krwawey bitwy, on nam zgoła,
Zwycięzki, czy Męczeńſki Laur, zeſzle na czoła.
Nie ufam wprawdzie, w płochym poſpolſtwa motłochu,
Co dotąd, nigdy ieſzcze, nie powąchał prochu,
Lecz ośm tyſięcy Węgrow, przywykłych do bitwy,
Cztery tyſiące, mężnych Polakow y Litwy.
Lubo przyſzczupłe Woyſko, lecz do zwycięztw zręczne,
Przełamać może Pogan, tłumy ſtotyſięczne,
Na oſtatek, woiuiąc męſtwem, a nie likiem,
Albo będę zwycięzcą, albo Męczennikiem.

T A R N O W S K I.

Nie śmiem nazwać Męczeńſtwem krwi Chrześcian zdroiu,
Ktora nie w cierpliwości leie ſię, lecz w boiu,
Ktora nie wiem, czy twoiey, luſtr przyniesie ſławie,
Y czy tą krwią ſzafuie Cnota, czy bezprawie.
Wſpaniałe wielkich Krolow, y ſerca y duſze,
Zwykłyż łamać przyſięgi? y zrywać Soiuſze?
Co rzecze świat? gdy dotąd, Władyſław bez wady,
Da mu złamania Paktow zawartych, przykłady?
Mowić muſzę; choć moia śmiałość cię urazi,
Zważ Panie, czy ta woyna, ſławę twą nie ſkazi,
Milczenie by mą Cnotę, mogło oſzkaradzić,
Przyſiągłem ci na wierność, wiernieć muſzę radzić,
Lecz w tym, dołoż ſię świętych Biſkupow, tych czyſte
Nauki, czynią Niebios bramy otworzyſte,

Niech wprzod przeyrzą traktaty, y Chryſtuſa Xięgi,
Potym, niech każą trzymać, lub łamać przyſięgi,
Jeźli nam bitwę, radzić będą, ich wyroki,
W ogień, iak na weſele, poydziemy bez zwłoki,
Dotąd podobno, w ſzykach ci Swięci Paſterze,
Obronnie tylko, łożyć chcą życie, przy Wierze,
Lecz gdy Turczyn, o pokoy, dziś przez poſły ſwoie,
Prośi; niech każą, czy krew toczyć, czy zdiąć zbroie.

WŁADYSŁAW.

Naradzaią ſię o tym, z Julianem Poſłem
Oyca Swiętego, z ktorym, y ia ſię iuż znioſłem,
Ten, ſłynący mądrością, y Cnotą Kardynał,
Zyczy; bym ſę oſtrożnie, z Turczynem poczynał,
Ktory gotuiąc całey, kaydany Europie,
Mnie wprzod zdradza, podemną naprzod dołki kopie.
A gdy iuż trąby naſze, y kotły brzmią hucznie,
Wprzod nas zdradą, niż męztwem, chce pokonać ſztucznie,
Y kiedy mu iuż, Polſka ſzabla, w oczach błyſka,
Nim wſzyſtkie Woyſko zkupi, myśli iak czas z zyſka.
Jawna rzecz ieſt, że chytrze uwodzi nas, zwłaſzcza;
Gdy widać ſrożſzą woynę z pod pokoiu płaſzcza.
Wſzakże wieſz; że ſzpiegowie, y dzienni y nocni,
Twierdzą nam, iż ſię Turczyn, w tych dniach bardzo zmocni,
Ze mu żołnierz co moment, przybywa iak woda,
Ze mu Azya, nowych ſzykow, w prędce doda,
Woyſko zaś naſze, ktore odległość daleka,
Dzieli od naſzych, wſparcia iuż nizkąd nie czeka,
W iednym Bogu pokłada, wſzyſtkie ſwe nadzieie,
A w nim ſamym ufaiąc, w męſtwie ſię nie chwieie,
Toć, gdy go Turczyn, płonnym pokoiem uwodzi,
Im dłużey czeka bitwy, tym ſę bardziey ſzkodzi.
Lecz powracaiącego, ſłuchaymy Zawiſzy,
Czy burz Woiennych, czyli pokoiu zaciſzy,

Zy-

Zyczą Swięci Biſkupi, opowie nam, ieśli,
Już ſię z ſobą na zdanie, iednomyślne znieśli.

SCENA DRUGA.

ZAWISZA, WŁADYSŁAW, TARNOWSKI,

ZAWISZA.

KArdynał cię z Węgierſkich Infułatow gronem,
Uniżonym przezemnie, obſyła ukłonem,
Jednomyślne ich zdania, y zgodne ſą uſta,
Na to; byś ſię ſtrzegł zdrady, Turczyna oſzuſta,
Bo pewnie, ieźli mu ſię chytrość iego uda,
W przepaść cię, ſztuczna iego, pogrąży obłuda.
Tak zawſze czyni Turczyn, gdy mu kto dowierza,
Chcąc czas z zyſkać, oświadcza chęć ſwą, do przymierza.
Potym Woyſko ſkupiwſzy, zrywa pakta płonne,
Gotuiąc Chrześcianom, klęſki nieuchronne,
A Traktat zamieniony, w ſrogość ſwego barku,
Mieczem w krwi ich zbroczonym, piſze im na karku.

WŁADYSŁAW.

Niżli bitwę, lub pokoy, Władyſław obierze,
Chce zdanie Tarnowſkiego, uſłyſzeć w tey mierze,
Sławny Wodzu; Laurami znakomity Starcze,
Coś wiek ſpędził, ſzarzaiąc Szyſzaki y Tarcze,
Coś zrosł, y zſtarzał w Woynach, a wyſługą krwawą,
Jmie twe, wiekopomną zaſzczyciłeś ſławą,
Jak mi radziſz? czy oſtre dobywać bułaty?
Czy wziąć ſię do pokoiu, y piſać traktaty?

Za

Za Twoim zdaniem poydę, bo wiem, że nie zbłądzi,
Kto się sędziwych ludzi, mądrą radą rządzi.

TARNOWSKI.

Ty mow z Posły, ia Woysku dobyć każę miecze,
Tak pokoiu; ni bitwy, czas nam nie ucieczе,
Zmowie z Turkami, załoź termin dwugodzinny,
A kto zerwie traktaty, krwi Woysk będzie winny.
Jeźli się do pokoiu. Turkow skłonność zyści,
Szukay w nim, Chrześciańskiey sławy y korzyści.
Jeźli zaś nas obłudą, uwodzą Possowie,
Każ nam, mężnie nieść na plac, y życie y zdrowie.
Tak y Possow nie zrazisz, y unikniesz zdrady,
To zdanie Tarnowskiego; te są iego rady.

WŁADYSŁAW.

Ty Zawiszo; wsławiony przez Tureckie klęski,
Coś przywykł, czoło twoie stroić, w Laur zwycięski,
Ty; ktorego obfity Dom, walecznych Przodkow,
Zawsze Rycerzow, nigdy nie wydał wyrodkow,
Radź mi; czy Pakta zawrzeć mam, czy woynę toczyć,
Czy bitwę zwieść z Turczynem, czy z nim w przyiaźń wkro-
Ten co potęgę Pogan, y niszczył y burzył, (czyć.
Ociec Twoy, pod Gołubcem, w swey krwi się zanurzył.
A gdy Turkow, swą mężną ręką, z placu zmiata,
Poległ, ostrzem płytkiego Poganow bułata,
Y na ziemi wsławiwszy, mężne czyny swoie,
Poszedł z męczeńskim Laurem, w Niebieskie podwoie.
Wprzod zaś Cnotą, z krwią wlaną, podzielił swych Synow,
W ktorych się zwiększa sława, dzielnych Jego czynow.
Ty mi poradź; z walecznych Braci twych naystarszy,
Czy w przyiaźni żyć z Turkiem, Pakta z nim zawarszy,
Czy też dobyć płytkiego, szabli moiey ostrza,
Niech Chrześcian granice, y sławę rozpostrza.

ZA-

ZAWISZA.

Gdy twoie Krolu ſkronie, Rycerſkie twe czoło,
Y Korony y Laury, uwieńczaią wkoło,
Gdy w każdey bitwie, zwykły mieć ſławę w zdobyczy,
Szczęście z zwycięztwem, wodziſz z ſobą, iak na ſmyczy,
Gdy od iednego ziemi, do drugiego końca,
Słynieſz; wſpaniale zwany, Chrześcian obrońca,
Gdy Ceſarz wſchodni mężney twoiey wzywa ręki,
Gdy cię o bitwę proſzą, ludow płacz y ięki,
Czemu Panie, na całey Europy okrzyki,
Nie ſpieſzyſz ſię, byś z nami łamał, Turkow ſzyki,
Wieſz dobrze, iak ſię zatrząſł, Tron Paleologa,
Jaka tego Ceſarza wſchodniego, ieſt trwoga,
Y iak Konſtantynopol ſzlocha, iak rozpacza,
Ze Poganin iuż prawie, w bramy iego wkracza,
Ze go nic nie pocieſzy, nic nie ubeſpieczy,
Jeżeli twoiey ſpełznie, nadzieia odſieczy,
Czyli żałuieſz Panie, krwi naſzey y znoiu,
Czyli ſobie ſmakuieſz, w ſłodyczy pokoiu?
Czy rozumieſz, że ſzczęście będzie ci przeciwne,
Ze przekładaſz nad Laury, gałązki oliwne?
Wſzak gdy za ciebie Boga, Chrześcianin błaga;
Sława twoia codziennie, zwiękſza ſię y wzmaga,
Wſzak; gdy Kościoł za tobą, w Niebo ręce wznośi,
Słynieſz, od iedney świata, aż do drugiey ośi.
Podufay Panie naſzey, y ſzabli y zbroi,
A uznaſz, że nam Turczyn placu nie doſtoi,
Jle że te ſą tylko, Woyſk twoich otuchy,
Zwyciężyć, lub Rycerſkie, w boiu wythnąć duchy.
A gdy Polak, y Węgrzyn mężny, śmiercią gardzi,
Szablą iego Poganie, poſkromią ſię hardzi,
Y ſam Turczyn, przed światem, z drzeniem ſerca przyzna,
Ze w Laury twe zwycięzkie, ta ziemia ieſt żyzna.

WŁA-

W Ł A D Y S Ł A W.

Władyſław poufale, wam obom ſię zwierza,
Że lubo bardziey iego chęć, do woyny zmierza,
Jednak ſię między woyną, a Pokoiem chwieie,
Ważąc, to małość Woyſka, to w męſtwie nadzieie,
Chwila iedney godziny, pokaże, azali,
Woyna Pokoiu, na tey, nie przeważy ſzali,
Niżli ſię zaś zwycięſtwem, czyli klęſką wſławię,
Sam ſię na moment, z memi myślami zabawię.

SCENA TRZECIA.

W Ł A D Y S Ł A W S A M.

PIerwiaſtki życia mego, kwitnący wiek młody,
Jakże mi upływaią, nakſztałt byſtrey wody.
A ia, gdy mi naylepſze, iak cień ſchodzą lata,
W dobie dni naypiękniey ſzych, nie zażywam świata,
Nie zna dotąd miłości, młodzieńſkie me ſerce,
Sława mną ſzarza, w ciężkich trudow poniewierce,
A kto wie, czy wprzod, niżli będę oblubieńcem,
W boiu, głowa z zwycięzkim nie ſpadnie mi wieńcem?
Rzadko berło, a często ſzablę, trzymam w ręku,
Rzadko na Tronie ſiedzę, a często na łęku,
Y kiedy po woiennych pracach, ſen mię zmorzy,
Budzą mnie kotły, pierwey niżli dzień przyſporzy.
Korony, co ſię do mnie, wpraſzaią y ciſną,
Nie raz mi ſię przez dolę chwieią nienawiſną,
A gdy Woyſko na miecze, wiodę iak na iatki,
Myślę, że iuż mam ſkończyć, dni moich oſtatki,
Y kiedy ie poświęcam, na ofiarę ſławie,
O wygranę nie pewną, dobiiam ſię krwawie.

Wątpiąc o powodzeniu, śliſkich moich krokow,
Czekam, śmierci lub życia, niepewnych wyrokow,
A biedząc ſię co dziennie, iaki mię los ſpotka,
Widzę, że ſtan Monarchy, gorſzy ieſt, niż kmiotka,
Ale coż, za naſzemi loſy, iść nam trzeba,
Y tam ſię powodować, gdzie prowadzą Nieba,
Władyſław; co panuie, w Węgrzech, w Polſzcze, w Litwie,
Zwycięży, albo zginie, w krwawey z Turkiem bitwie.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

ZAWISZA, y EMILIANNA.

ZAWISZA.

WYbacz Emilianno, że w pośrzodku woyny,
Zołnierz Młodzian, śmiem u nog twoich, ſtawać zbroy-
Wſzak, gdy Zwycięzcy Laurem, z czoła otrą znoie, (ny,
Na tryumfach, przed ſobą, każą noſić zbroie,
Okrytego żelazem, Rycerſkiego męża,
Jedne twych pięknych oczu, ſpoyrzenie zwycięża,
Wieſz podobno od ſławy, żem w boiu zuchwały,
Patrz, iak u ſtop twych ieſtem lękliwy, nieśmiały,
Zwyciężonym; a ſłodkie noſząc w ſercu rany,
Całuię więzy moie, y kocham kaydany,
Sliczne oczy, ſkład cudny, bielſzey niż śnieg twarzy,
Piękność, iakiey ſię nigdzie, obaczyć nie zdarzy,
Wdzięczne lice, co gaſzą lilie y roże,
Ktore ktokolwiek widzi, nie kochać nie może,

Gmin wyſokich Cnot twoich, ktorych nikt nie zliczy,
Zawiſzy ſerce wzięły, w hołd ſwoy niewolniczy,
Ten co ślicznie wychodzi, z zrzenic twoich promień,
Wzniecił we mnie, miłości twoiey, czyſty płomień,
Wſzyſtek nim pałam, w każdey twych ogniow iſkierce,
Pożar żądz goreiących, czuie moie ſerce,
Ktory albo dziś w boiu, śmierć mą krwią zaleie,
Albo go piękniey wzniecą, łaſk twoich nadzieie,
Wiem że do zacney Corki, Raſcyi Deſpoty,
Mogą ſię y Krolowie, odezwać w zaloty,
Ale kto w Polſzcze, ſiedzieć może między Pany,
Krolow obiera, Krolem może bydź obrany,
Y kto ſię zacnym rodzi, w tym Narodzie wolnym,
Ten, y dawać Koronę, y noſić ieſt zdolnym.

E M I L I A N N A.

Panieńſkiemu wſtydowi, racz wybaczyć Panie,
Ze ſłowa, w uſtach moich, tłumi pomieſzanie;
Bo ta, ktorą od ciebie, dziſiay ſłyſzę mowa,
W mych uſzach, niezwyczayna zdaie ſię, y nowa,
A moy ięzyk, przed tobą prawdziwie to wyzna,
Ze pierwſzy o miłości, mowiſz mi męſzczyzna,
Nie znam dotąd kochania, y nie mogę wiedzieć,
Co mi należy, na twoy dyſkurs, odpowiedzieć,
Naradzę ſię z Rodzicem, a kochany Ociec,
Tey dla mnie taiemnicy, będzie umiał dociec,
Nie ſądź iednak, z tey zwłoki, że moy umyſł hardy,
Znakiem ma bydź, moiego gniewu, albo wzgardy,
Dalekam od tych myśli, ſzacuię twe cnoty,
Cenię, zacności twoiey y męſtwa przymioty.
Rozum y ſerce twoie dość mi ſię podoba,
Nie mogę ieſzcze mowić; ieżli y Oſoba,
Zoſtawmy to czaſowi, a co nam Bog ſądzi,
Stanie ſię tak, iak dolę naſzą rozporządzi.

Snuie

Snuie iedwab z wnętrzności, robaczek na morwie,
A nie wie, gdzie go wprędce, nawalny wiatr porwie,
Y my poydziem, gdzie oko Naywyższego skinie,
A co komu przeznaczył Bog, to go nie minie.

ZAWISZA.

Z przyiemnego mym uszom, twych ślicznych ust głosu,
Wnoszę sobie: łaskawy wyrok, mego losu,
Gdy pełne Cnot wysokich, twe serce dziewicze,
Nie odmawia mię przyiąć, w więzy niewolnicze,
Nie śmiałbym, tak się w pychę wzbiiać, y wynosić,
Bym cię o cień nadziei, odważył się prosić,
Na te łaski, naywiększe, po Bogu y Niebie,
Ani dosyć Cnot nie mam, ni zasług u Ciebie,
Dościem szczęśliwy, kiedy w twych pięknych zrzenicach,
Wzgardy nie widzę, tylko wstyd śliczny na licach,
Ten dar Niebios tak cenię, że z losy moiemi,
Nie kładę nigdzie szczęścia, rownego na ziemi,
Zebym zaś wart był Ciebie, y twoich cnot godzien,
Albo powrocę do nog twych, sławy nie głodzien,
Albo z gminow Tureckich, krew leiąc orężem,
Z twą miłością, y z sławą, na placu polężem.

EMILIANNA.

Szablą robiąc na sławę, y woiuiąc bitnie,
Ufay, że na twym skroniu, nowy Laur zakwitnie,
Ze gdy potęgę Turkow, zwątli y wycieńczy,
Zawisza; dziś się pięknym, tryumfem uwieńczy,
W pośrzodku gminu Pogan, czyniąc męstwa cuda,
Gdzie ty, tam y zwycięztwo poydzie, tam się uda,
Gdzie się z mieczem obrocisz, wszędzieć się poszczęści,
Rozproszysz hufce Turkow, na tysiączne części,

A nurzaiąc w Poganach miecz y rękę krwawę,
Zmieciesz z placu ich szyki, tak, iak wiatr kurzawę,
Te są moie życzenia, a Bog, co człowieczy,
Los ma w ręku; niech w boiu, w swoiey cię ma pieczy.

ZAWISZA.

Pierwey niźli Zawisza, z Turkiem bitwę stoczy,
Męstwa mu przyda: ogień pięknych twoich oczy,
W cnotach twoy uczeń, w słodkiey twoy więzień niewoli,
Idę doświadczać, losu moiego y doli,
Jeźli zdrow wyidę z boiu, twą miłością ranny,
Smierci lub życia czekam, z ust Emilianny,
Jeźli zginę; za krwawy na Cnotę zarobek,
W nadgrodę czynow moich, chcę mieć ten nadgrobek:
Tu spoczywa Zawisza, ktory w czoła pocie,
Na Woynach, krwią y życiem, mężnie służył cnocie,
Szczęśliwy; że wysłużył, y korzystał siła,
Gdy nim, Emilianna piękna, nie wzgardziła.

SCENA DRUGA.

WŁADYSŁAW, y EMILIANNA.

WŁADYSŁAW.

Sliczna Emilianno, składam pod twe stopy,
Berła, co wielką częścią, władaią Europy,
Tego, ktory Narodom wolnym, daie Prawa,
Krola za niewolnika przyimiy Władysława,
Kilka Koron, Laurowym przeplatanych wieńcem,
Ciśnie się do nog twoich, z Rycerzem młodzieńcem,
Ale droższe, niżli to wszystko, niosę dary,
Serca kochaiącego, dozgonne ofiary,

Tego

Tego ſerca, o ktorym ſława wiernie głosi,
Że w cnoty bogatſzego, nikt z męſzczyzn nie nosi,
Przyimiy hołd ieſzcze ieden, winny twey piękności,
Nigdy przedtym nie znaney pierwiaſtki miłości,
Ktorą z podziału ſerca, Korony y Tronu,
Piękney Emiliannie, chcę przyſiądz do zgonu.
Wiem że to wſzyſtko fraſzka, ważone na ſzali,
Z twemi Cnotami, ktore świat wielbi, y chwali,
Nad ludzkie twe przymioty cenię tak wyſoko,
Że znam, iż mię powinno, przenośić twe oko,
Ale, że iak ty Cnotą, gaśiſz wſzyſtkie Damy,
Tak my ſławą, Monarchow wſzyſtkich przewyżſzamy,
Jak ty, przedziwną Panny zwyciężaſz urodą,
Tak mnie nad innych Krolow, zwycięztwa śię wiodą,
Przeto, niepłonnie tego ſpodziewam śię ſzczęścia,
Że mi nadzieię twego uczyniſz zamęścia,
A o ſercu wſpaniałym, o piękney twey duſzy,
Moia miłość w twych oczach, dobrze ſobie tuſzy,
Że te; ktorem do Ciebie, śmiał uczynić kroki,
Przyimą ślicznych uſt twoich, łaſkawe wyroki.

EMILIANNA.

Wielki Krolu; wybaczy twe ſerce wſpaniałe,
Że ięzyk moy lękliwy, uſta me nie śmiałe.
Zgodney do twey powagi, duſkurſu oſnowy,
Pięknie dobieranemi, nie wyrażą ſłowy,
W poranku życia mego, w kwitnącey młodości,
Nie mam ieſzcze z kochaniem, żadney znaiomości.
A z Cnotą tylko trwaiąc, dni y nocne cienie,
Nie znam miłości; nie wiem, co to za ſtworzenie,
Na twe ofiary, tyle mogę mowić Panie,
Że ie czcić, w mym należy, nie przyimować ſtanie,
Wyznać mogę, że Cnoty twe, moy rozum kocha,
Ale ieſzcze nie ſerce, bo bym była płocha,

Cnoty, Berła, Korony, Laur zwycięzkich wieńcow,
U Panien ziednać mogą, ſzacunek Młodzieńcow,
Lecz miłość w czyſtych naſzych, nieprzyſtoi ſercach,
Dotąd; aż nie ſtaniemy, na ślubnych kobiercach,
Co ſię tycze zamęścia mego, to w tey mierze,
Przez uſta Oyca gadam, on moy los obierze,
A lubo piękne ſerce, y umyſł wſpaniały,
Hoyną ręką, łaſkawe Nieba, w Ciebie wlały,
Lubo wolnych Narodow, oſiadaiąc Trony,
Od Cnoty, nie od ſzczęścia, odbieraſz korony.
Lubo w Laury zwycięzkie, uwieńcza Cię ſława,
Obrońcą Chrześciańſtwa, zowiąc Władyſława,
Lubo ten twoy tak wielki luſtr, biie mi w oczy;
Me ſerce w przyiaźń z tobą, bez Oyca nie wkroczy,
Wiele czynię, gdy mowię; że w moiey zrzenicy,
Doczytaſz ſię, moiego ſerca taiemnicy.

WŁADYSŁAW.

Sliczne oczy, zwierciadła duſzy, ſerc tłumacze,
Wy mi bądźcie, mych loſow, wierni powiadacze,
Wy ſię zemną rozmowcie; wſzak pięknych ſerc dwoie,
Rozmawia ſię oczami; zgada myśli ſwoie,
Wy mi bez ſłow powiedzcie, taiemnie y ſkrycie,
Co mię w ſercu mey Pani, czeka; śmierć czy życie,
Wſzak wy naypierwey wiecie, to co ſerce czuie,
Wſzak na was, miłość, wzgarda, y gniew ſię maluie,
Ale co widzę? czy mię zrzenica nie łudzi?
Czytam w twych oczach, żem ieſt nayſzczęśliwſzym z ludzi,
Nieba! Emilianno! oczy! ſerce śliczne!
Rozum! uroda! grzeczność! przymioty rozliczne!
Y ten zbior tak wſpaniały, Cnot nieſkażytelnych,
Jak że mię wywyżſzaią, nad dolę śmiertelnych.

EMI-

EMILIANNA.

Skończmy Panie rozmowę, bo mniemam że pono,
Z oboiey ſtrony, nazbyt iuż dotąd mowiono,
O więcey ieſzcze proſzę, racz mię tu zoſtawić,
Y pozwol mi ſię ſamey, z myślami zabawić,
Ma proźba, niewiem, czy ieſt śmiałość, czy proſtota,
Ty wieſz, że o co proſzę, to nam każe Cnota.

WŁADYSŁAW.

Twoy rozkaz, ſobie ważę, tak, iak wyrok Nieba;
A kiedy Cnota, y ty każeſz; wyiść potrzeba.

SCENA TRZECIA.

EMILIANNA, y FAUSTYNA.

FAUSTYNA.

MAm czego powińſzować, Sioſtro twey piękności,
Ze w ſercach wielkich Krolow, mieści ſię y gości,
Słuſznie ſię twa ſurowość, na innych natęża,
Kiedy uroda twoia, Monarchow zwycięża,
Zeſzłam ſię z Władyſławem, a tę ktorą pała,
Miłość; z oczu y z twarzy, Jegom wyczytała,
Tenże płomień poſtrzegłam, w zrzenicach Zawiſzy,
Lecz gdzie ſię Krol odzywa, tam ſię Wodz uciſzy.

EMILIANNA.

To, co ci Sioſtro powiem, niech będzie w ſekrecie,
Dotąd; ieźli ſtworzenie, iakie ieſt na świecie,
Co go zowią miłością nie wiedziałam, ani
Słyſzałam, że wzrok pięknych oczu, ſerca rani,

Puſ-

Pułgodzinna, nie wyszła ieszcze, czasu chwila,
Jak mi się pierwszy w życiu, Zawisza przymila,
Ktory co tylko wyszedł, Krol zaraz w też tropy,
Przychodzi; do zamęścia daiąc mi pochopy,
Ale kochana Siostro, nierozumiey, aby,
W miłość mię wplątać mogły, te słodkie powaby,
Darmo, by się w me serce, Krol wprasza sto razy,
Nie kocham; poki Oyca, nie zaydą rozkazy.

F A U S T Y N A.

Zdradzaią cię twe oczy, y ślicznie rumiany,
Wstyd wydaie, że słodkie nosisz w sercu rany,
Bo kiedy Władysława, twoy ięzyk wymieni,
Twarz ci miłość, swą farbą, rożową czerwieni.
A w tych zrzenicach, mocą niewidomey ręki,
Maluie Syn Wenery, przyiemność y wdzięki,
Bądź zaś pewna, że z Cnotą zgodney, serca chętce,
Wyrok Nieba, pomyślny skutek, zdarzy wprętce,
Bo nasz Ociec, co wolą twą, y moią władnie,
Na tak piękne zamęście twe, pozwoli snadnie,
Wzaiemnie ci zaś Siostro, powierzę moy sekret;
Nie wiem iaki mey doli, Niebo wyda dekret,
Aleby się me serce, zgodziło z Niebiosy,
Jeżliby żyć z Zawiszą, wypadły mi losy,
Podobał mi się; z wielkich Cnot, gminu y tłumu,
Insi kochaią z serca, ia kocham z rozumu.

E M I Ł I A N N A.

Nie dziw, że grzeczność, zacney y Cnotliwey młodzi,
W sercach Dam, skryte żądze, y wznieca y słodzi,
Lecz Nieba przeznaczaią, z kim w dozgonney parze,
Do przysięgi przed Swięte, poydziemy Ołtarze,
Niżeli się zaś dowiem, iak mi los okryślą,
Radzić się w osobności, chcę z sercem y z myślą.

SCENA CZWARTA.

EMILIANNA SAMA.

KTo miłość, słodką nazwał, pomylił się w zdaniu,
Nie przystoi tak piękne nazwisko kochaniu,
Stworzenie, ktore serca rani, łzy wyciska,
Nigdy niegodne, tylko Tyrana nazwiska,
Wzdychać, ięczyć, rospaczać, narzekać, y szlochać,
Powieda, że rzecz miła iest; byleby kochać,
Kogo zdradliwa iego, usidli ponęta,
Każe mu swe całować, kaydany y pęta,
Slepe swym posłuszeństwo rządzom, zowiąc cnotą,
Gdzie skinie, krew y życie, nieść każe z ochotą.
Ten Tyran, w opłakaną wziąwszy mnie niewolę.
Okrutnie dręczy moią myśl, serce, y wolę,
Bol moy taić mi każe, męki cierpieć skrycie,
Na złość mi zostawuiąc, gorsze niż śmierć życie,
W pierwszych poznania mego, z miłością początkach,
Już ią w naygłębszych serca, uczułam zakątkach,
Ogniem mię pali, ktory choć łzami obleiem,
Tak się wzmaga, iak płomień, gaszony oleiem,
A do samey swą mocą, przenikaiąc duszy,
Myśl słabi, siły wątli, y ciało me suszy,
Moment; iakem zaczęła, kochać Władysława,
A iuż boiaźń, żal, rospacz na myśli mi stawa,
Już mię okrutna miłość strafzy, że nie minie,
Godzina; a ten wielki Krol, w tych polach zginie,
Ze gdy w bitwie, lać gotow, krew swą nieoszczędnie;
Korona iego spadnie, y Laur iego zwiędnie,
Ze te berła, te wieńce ktore mi pod nogi,
Rzucał; zetnie swą kosą, śmierci zamach srogi,
Ze tego Krola Cnoty, odwagę, y męstwo,
We krwi iego zanurzy, Turczyna zwycięztwo,

Ze ſię Władyſław, w polach tych, ſwą klęſką wſławi,
A memu ſercu, ſmutek, żal, y śmierć zoſtawi,
Te myśli, ſtraſzne we mnie, wzbudzaią roſpacze,
Wyciſkaią wzdychania, ięczenia y płacze,
Tyle mam z okrutnego, kochania korzyści,
Coż dopiero czuć będę? ieźli ſię ſtrach zyści.

AKT TRZECI.

SCENA PIERWSZA,

KORWIN, y TARNOWSKI.

KORWIN.

SŁawny Wodzu, Rycerzu mężny, y ſzczęśliwy,
Ktory wielą Laurami, zdobiſz włos twoy ſiwy,
Ktorego ręka, Turkow w krwi właſney zanurza,
A ſzeregi ich ściele, tak, iak kłoſy burza,
Ty; co iak tylko Woyſku, dobyć każeſz miecze,
Blaſkiem ich przeſtraſzony, Tatarzyn uciecze,
A ſławney ſzabli twoiey, boiąc ſię zamachu,
Przed bitwą, zwyciężonym zna ſię bydź od ſtrachu,
Tobie, Korwin z ufnością, ſwe ſerce otworzy,
W przod niżli krwawey z Turkiem, bitwy czas przyſporzy,
Wielkiego Miſtrza w woynie, ciebie ſię poradzi,
W przod, niż na tłumy Pogan, Węgrow poprowadzi,
A przezorną twą radą, kieruiąc ſwe kroki,
Smiele poydzie, gdzie Niebios rozkażą wyroki,
Powiem ci naprzod, bardzo nie dobre nowiny,
Ktore iakem odebrał, nie maſz puł godziny,

Idę od Krola; ktory myśl swoią taiemną,
W gorzkości serca swego, wynurzył przedemną,
A w osobnym sam na sam, zostawiszy namiocie,
Rozmawiał o dzisieyszym, losow swych obrocie,
Ten Pan, ktorego umysł wielki, y wspaniały,
Nie wzruszony w nieszczęściach był, iak w burzach skały,
Ktory sto razy śmiercią, otoczony w koło,
Na ognie y na miecze, poglądał wesoło,
Dziś iak inszy; z pogodnych dotąd, iego oczy,
Dziś pierwsze łzy, zła dola, wyciska y tłoczy,
Ten wielki Krol, westchnąwszy, ścisnął mię, a w głowę,
Całuiąc mię, żałosną zaczął do mnie mowę,
Temi słowy: czy wieszże, kochany Korwinie,
Że dzisiay twoy Władysław, zwycięży lub zginie,
Dziś albo nowym Laurem, me skronie okryię,
Albo ostry Turecki miecz, zetnie mi szyię,
Trzeba iednak, wielkiego na to, Niebios cudu,
Żeby ten gmin świeżego, Woysk Tureckich ludu,
Ktory dziś, bardzo zmocnił, Poganow szeregi,
Nie posłał nas w mogiły, dzisiay na noclegi.
Wiesz że Turkom prześcia, do brzegow Pogańskich,
Nie śmiały bronić Floty, Panow Chrześciańskich,
Bo tak okręty swemi, Turczyn okrył morze,
Że był w daleko większey, niż nasi sił porze,
Z tak strąszliwą potęgą, z tak niezmierną mocą,
Dziś, ten Azyi sukkurs, Turkom przybył nocą,
Potym rzecze Krol; na tę wiadomość okropną,
A do ostatniey klęski, Woysk naszych pochopną,
Ztrętwiał Papieski Poseł Julian; a Święci
Biskupi; niezwyczaynym strachem byli zdięci,
Moment minął; iak wyszli odemnie ze łzami,
Czas mi daiąc z moiemi, bawić się myślami,
Daley Krol rzecze; y ty idź, a niech waleczny,
Nasz żołnierz w szyku, trzyma miecz swoy obosieczny,

Ty z Tarnowſkim, nayprędzey powroć tu, a razem,
Będziemy ſię ratować, radą y żelazem.
Ja na to; chociaż w myślach zatopion głęboko,
Do weſołości moie przymuſiwſzy oko,
Tylem rzekł: wielki Krolu, wielki woiowniku,
Wieſz; że Potęga Woyſka, ieſt w męſtwie, nie w liku,
A od Krola do ciebie, czyniąc kroki śpieſzne,
Przyſzedłem tu, nowiny głoſić niepocieſzne,
Teraz, radź Wodzu, w krwawych bitwach doświadczony,
O ſławie Chrześciańſtwa, Krola, y Korony.

TARNOWSKI.

Nie ieſt mi ſtraſzna, Turkow zwiękſzona potęga,
Ale zerwane Pakta, złamana przyſięga,
Ta mi ſerce przeraża, ta myśl moią trwoży,
Czy nie gniewny, wypadnie na nas, wyrok Boży,
O tym myślę, tego ſię obawiam, bo przecie,
Przyſięga, obowiązkiem wielkim ieſt na świecie,
Pokoy byłby naylepſzy; ale że po zmowie,
Dwugodzinney, zrażeni Tureccy Posłowie,
Odiechali, a zaraz potym, wielkie ſiły,
Woyſko ich, nowych ſzykow przybyciem zmocniły.
Choćby o pokoy proſił Krol, Turczyn nim wzgardzi,
Bo Poganie, ſą wſzczęściu zuchwali y hardzi,
Teraz nam nie zoſtaie, tylko iedna rada,
Niech Krol w Bogu, y w mieczu ufność ſwą pokłada,
Niech ta mała Rycerzow, Chrześciańſkich garſztka,
Krwi ſwoiey oſtatniego, nie ſzczędzi naparſztka,
Niech ią wſzyſtką poświęci, y wierze y ſławie,
Niech zwycięży lub zginie, w krwawey z Turkiem ſprawie,
Niech wierzy, że w dziſieyſzey bitwie, y potrzebie,
Zwycięzſki Laur otrzyma, na ziemi lub w Niebie.
Ale tu do nas, mężny Zawiſza pośpieſza,
Smutno patrzy, twarz iego, mieni ſię y mieſza,

Znać;

Znać; że go ta zasmuca, co y nas przyczyna,
Bardzo wielkie zmocnienie, Potęgi Turczyna.

SCENA DRUGA.

ZAWISZA, KORWIN, y TARNOWSKI.

ZAWISZA.

SŁawni Rycerze, wielcy Woysk naszych Wodzowie,
Niepocieszne nowiny, Zawisza wam powie,
Moy Podiazd, gdy się blisko, pod Turkow podmyka,
Powiedacza okropnych wieści, wziął ięzyka,
Agę od Krymskich, ktory pod utratą życia
Twierdzi, że sam iest świadkiem Woysk wielkich przybycia,
Widział ten Aga Pułki, Piechoty, y Jazdy,
W takim gminie, y liku, iak na Niebie gwiazdy,
Tey nocy, pierwey niżli zaświtało zorze,
Przyszedł ten tłum z Azyi, przesłany przez morze,
Ktore tak napełniły, poganow okręty,
Że Flocie Chrześciańskiey, uczyniły wstręty,
Od zaczepki, y owszem, nasza Flota nagle,
Daleko od Poganow, obrociła żagle,
Drugą ieszcze wiadomość, przydał tenże Aga,
Że się dzisiay, na krwawą bitwę, Turczyn wzmaga,
Że iak tylko godzinę lub dwie, Sukkurs spocznie,
Turczyn z nami do boiu, poydzie nieodwłocznie,
Że nas iak za zginionych, u siebie poczyta,
Twierdząc że iego koni, zetrą nas kopyta,
A zuchwale, swey hardey podchlebiaiąc dumie,
Potęgę Woysk zakłada, nie w męztwie, lecz w tłumie,

Tego

Tegom Agę, do Krola, kazał poprowadzić,
Nim tam sam poydę, z wami chciałem się naradzić.

KORWIN.

Mocnieyszy Bog; niż wielkie, hardych Pogan gminy,
Potęgę Turkow skruszy, w małe odrobiny,
Jak wiatr kurzawę z ziemi, tak ich z placu zmiecie,
Ten, ktory iest naywiększym, mocarzem na świecie,
A Turczyn,co się strasznym mnostwem,woysk swych chwa-
Wielkością y potęgą swą, sam się obali, (li,
Jak wieża, na gwałtownym, upadaiąc wietrze,
Wagą y mocą swoią, złamie się y zetrze,
Węgrzyn; gdy iego szablą, Bog raczy powodzić,
Będzie w dzisieyszey bitwie, w Poganow krwi brodzić,
Gdy w potyczce Naywyższy, stanie przy Polaku,
Gminy Tureckie, w małym przełamie orszaku,
A kiedy Pan zastępow, dopomoże Litwie,
Małym hufcem, tłum wielki Pogan, zniesie w bitwie,
Wszak nie raz, straszne gmachy, niezmiernego Domu,
Zniszczy ogień, małego piorunu y gromu,
Wszak Pałace; choć dachem, obłokow dosięgły,
Mała iskra, w popioły, obraca ich węgły,
Wszak mały Topor, wielki dąb, zrąbie na trzazki;
Y nas garstka, gmin Turkow zniesie z Bożey łaski;
A tę prawdę poświecie, głosić będzie sława,
Nie gmin wygraie, ale Bog y dobra sprawa,

ZAWISZA.

Takąż iak Korwin, ufność mam, w Bogu Zastępow,
Ze da gminy Tureckie: na pastwisko sępow,
Ze między połamane, y strzały y Łuki,
Na trupy ich Pogańskie, będą padać Kruki,

Ze krew ich ſtrumieniami, płynąć do Dunaiu,
Z wodą poydzie farbować, brzegi tego kraiu,
A naukę, da światu, Turkow klęſka ſroga,
Ze woyna rzecz ieſt ludzka, zwycięztwo rzecz Boga.
Zawiſza zaś, co Woyſkiem bitney Litwy włada,
Dziś ſobie, albo mężnie, zwyciężyć zakłada,
Albo ſię narażaiąc, na Turkow bułaty,
Za Wiarę krwawey Zycia odżałuie ſtraty.

K O R W I N.

Sliczne zdanie Zawiſzy, y umyſł wſpaniały,
Godne ſą wiekopomney, y ſławy y chwały,
Zdobią te ſentymenta, walecznych Polakow,
Przywykłych łamać tłumy Pogańſkich orſzakow,
Dziś Węgrow y Polakow, dwa bitne Narody,
O Laur albo o mary, poydziemy w zawody,
Ubiegać ſię będziemy, kto z nas większe męſtwo,
Pokaże w krwawym boiu, przez śmierć, lub zwycięztwo,
Korwin iuż ſobie obrał, przed dziſieyſzą ſprawą,
Chrześcianom zwycięztwo, a ſobie śmierć krwawą.
Szczęśliwy; ieźli chętnym, krwi ſwoiey okupem,
Laur Chrześcianom ziedna, a ſam padnie trupem,
Y w zamian piękny, za krew, życie, y Buławę,
Wezmie, dzieł ſwych Rycerſkich, wiekopomną ſławę.

T A R N O W S K I.

Poświęćmy krew y życie, Wierze, ſławie, Cnocie,
Łożmy ie chętnie w boiu, y w krwawey robocie,
Szukaymy mężnie, piękney śmierci, lub zwycięſtwa,
Tam gdzie będzie naywiękſza, Pogan ſzykow gęſtwa,
Idźmy w ogień, iak idą na gody, a śmiele
Pytaymy, gdzie ſą Turcy, a nie iak ich wiele,

Gdy

Gdy nam na gminy Pogan, zdarzy ſię uderzyć,
Smieymy moc Woyſka męſtwem; nie wielkością mierzyć,
A czekaiąc z rąk BOGA, Laurowego wieńca,
Nurzaymy ſzablę we krwi, Turczyna niekrzczeńca,
Szczęśliwym mieńmy tego, kto z nas w boiu legnie,
Kto za garſtkę krwi, Niebios Kroleſtwo oſięgnie,
Y za życie, tak wielkiey nadgrody niewarte,
Z boiu, poydzie w niebieſkie, podwoie otwarte,
A ręką Boſką z Lauru, Koronę uwitą,
Odbierze za Męczeńſtwo, w nadgrodę ſowitą,
Do niey ſię wſzyſcy w boiu, wzaiem ubiegaymy,
A życie naſze drogo, Poganom przedaymy,
Y w ſetnym Turkow, ieden Chrześcianin trupie,
Niech leży, na pobitych, nieprzyiacioł kupie,
Kto z nas w krwawey potyczce; pierwey życie ſtraci,
Niech w Niebie prosi BOGA, o zwycięztwo Braci,
Błagaiąc Naywyżſzego, w Męczeńſkiey Koronie,
Niech Laur ziemſki uprosi, Chrześciańſkiey ſtronie.
Ale czas iść do Krola; raczcie mu ſię ſtawić,
Mnie ſię pozwolcie z memi myślami zabawić.

SCENA TRZECIA.

TARNOWSKI SAM.

NA ſchyłku życia mego, na rozſtaniu z światem,
Stary Wodz, umrę ścięty, Tureckim bułatem,
A za Wielkiego BOGA, Nayświętſzym wyrokiem,
Z boiu nie z łożka, poydę w grob, Rycerſkim krokiem.
Szukałem w bitwach śmierci, gdym był w młodſzey dobie,
Starzec; dziſiay to znaydę, czegom życzył ſobie,
Wielbię BOGA, że w krwawey, głowy mey ofierze,
Dziś me życie poświęcę, y ſławie, y wierze,

Ze

Ze wiek ſpędziwſzy w bitwach, w ranach, w pocie czoła,
Zginę przy doſtoieńſtwie, Krola y Kościoła.
Bo gdym w Woynach, ſtarości tak zgrzybiałey dożył,
Czas ieſt; abym mą głowę, za Wiarę położył,
Nie mogę piękniey umrzeć, a śmierć w takim zgonie,
Za ſzczęśliwſzą poczytam, niż życie na Tronie.
Kontent; że ſławnych zwycięztw, y Laurow tak ſiła,
Dziś, ze mną, iedna w ziemi, pochowa mogiła,
Ze krew, ktora Rycerſkim ogniem, we mnie wrzała,
Dziś na tych polach będzie, ſtrumieniem ſię lała.
Ofiaruię ią Tobie, Boże Chrześcianow,
Wyſłuchay ią, gdy wołać będzie, na Poganow.
Racz ich hardość potłumić, zuchwałość poſkromić,
Szyki ich zmieſzać, ſzablę ſtępić, gmin rozgromić,
Niechay, na ſiebie ſamych, obrociwſzy miecze,
Wzaiem ſię tłum Poganow, wycina y ſiecze,
Niech blaſkiem ſzabel naſzych, przeſtraſzony ſrodze,
Sam ſię zabiia, w ciężkiey roſpaczy y trwodze,
Niech Chrześcianow w bitwie, twa ręka zaſtawi,
A Turczyn niech ſię dziſiay, wielką klęſką wſławi.
Poświęcam ci mę głowę, na ofiarę krwawą,
A żebrzę; obdarz Woyſko twe, zwycięſtwa ſławą.
Ja za wiarę, mężnego w boju wytchnę Ducha,
Ty BOZE, na me prożby, racz nachylić ucha.

L

AKT

AKT CZWARTY.

SCENA PIERWSZA.

EMILIANNA y FAUSTYNA.

EMILIANNA.

NIech mi ſię godzi Sioſtro, przed tobą użalić,
Ze mię miłość ſwym ogniem nie przeſtaie palić.
Serce moie tak męczy, myśl moią tak trapi,
Ze wołam śmierci, niechay do mnie ſię pokwapi.
Okrutna nie przychodzi; znać w okropney Warnie,
Na moie ſię z miłością, ſprzyſięgła męczarnie,
Nie da mi prętko zkończyć, y życia y doli,
Y chce mię wolnym ogniem, zamęczyć powoli,
Nie oſchną z łez me oczy, a ſerca wzdychanie,
Y na krotką momentu chwilę, nieuſtanie.
Odetchnąć mi ſurowa miłość, nie dopuſzcza,
A myśl moię do żalu y troſkow poduſzcza.
Cnoty, Berła, Korony, Laury Władyſława,
Wſzyſtko to z iedney ſtrony, na myśli mi ſtawa.
Ale iak ſtraſzny widok, ſtawa z drugiey ſtrony,
Władyſław ścięty; we krwi ſwoiey zanurzony.
Tymi myślami miłość, zacząwſzy mię trwożyć,
Nie przeſtaie ſię na mnie odgrażać, y ſrożyć,
Straſząc mię, że krotkiego czaſu, prętkie chwile,
Me żądze w iedney z Krolem zagrzebią mogiłe.
Ach Sioſtro! gdyby można, żeby moie oczy,
Obaczyły go pierwey, nizli bitwę ſtoczy,
Gdybym ſię choć na krotki moment, z nim widziała,
Od ſerca bym przez uſta, to mu powiedziała:

Ze

Ze mi Ociec Cnot iego kochać, nie zabrania,
Niechayże dla mnie, życia swoiego ochrania.
Ze ieżeli on zginie, co chciał być mym mężem,
On szablą, ia miłością ranna wraz polężem,
Ze ieżeli nie życzy, abym była w grobie,
Niech życie moie, w swoiey zachowa Osobie,
Ze gdy na Laur zwycięzki, ma zarabiać krwawie,
Niechay mię nie zabiia, na ofiarę sławie.
Bo ieźli z nim ostatnie spełnią się wyroki,
Emilianna za nim, w grob poydzie bez zwłoki.

FAUSTYNA.

Nie mamy widzę Siostro, co wymawiać sobie,
Obieśmy zażalone, nieszczęśliwe obie,
Podobne łzy naszemu, los przeznacza oku,
A obydwoch Siostr serca, iednego są toku,
Jak ty, tak y Faustyna, y wzdycha y ięczy,
Podobnym ogniem miłość, pali nas y męczy,
A płaczem, y wzdychaniem, naszym nieużyta,
Dręczy nas w taynych serca, zakątkach ukryta,
Nigdy się w mych ięczenie, ustach nie ucisza,
Trwożę się, czy nie zginie, w tey bitwie Zawisza,
Czy nie da garła, Pogan zwyciężony tłumem,
Ten młodzian sławny Cnotą, męstwem, y rozumem,
A ten Rycerz, ktorego nie ieden laur zdobi,
Czy się w tey bitwie, szablą śmierci nie dorobi.
Ale żal tym czuynieyszy, serce me przenika,
Ze skrycie pałam, czystym ogniem Niewdzięcznika,
Ze gdy myśl moia, w Cnotach iego się zatapia,
Gdy boiąc się o niego, łzami się twarz skrapia;
Gdy w krwawey bitwie, ktorą dziś stoczy z Pogany,
Szła bym chętnie za niego, na śmierć y na rany,
On o tym nie wie; słowa nie przemowi ze mną,
A tobie czyni serca, ofiarę daremną,

Kocha gdzie niekochany, gdzieby go kochali,
Nie kocha, ze mną zimny, do ciebie ſię pali,
Ale Zawiſza idzie; pewnie w tey rozmowie,
O ſwych ſię Sioſtro, w twoim ſercu, loſach dowie.

SCENA DRUGA.

ZAWISZA, EMILIANNA, FAUSTYNA.

ZAWISZA.

GDy oſtatnia podobno, godzina docieka,
W ktorey mię lub zwycięſtwo, lub piękna śmierć czeka,
W ktorey, chcąc ſobie, twoie zaſłużyć pochwały,
Krew y życie ponioſę, na miecze, na ſtrzały,
A maiąc ſerce tchnące Wiarą, ſławą, Cnotą,
Na bitwę, iak na gody, poſpieſzę z ochotą.
Nim w boiu los mi padnie ſzczęśliwy czy ſrogi,
Piękney Emiliannie ściele ſię pod nogi.
Jeźli mi zaś łaſk twoich, uczyniſz nadzieię,
W ogień idę weſoły, y z śmierci ſię śmieię,
A poſtrzegſzy w twych oczach, przychylne weyrzenie,
Kontent poydę, iak na Tron, pod grobowe cienie.

EMILIANNA.

Cenię twe Cnoty; ale z Niebioſow wyroku,
Jnſzy cel wypadł memu, y ſercu y oku,
Ociec y affekt, każą mi, ſprzyiać Krolowi,
Tobie; Sioſtra nowiny, lepſze niż ia powi.

ZAWISZA.

Okrutna! piorunowym twym przerażon głoſem,
Zadnym ſię w mey roſpaczy, nie pocieſzę loſem?

A tak

A tak mi ieſt nieznośna, ſerca twego ſtrata,
Ze po niey za nic ſobie ważę, reſztę świata.
Jakąż mi dobrą dla mnie, przyrzekaſz nowinę,
Chyba tę, że z roſpaczy w krwawym boiu zginę,
Chyba że dla mnie Nieba, nie będą w tym trudne,
Bym w boiu ſkończył życie, obmierzłe y nudne,
Chyba żebym uſt twoich, wyrokiem wzgardzony,
Zal na ziemi nie zbyty, w gorne ponioſł ſtrony,
Krol moy, w miłości nie ma nademnie nic więcey;
W kochaniu, ten prym bierze, kto kocha goręcey,
Wielkich Monarchow berła, y naſze buławy,
Jednemi ſłodka miłość, zwykła rządzić prawy,
Rowna nas wſzyſtkich, w iednym wſzyſtkich kładzie ſtanie,
A ſerca nad Korony, przekłada kochanie,

EMILIANNA.

Gdy tak ieſt; toć gdzie Cnota, y miłość prowadzi,
Tam zmierzać ſam Zawiſza, pięknym ſercom radzi,
Niechże ſię nie ſprzeciwia, wyrokom kochania,
Kiedy Ociec y miłość, do Krola mię ſkłania.
Ja, nie zamilczę pochwał, cnotom iego winnych,
On dla ſerca, niech ſzczęścia ſzuka u Dam innych.

FAUSTYNA.

Nie zawſze, miłość będzie, okrutna z Zawiſzą,
W krotce ſię ſerca iego, wzdychania uciſzą;
Po burzach piękne czaſy, naſtaią; a zawſze,
Po złych loſach, zwykliśmy odbierać łaſkawſze,
Po grzmotach y piorunach, dzień ſię wypogodzi,
A zła y dobra dola, wzamian z ſobą chodzi,
Lepſzego ſzczęścia loſu, ſerce iego godne,
Po ſmutnych czaſach, chwile pocieſzą ſwobodne,
A tam gdzie kochaiący, w zaiemnie kochany,
Serca za ſerce, ſłodkie uczyni zamiany.

Odmie-

Odmieni ſię Zawiſzo w weſołość twoy ſmutek
Gdy ci w innych zamyſłach Miłość zdarzy ſkutek.
Znaydzie ieſzcze na świecie, w twey ſtraty nadgrodę,
Rowną Emiliannie, zacność y urodę,
O ślicznym twym umyśle, nie rozumiem; żeby,
Na wyroki mey Sioſtry, nie zgadzał ſię z Nieby,
Gdy ci iuż zakazuie, łaſk ſwoich nadziei,
Gdy chce w miłey do ślubu, iść z Krolem kolei,
Gdy przekłada, nad piękne ſerce, Luſtr Korony,
Gdy mniey ſobie poważa Cnoty, więcey Trony,
Zdanie Zawiſzy, zawſze piękne y chwalebne,
Wiem, że zatłumi żądze, do niey niepotrzebne.
A gaſząc ogień ofiar, u niey bezſkutecznych,
Z inſzą Damą zamieni, dar chęci ſerdecznych,

ZAWISZA.

Wzgardzony; iakże mogę w ſzczęściu ufać? bardziey,
Spodziewam ſię, że druga odpowie mi hardziey,
Wzgarda, zwykła za ſobą, złe pociągać ſkutki,
Y ktożby chciał, ſerc przyiąć braki y wyrzutki?

FAUSTYNA.

Ufay, że zła twa dola, w dobrą ſię przemieni,
Bo kto ma piękne ſerce, Cnoty twoie ceni.
Gdy miłość nowym ogniem, w tobie ſię rozżarzy,
Wzaiemnością affektu, twe chęci obdarzy,
Gorzkość ſerca twoiego, kochaniem osłodzi,
Y z zacney cię uczyni, nayſzczęśliwſzym młodzi,
Będzieſz kochał, wzaiemnie kochany y luby,
Krotkim ſtaraniem prętkie, ziednaſz ſobie śluby,
A Niebo kończąc twoie troſki y kłopoty,
Dozgonnym ſzczęściem, wielkie twe nadgrodzi Cnoty.

ZAWISZA.

Gdy mi Fauſtyna, u nog ſwych wzdychać pozwoli,
Ułagodzi ſię ſrogość, nieſzczęſney mey doli,

Lecz

Lecz choć mię do nich ciągnie, ſerdeczna ma chętka,
Nie przyidzie mi po wzgardzie, odwaga tak prętka,
Wprzod idę w ogień na śmierć, niż na miłość śmielſzy,
Nim zginę; lub do Ciebie powrocę weſelſzy.

FAUSTYNA.

Odchodzi; iuż ſię więcey nie obaczy z nami,
Wyidź Sioſtro; ia ſię ſama zabawię ze łzami.

SCENA TRZECIA.

FAUSTYNA SAMA.

Myśli moie; co ſercem dzieląc, żal y troſki,
Cierpliwie z nim znoſicie, ciężki wyrok Boſki,
A złą dolę przyimuiąc, w gorzkiey wam pokorze,
W boleściach przepędzacie, dzień, noc, zmierzch, y zorze:
Wy; co nie daiąc memu, wypocznienia oku,
Lice me zatapiacie, w rzewnych łez potoku,
Co utaioną mocą, niewidomey ręki,
Wyciſkacie, Fauſtyny wzdychania y ięki.
Wy mi ſię zwierzcie, iakich dziś czekacie loſow,
Y iakie przeczuwacie, wyroki Niebioſow.
Dziś, niż naſtąpi, ſtraſzny na mnie, zachod ſłońca,
Doli mey, niepewnego, oczekuię końca.
W polach okropney Warny, dziś około mroku,
Zawiſza czeka Laurow, lub śmierci, wyroku,
Dziſiay, albo ofiary przyimę iego ſerca,
Albo z niego, wytoczy krew, Turczyn morderca,
Ale co czuię? okiem rozumu co widzę?
Oto; z niesfornym tłumem, mych myśli ſię bidzę,
Raz miłość, wdzięczny obraz, mym oczom wyſtawia,
Że ſię Zawiſza, w polach tych zwycięztwem wſławia,

Ze nazwany obrońcą, Wiary y Korony,
Do nog moich powraca, Laurem uwieńczony.
Lecz z drugiey ſtrony, iakie ſnuią ſię poczwary,
Oto; krwawe Zawiſzy śmierć gotuie mary,
Oto, ten Rycerz w Woyſku, tak ſławny, tak wzięty,
Pływa w krwi ſwey powodzi, mieczem Turkow ſcięty,
A odchodząc, w podziemne krwawych mogił cienie,
Bogu y mnie poſyła, oſtatnie weſtchnienie.
Skutku tak ſtraſznych myśli, czas y pora bliſka,
Z zażalonego ſerca, ięczenie wyciſka,
A błądząc, w wielkim tłumie, wyrokow niepewnych
Zanurzam oczy moie, w ſtrumieniu łez rzewnych.

AKT PIĄTY.

SCENA PIERWSZA.

EMILIANNA y FAUSTYNA.

EMILIANNA.

W Tym momencie, okropne dochodzą mię ſłuchy,
Nie czyniące nam dobrey, o Woyſku otuchy,
Bazarnik odbiegaiąc, y ſprzętu y wozu,
Przerażony boiaznią uchodzi z Obozu,
A tymże ſzladem, żołnierz ranny, albo chory,
Uciekaiąc, bezludne zoſtawią tabory,
Grzmot uſtał, y nieſłychać, aby kula chyża,
Z hałaſem wypadała, z harmatnego ſpiża,
Ręczney ſtrzelby, iuż dawno nie ſłyſzymy huku,
Chmury tylko widziemy, ſtrzał puſzczonych z łuku,

Pod ktorych, Woyſko naſze, mężnie walcząc cieniem,
O Laur ſię ſzablą, zbroynym dobiia ramieniem.
Ach Sioſtro, gdyby można, przez iakowy ſpoſob,
Powziąć wieść o tey bitwie, od wiadomych oſob.
Gdyby można uſłyſzeć, że zwycięzca w boiu,
Moy Władyſław, ſwe czoło, Laurem otarł z znoiu,
Ze ſpieſzy dopraſzać ſię, o moie zamęście,
W iakież by, Sioſtro, płacz moy przemienił ſię ſzczęście.

FAUSTYNA.

Kto wie, czy teraz nie ieſt, ta doba y chwila,
W ktorey ſię dwoch Woyſk ſzczęście, waży y przeſila,
Obie błagaymy Niebo; gorącemi modły,
Aby Władyſławowi, zwycięztwa ſię wiodły,
Aby Zawiſza, oſtrzem płytkiego bułata,
Do Pogańſkiego karku, ſięgał Amurata,
Aby w laur Chrześciańſkie Bog uwieńczył ſkronie,
O to, z płaczem go proſić, poydę na uſtronie.

SCENA DRUGA.

EMILIANNA SAMA.

W Gorzkości ſerca mego, w boleściach mey duſzy,
Większych, niżeli męki, nayſrożſzey katuſzy,
Gdy ięk ſpieſzy za iękiem, gdy łza łzę pobiia,
Gdy y ieden moy moment, bez płaczu nie miia.
Gdy na przemiany, męczą mię, ſtrach, żal, wzdychanie,
Do ciebie, Boże wołam, o politowanie.
Wieſz Boże; że w czyſtego ſerca niewinności,
Dotądem żadney w życiu, nie znała miłości,
Ze gdy ſię za rozkazem Oyca, zakochałam,
Nie urody, lecz cnoty, pięknym ogniem pałam:

Wieſz że w mym ſercu gości, Władyſław z tey miary,
Że ieſt mężnym obrońcą; Kościoła y Wiary,
Że pierwſzy raz, zniewolił mię ten Krol Młodzieniec,
Gdy ſkładał, u Ołtarzow twych, Zwycięzki wieniec,
A gdy wieſz, że w chwalebney, czyſtych żądz proſtocie,
Cnota moia kocha ſię, w Władyſława Cnocie,
Spraw o Boże! niech ſerca, ktore cnota ſpaia,
Miecz Turkow nierozdziela, y śmierć nie rozdwaia;
Nachyl Boże; mym prozbom przychylnego ucha,
Wzbudź w Woyſku Chrześciańſkim, Rycerſkiego ducha,
Niech mężnie uderzywſzy, na nieprzyiaciele,
Stotyſięczne Poganow gminy, trupem ściele,
Niech Chrześcianow twoich, mieczowi y tarczy,
Szabla y Kałkan, dumnych Turkow, nie wyſtarczy,
Niechay ſię potykaiąc, przy kotłach y trąbie,
Uſarz, zahukanego Poganina rąbie,
A przeſtraſzony blaſkiem, zbroi y ſzyſzaku,
Niechay zapomni Tatar, o ſtrzałach w ſaydaku.
Nie dopuść Panie, aby twe Kościoły Swięte,
Od brzydkich Pogan były, Kapłanom odięte,
Zabroń, aby w twych Domow zhańbionych podwoie,
Machometa zielone nie weſzły zawoie,
A Meki y Medyny, ſproſnego baiarza,
Sennik, Swiętego twego, nie ſzpecił Ołtarza.
Y ten, cośmy cię czcili w nim Bogiem y Panem,
Brzydkim ſię twoy przybytek, nie lzył Alkoranem,
Spoyrzyi, na krwawą Swiętych Biſkupow ofiarę,
Ktorą ci na plac nioſą, chcąc umrzeć za Wiarę,
A kiedy z Poganami, będą bitwy ſtaczać,
Nie dopuść Turkom, ſzabli, w krwi ich Swiętey maczać.
Racz mieć Panie w twey Swiętey pieczy y obronie,
Te, ktore kilką Koron, ozdobiłeś ſkronie.
Niech ſwą ſzablą, nie ſięga Turczyn do tey głowy,
Coś ią po bitwach, ſtroić zwykł, w wieniec Laurowy,

A nim

A nim by zginął, ostrzem Władysław bułata,
Mnie raczey, Wielki Boże! chciey wprzod zebrać z świata
Ale co widzę; do mnie, mężny Korwin śpieszy,
Strapiona iego postać, bardzo mię nie cieszy,
Smutna także Faustyna, za nim kroki wlecze,
Znać, te, co mnie, Tureckie ztrwożyły ią miecze,
Straszna, ktorą me serce przeczuwa, nowina,
Język mi zawięzuie y słowa ucina.

SCENA TRZECIA.

KORWIN, FAUSTYNA, EMILIANNA.

KORWIN.

WSzystkośmy utracili, a okrutna dola,
Krola, y Woyska klęską, wsławiła te pola.
Straszny widok, głow ściętych, z Chrześciańskich barkow,
Przeraża oczy, gminem tułubow, y karkow,
Mężnych Rycerzow trupem, ziemia się okrywa,
Krew ich w rzeki, wielkiemi strumieniami spływa,
A wylana z ciał martwych, czerwona posoka,
Niechętne łzy wyciska, z samych Turkow oka.
We krwi swey pływaiące, poważne y Swięte,
Obnażonych Biskupow, leżą głowy ścięte,
Z krwią Kardynalską, woda Dunaiu zmieszana,
Swoich Wołochow zbrodni, wstydzi się rumiana,
Zrąbani, skłuci, ścięci, zamęczeni srodze,
Leżą wespoł zmieszani, żołnierze y Wodze,
Niedobitek z pod Turkow ięcząc się dobywa,
A śmierci pośpieszniey szey w ciężkich bolach wzywa.
A we krwi się ze łzami, zmieszaney zatapia,
Ze się śmierć niepospieszna, do niego nie skwapia,

Niewolnik noſząc ciężar, ciaſnego okowu,
Załuie, że w mogiły, nie poſzedł do rowu.
Gmin BOGU Chrześcianow, poświęconych Xięży,
Jęczy, że go Poganin, kaydanem ciemięży,
A nad inne mu daiąc, cięższy okow brańce,
Srożſzą niewolą trapi, Boſkie Pomazańce,
Słowem; kaydany, pęta, miecze, groty, ſtrzały,
Są dziś Chrześcianina, loſy y podziały.

E M I L I A N N A.

Nim umrę, narzekaiąc na dolę okrutną,
Przebog! day mi o Krolu, wiadomość choć ſmutną.

K O R W I N.

Gdy tę wiadomość, z iego rozkazu, dać muſzę,
Uzbroy Emilianno, w męſtwo piękną duſzę.
A w ślicznych twych zrzenicach, wſtrzymuiąc łzy rzewne,
Słuchay. wyroki Niebios, na Chrześcian gniewne,
Gdy od wiernych Krol powziął, wieść niechybną Szpiegow
Ze ſię zbliża gmin wielki Tureckich ſzeregow,
Y gdy mu niezawodne, donioſły ięzyki,
Ze na naſz ieden, ſetne Amurath ma ſzyki,
Krol nieſtrwożony loſem, tak ciężkiego razu,
Dolę Woyſk oddał BOGU, męztwu, y żelazu,
A hufce ſwoie łącząc, w ściſłe ſzykow gęſtwy,
Tuſzył ſobie, nowemi wſławiać ſię zwycięztwy.
Tę garztkę ludzi, kiedy Amurath otoczy,
Jemu ſamemu zaraz, Krol zabieży w oczy,
A tylko co z nim bitwę, y zacznie y zwiedzie,
Na karku płochych Turkow, z ſwym Woyſkiem poiedzie.
Lecz choć ieden ſzyk pierzchnie, zbitego Turczyna,
Drugi ſwoie potyczki, na nowo zaczyna,
Bo gdy ſię Turczyn męſtwem, walczyć nie ośmielił,
Sztuką idąc, ſwe Woyſko, na części podzielił,

Tak

Tak nas chytrą ucieczką, zwodząc przez czas długi,
Ze ieden, Turkow pierzchnął szyk, nastąpił drugi,
Poki małego Woyska, nie ustały siły,
Y szable się, na karkach Turkow nie stępiły,
Potym, większą swych szykow część, Amurath skupi,
Y tam nayprzod uderzy, gdzie byli Biskupi,
Waradyński, gdy mężnie spotkał się Infułat,
Scięty, poległ na placu, przez Turecki bułat,
A szyki Pogan łamiąc, Biskup Agryeński,
Z boiu do Nieba poniosł, Laur krwawy męczeński.
To gdy Krol widzi; blaskiem płytkiego demesza,
Ostatnie Woyska siły, y wzbudza y wskrzesza,
A niżeli na tłumy, Poganow uderzy,
Westchnąwszy; ten mi sekret, do ucha powierzy:
Ja wnet zginę; czy ścięty, czy śmiertelnie ranny,
Umrę pamiętny serca mey Emilianny,
Ty iey powiesz odemnie; ostatnie me słowa,
Bo cię Niebo w tey bitwie, od śmierci zachowa.
To rzekszy idzie w ogień na miecze, na strzały,
Łamie tłum Pogan; liczbą nie męstwem zuchwały.
Ale choć ieden zginie, drugi szyk się zbliża,
A nowy tłum przybywa, y potęga świża.
Tarnowski, gdy postrzeże, że w Pogańskim gminie,
Krol z małym Woyskiem, zewsząd otoczony zginie.
Rzecze; uprzedzam Krola, bo Wodz y poddany,
Przed Krolem iść powinien, na śmierć y na rany.
A zawoła na Woysko; zwyciężmy lub gińmy,
Krol, szuka śmierci; przed nim, my się z nią nie mińmy,
A w pośrzod gminow Pogan, poszedszy skwapliwie,
Znalazł w boiu, śmierć piękną, ktorey szukał chciwie.
W tym Krol, zawoła, gińmy, Wodz sławny y stary,
Już wziął przedemną Lauru Męczeńskiego dary,
To rzekszy; idzie w ogień, iak idą na gody,
A tłumy Pogan łamie, iak Lew owiec trzody.

Gdy

Gdy to widzę; aliści w prętce, nie wiem czyia,
Tuż przy mnie, krwią oblana, z barkow ſpadła ſzyia,
W tym ſpoyrzę; aż zrzenica ma, łzami zalana,
Widzi głowę ściętego, y Krola y Pana,
Ktorey iuż naſunione, y martwe powieki,
Piękne Jego zrzenice, zamkneły na wieki.

EMILIANNA.

Boże! coś z Władyſławem, ſpełnił twe wyroki,
Zbierz mię, abym prętkiemi, w grob za nim ſzła kroki.

FAUSTYNA.

Poczekay na mnie Sioſtro, a obie poſpołu,
Do grobowego w prędce, poydziem ſobą dołu,
Tym czaſem los Zawiſzy; chce wiedzieć Fauſtyna,
Czy zdrow, czy w boiu poległ, od ſzabli Turczyna.

KORWIN.

Bodayby żył na wieki; tak mężni, y tacy,
Być by nieśmiertelnemi, powinni Junacy,
Naywięcey dokazywał, y przy Krola boku,
Lał krew Pogan, a czekał ſwey śmierci wyroku.
Wraz też poległ, z ſwym Krolem, y wśmiertelne cienie,
Poſłało go wraz z Panem, Niebios przeznaczenie.
Widziałem, iak mu w boiu, głowa z karku ſpadła,
Jak krwi zdroie wylawſzy, twarz iego pobladła.
Y iak wytchnąwſzy duſzę, z ſwoim męztwem dzielnym,
Zamknęła, ſnem zmrożone, powieki śmiertelnym.
Ten był, okropny naſzych klęſk, pod Warną koniec,
Ktory, w tym punkcie zwiękſzył, taką wieścią, goniec:
Wynioſzy życie z boiu, Julian Kardynał,
Kiedy ſię w beſpiecznieyſze, krainy przerzynał.
Nieſzczęśliwſzy na wodzie; iuż u brzegu prawie,
Wołoſzyn, na Dunaiu, zabił go przeprawie,

A ſławny

A ſławne wielką zbrodnią, ſwe czołny, y wioſła,
Krwią zbroczył Kardynała, Papiezkiego Poſła.
Mnie nato wyprowadził Bog, z pośrzodka trupow,
Bym ſię mścił, śmierci Krola, Wodzow, y Biſkupow,
Przyidzie czas; że ſzczęśliwym Chrześcianow mieczem,
Więcey niż nas, pod Warną; Poganow wyſieczem.
Teraz, niech ta, co pięknym ſercom, cnotę ſtręczy,
Sława, takim nadgrobkiem, krew Woyſka zawdzięczy.
Wielki Krol, bitne Woyſko, Biſkupi, Wodzowie,
Poniożſzy ſwe pod Warnę, y życie y zdrowie,
Mężnie walcząc z Turkami, przy Wierze y ſławie,
Laury ſobie Męczeńſkie zaſłużyly krwawie.
Niech przed światem, na piękny dzielności ich popis,
Cnoty ich głosi, wiekom potomnym dzieiopis.

DZIWAK.
KOMEDYA.

AKTOROWIE Y AKTORKI.

AMATA, Panna na wydaniu.

CNOTOSŁAWSKI, Brat Amaty.

KRĘCICKA, Służebna Amaty.

STAROPOLSKI, Ziemianin.

ROLAND, Syn Staropolſkiego, Dziwak.

FIUTYNIEC, Pacholik Staropolſkiego.

Scena ieſt w Domkowcach na Poleſiu, we Wsi Staropolſkiego.

AKT

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

ROLAND, y FIUTYNIEC.

ROLAND.

JAkże tu u was nudno; coż to tu za kraie ?
Fe; aż mię wſtyd, na wieyſkie patrząc obyczaie.
Tu, tak właśnie ſię śmieią, iak w Warſzawie płaczą,
Jak tam chromią, tak u was, tańcuią y ſkaczą.
Tu nie wiedzą, iak pięknie ziewnąć, wdzięcznie kichnąć,
Jak ślicznie mrugnąć, iak ſię rozumnie uśmiechnąć.
Jak ſię noſem zakazać, iak białemi zęby,
Chlubić ſię; otwieraiąc na to, troſzkę gęby.
Jak dowcipnie weſtchnąwſzy, głoſić ſerca żale,
Jak ſię w Kościelney ławce, rozwalać wſpaniale.

Nic tu tego nie znaią, ani nawet wiedzą,
Ze grzeczni ludzie, pięknie ſtoią, chodzą, ſiedzą.
Ze nawet drzymią z wdziękiem, a gdy ślicznie zaſną,
Zachowuią ſpiącego ciała, poſtać kraſną.
Tu do was, gdy z Warſzawy; na wieś ſię przyiedzie,
Zdaie ſię, że ſię doſtał człek między Niedzwiedzie.
Kto by tu z wami kilka pomieſzkał mieſięcy,
Zdziczałby; y obyczay przeiąłby zwierzęcy.
A w puł roku uczułby, błąd y żal niewcześny,
Ze na wśi waſzey, ſtał ſię, z człowieka zwierz leśny.

F I U T Y N I E C.

Wſzakże ia od dziecińſtwa, z Waſpanem tu roſłem,
A podobnom nie zwierzem, ani Waſpan oſłem,
Toć gdy tu my, y ludzie rodzą ſię y roſną,
Zacoż im chceſz przydawać, zwierząt poſtać ſproſną?
Zacoż ci ta wieś teraz, tak bardzo obrzydła,
Ze poczytaſz Wieśniakow, za zwierza y bydła.
Wſzakże to wsi Oyczyſtych, obſzary y łany,
Na ciebie groſz ſkładaią, za zboże zebrany.
Wſzakże z tych wsi, a z Oyca, y pracy y łaſki,
Sprawiaſz ſobie Warſzawſkie, y ſtroie y maski,
Wſzak wieś daie pieniądze, Warſzawa roſpraſza,
Pięknać Warſzawa, ale cudza, a wieś naſza.

R O L A N D.

Głupia twa śmiałość, płochy twoy humor hulaſzczy,
Wart żeby pięścią zamknąć, przeſtronność twey paſzczy,
Z takim iak ty rozmawiay, o cepie, y ſnopie,
A przy mnie ſtul pyſk, podły Fiutyńcze, y chłopie.

F I U T Y N I E C.

Moſpanie; nie uſtąpię, w zacności nikomu,
Powiem, z iakiego ieſtem, imienia y Domu,

W War-

W Warſzawie, w Wiedniu, w Rzymie, w Paryżu, w Londynie
Znaydzieſz Fiutyńcow; Jmie ich, bardzo tam ſłynie,
W każdym Narodzie, w każdym Fiutyńcy ſą kraiu,
Y zkładaią część więkſzą, ludzkiego rodzaiu,
Wſzak przyſtoynie y ſłuſznie, Fiutyńcem ſię zowie,
Kto płoche ma poſtępki, y komu Fiu, w głowie,
Przeydź świat cały, a wſzędzie znaydzieſz w nim Fiutyńca,
Włocha, Niemca, Polaka, Litwina, Wołyńca,
Zluſtruy wſzyſtkie Kroleſtwa, Powiaty y Ziemie,
Wſzędzie znaydzieſz Fiutyńcow, ſtarożytne plemie.
Te Jmie świat widywał, w purpurze, w ſzkarłacie,
W Pancerzu, w zbroi, w ſtanie Rycerſkim, w Senacie,
A choć powiem y wyżey, to nie będę łgarzem,
Wſzakże, wielki Fiutyniec Nero, był Ceſarzem,
Ty ſam, między Jmienia mego, wielkim likiem,
Przyznay; ieśliś Fiutyńcow, nie ieſt Plemiennikiem,
Y znacznym; bo cię wſzyſcy zowiem, naſzym wzorem,
A między Fiutyńcami, ieſteś Senatorem,

ROLAND.

W niewyparzonym twoim, zamknąć mowę pyſku,
Pięścią trzeba; a w paſzczę, naſypać ci pryſku.

FIUTYNIEC.

Pięść mogłbyś ſparzyć pryſkiem, lepiey tłuſtą kaſzą,
Albo ſztuką pieczeni, zatkay gębę naſzą,

ROLAND.

Dam ci pięścią, aż w puſtey głowie ci zaſzumi,

FIUTYNIEC.

Ten obyczay Warſzawſki, tu chłop, w karczmie umi,

ROLAND.

Zębyć wybiie z paſzczy,

FIUTYNIEC.

Tu na wsi potrzeba,
Zdrowym, dobrych ſług zębom, nie pięści, lecz chleba,

SCENA

SCENA DRUGA.

STAROPOLSKI, FIUTYNIEC, ROLAND.

STAROPOLSKI.

W Szalonego ſię Synu, przemieniaſz z Dziwaka,
Smieſz Oycowſkiego ſługę bić, zkąd śmiałość taka?
Zkąd ten gniew?

FIUTYNIEC.

O to chciał mi pokazać, iak ładnie,
Da mi w gębę, iak modnie; ząb mi z niey wypadnie,
Y chiał też widzieć, ieźli przyſtoynie, y pięknie,
Kułakiem iego, wziąwſzy w bok; Fiutyniec ſtęknie.

STAROPOLSKI.

Ale za co?

Dziwacy nie pytaią zaco,
A częſto bez przyczyny, uczynią ladaco.

STAROPOLSKI.

Powiedz Synu przyczynę gniewu,

ROLAND.

Oto wiele,
Rozprawiał, y ięzykiem przycinał mi śmiele,
A że ſię ważył ze mną, przemawiać y wadzić,
Chciałem mu na łbie puſtym, czuprynę pogładzić,

STAROPOLSKI.

Dobry Sędzia, oboiey, ſtrony ſprawy ſłucha,
Y nie darmo ieſt człowiek, podwoynego ucha,
Mow twą ſprawę Fiutyńcze,

FIUTYNIEC.

Wprzod bym zgryzł me wargi,
Nizlibym na Pańſkiego Syna, zanioſł ſkargi, Zar-

Zarty to, między nami były, nie niesnaski,
A chciano mię, wziąć za łeb, z przyiazni, y z łaski.

S T A R O P O L S K I.

Mow prawdę, a przed Panem twym, nie waż się kłamać,
Jnaczey kości kiiem, każę ci połamać,
Porzuć żarty, zaniechay figle, y matactwa,
Bo wszystkie Syna mego, chcę wiedzieć dziwactwa.

F I U T Y N I E C.

Syn chciał czesać, a Ocieć chce otrzepać kiiem,
My wlaższy między krewnych, tak, iak wąż się wiiem,
Dobrze mowią: między drzwi, strzeż się wścibiać palca,
Biedaż na tego; co ma dwoch Panow, Służalca.

S T A R O P O L S K I.

Nie brydź, powiaday prawdę,

F I U T Y N I E C.

Broń że mię od pięści
Syna, a słuchay drugiey, mey indukty części.
Pan powiedział, że na wsi, y brzydko y nudno,
Mnie twoiey wsi obelgę, zcierpieć było trudno,
Uiąłem się za honor, piękney naszey wioski,
Za to mi Pan na głowie, chciał potargać włoski.

S T A R O P O L S K I.

Coż Syn o wsi powiedział?

F I U T Y N I E C.

mowił razy kilka,
Ze tu ludzie, są nakształt, niedzwiedzia y wilka,
Ze tu zwierz, a nie człowiek, iest każdy naszyniec,
Y że to nie wieś, ale knieia, lub zwierzyniec.

S T A R O P O L S K I.

Co więcey moy Syn mowił?

F I U T Y N I E C.

Ktoż by to wyliczyć,
Mogł, oto rzekł, że na tey wsi, przyidzie mu zdziczyć,
Ale

Ale w tym mię, naybardziey zmartwił, gdy rzekł, że my,
Na wsi ieść, spać, a nawet ziewać, nie umiemy.
Ciebie biorę za świadka, prawdy powiadacza,
Czyś miał kiedy większego, iak ia wyiadacza,
Czyś miał doskonalszego, iak Fiutyniec, spiocha,
Czy nie twardo, nie dobrze spię, choć chrapię trocha,
A gdy się do poduszki, zabierać spodziewam,
Czy nierozdziewiam gęby, iak sak, kiedy ziewam,
Ale czy widzisz, iak się twoy Syn, na mnie zżyma;
Y że mię pięścią zbiie, grozi mi oczyma.

STAROPOLSKI.

Nie boy się; ale na te głupstwo, iego mowy,
Powiedz mi, iakiemiś mu, odpowiedział słowy.

FIUTYNIEC.

Rzekłem; że gdy on, w tey wsi zrosł, y w niey się rodził,
Słuszna iest; aby między zwierzęty, rey wodził,
Y aby między dzikim gminem, naszey trzody,
On pierwszy zwierz, na paszę, chodził zawsze przody,
Tey moiey odpowiedzi; że twoy Syn nie zlubił,
Gdy byś tu był nie naszedł, był by mię wyczubił.

STAROPOLSKI.

Synu; nie darmo Ociec, dziwakiem cię zowie,
Bo widzi, że u ciebie, iak po śliwkach w głowie.
Choć byś nowy y stary, Swiaty przeyrzał oba,
Wszystko zganisz, nic ci się, nigdzie niepodoba.
Fiutyńca bić, y łaiać, żebyś się nie ważył,
Bo gdybym za to na cię, surowości zażył,
Z ciebie by wynikała, gniewow mych przyczyna,
Ty z tąd odeydź Fiutyńcze, zostaw ze mną Syna.

SCENA TRZECIA.

STAROPOLSKI, y ROLAND.

STAROPOLSKI.

Wiesz Synu; że gdy iesteś, cząstką mego ciała,
Y gdy własna krew moia, w twe żyły się wlała,
Toć łatwo, twoy y każdy rozum, może dociec,
Ze cię drugiego siebie, kocham Syna Ociec.
Lecz serce Rodzicielskie, z rozumem cię kocha,
Tak tylko iako Syna, a nie iak pieszczocha.
Nie iak głupie w miłości, kotkow morskich matki,
Całuiąc y ściskaiąc, duszą swoie dziatki.
Rodzicom przy miłości, surowość przystoi,
Syn niech ich bardzo kocha, a troszkę się boi.
Krwi wrzącey, y gorącym żądzom, rzyżwey młodzi,
Nigdy czułych Rodzicow, karność nie zaszkodzi.
Psuią młodego cugle wypuszczone zrzebca,
Młodziana zgubi miłość, gra, trunek, podchlebca.
A kiedy go Rodzice, nie trzymaią karnie,
Często w zbytkach śmierć znaydzie, często zginie marnie.
Ta moia niech ci będzie, w pamięci nauka,
Ze młodość potrzebuie, wodzow y musztuka.
Teraz ci, me o tobie powiem rozumienie,
Y w czym się masz poprawić, dam ci napomnienie.
Odtąd iak cię powiiać, przestały pieluchy,
Dobre mię o twym sercu, dochodziły słuchy,
Ze piękne, szczere, wierne, y że kocha Cnotę,
Ze do doskonałości, oświadcza ochotę,
Ze łask wdzięczne, w przyiaźni stałe, nie obłudne,
Urazy niepamiętne, w obeyściu nie trudne.

Teraz, iak nie ten, iak by z obcych człowiek Kraiow,
Inſzegoś cale ſerca, inſzych obyczaiow.
Wymyślaſz, zrzędzaſz, łaieſz, a kiedy źle zrobiſz,
Upieraſz ſię, że dobrze, y rzecz ſwoią zdobiſz,
A wkorzeniony w ciebie, dziwactwa zły narow,
Cmi w tobie, luſtr obfitych, przyrodzenia darow,
Język twoy przykry, prędki gniew, porywczość rzyſka,
Wyſtawuią cię ludziom, na śmiech, y igrzyſka,
Wſzyſtko złym zowieſz, chociaż złym nie ieſt, iak żywo,
Co ieſt proſto do ſznura, to u ciebie krzywo.
Wſzyſtkich ganiſz, od wſzyſtkich naganiony wzaiem,
Nudnym, obmowcy świata, ſłynieſz obyczaiem.
Bardzo cię Synu proſzę, poſłuchay mey rady,
Porzuć ten nałog, popraw ſzpecące cię wady.
Nic nie gań, raczey pochwal, gdy ſie chwalić godzi,
Wſzak ſzczodrym być w pochwały, workowi nie ſzkodzi.

ROLAND.

Jakże to można, o złym mowić, że ieſt dobry,
Ze czarne ieſt czerwone, y ſadze Cynobry,,
Gdyby mi za me kłamſtwo, dawano świat wſzyſtek,
Nigdy bym nie mogł mowić, że Cnotliwym chłyſtek.

STAROPOLSKI.

Jeſt to Cnota, ale w niey, y miarę, y ſtopnie,
Trzeba z wielkim rozſądkiem; uważać roſtropnie,
Bo ſą na świecie ludzie, tak wielcy, tak godni,
Ze nam nie rzecz, w tych ludziach ganić, nawet zbrodni,
Są ludzie,na ktorych ſię, nie można użalić,
A krzywdy nonieſione od nich, trzeba chwalić,
Gdy czas y okoliczność, gdy mus nas przyciśnie,
Kto rozumny; choć cierpi, nie ſtęknie, nie piśnie.
A całuiąc te ręce, co go biczowały,
Mądrze przymuſza ięzyk, do krzywd ſwych pochwały.

ROLAND.

Młodość mi nie dopuſzcza, być tak doſkonałym,
Nie umiem zwać białego, czarnym, czarne białym.
Choć by człek nayſłuſznieyſzy, gdy mi ſię ochapia,
Ze ieſt gapiem; śmiem wſzędzie, głoſić go za gapia.
A z złemi ludźmi, umyſł moy, niepoiednany,
Nie umie pochwałami, okadzać bałwany.

STAROPOLSKI.

To, ni pochwal, ni pogań, co ci ſię nie zdaie,
A świata nie poprawuy, choć w błędzie zoſtaie.
O bocianie to tylko mowią, że świat czyści,
A kto ludzi obmawia, ma wzgardę w korzyści.
Y czaſem mu, zuchwałość iego, wytchnie bokiem,
Ty; świata nie reformuy, kiedyś nie Prorokiem.

ROLAND.

Jakże to; nic nie mowić, trzebaby uſt niemieć,
Potrzeba by ogłuchnąć, trzebaby oniemieć.
Jeźli bym zaś gryzł ięzyk, muſiał by mię bolić,
Jedno to, na złe milczeć, co na złe pozwolić.

STAROPOLSKI.

Dziwaku; na rady me Oycowſkie nie sforny,
Uznaſz, w co cię wprowadzi twoy umyſł uporny,
Tak daleko w obmowy, twa zła gęba zaydzie,
Ze tę; co z niey wybiie zęby, rękę znaydzie.
Ale nas dzwonek na Mſzą, dzwięku głoſem woła,
Idźmy Synu, modlić ſię Bogu, do Kościoła.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

FIUTYNIEC y KRĘCICKA,

FIUTYNIEC.

Kręcicka w miłe do nas, przybyła gościny,
O swoim dla mnie sercu, powie mi nowiny,
Jak się ma w nim Fiutyniec?

KRĘCICKA.

Ciasne dla Fiutyńca
Serce moie. Podź mi precz: ieźli nie chcesz sińca.

FIUTYNIEC.

Kręcicka; czy żartuiesz? czy gadasz w gorączce?
Pomacay pulsu, czy się nie zmienił, w twey rączce.

KRĘCICKA.

Pomacam ci go w pysku.

FIUTYNIEC.

Coż to za Doktorka?

KRĘCICKA.

Wiesz że Doktorom trzeba, prezentu lub worka,
Gdy z prożnemi rękami, Fiutyniec mię wita,
Won mu z serca Kręcicki, y z przyiazni kwita.

FIUTYNIEC.

Won psu mowią.

KRĘCICKA.

wszak y pies, na gałęzi w lesie,
Obwiśnie, gdy zabitey kaczki, nie przyniesie,

Ty

Ty coś mi przyniosł, ?

FIUTYNIEC.

Serce nadziane miłością,
Ktora mi z twey niełaski, w garle stawa kością,
Ktora mi, krew y ciało iak suszy, tak pali,
Ześ mię płakać powinna, iezliś nie ze stali.

KRĘCICKA.

Ho! ho! płakać mi każe dla mego kochanka!
Czemżeś na me nie przyniosł łzy sporego dzbanka?
Jdź mi z oczu Fiutyńcze, nie bądź nudnym trutniem,
A nie czekay, poki cię, w pysk pięścią nie utniem.

FIUTYNIEC.

Takeś z gniewu czerwona, iak cwikła y burak.

KRĘCICKA.

Coż cię to tych słow ładnych pouczył za durak?

FIUTYNIEC.

Ten gniewney Pani moiey; komplement niezgrabny,
Nie mogł by ułagodzić, prezencik powabny?

KRĘCICKA.

Przy prezencie, mow ze mną bespiecznie y śmiele,
Pokaż prezent.

FIUTYNIEC.

Pokażęć dudka na Kościele.

KRĘCICKA.

W szaleństwo się obraca, śmiałość twoia wściekła,

FIUTYNIEC.

Z bolu szaleię, miłość twym ogniem mię spiekła.
Ale nie pokazany, lecz dany prezencik,
Nie mogł by, lepszy dla mnie, ziednać komplemencik?

KRĘ-

KRĘCICKA.

Coż masz dla mnie, ?

FIUTYNIEC.

mam kupne za dobre pieniążki,
Dla piękney mey Kręcicki, na iey głowę wstążki,

KRĘCICKA.

Pokaż prędko,

FIUTYNIEC.

Na krotką mą zwłokę, nie markocz,
Y rok nie minie, a twoi zdobić będą warkocz.

KRĘCICKA.

Z tym żartem, szukay iakiey tam u was błaznicy.

FIUTYNIEC.

Nie rodzą się błaźnice, w naszey okolicy,
Sąż u was ?

KRĘCICKA.

u nas takich nie ma wieś, ni miasto,
Gdyś był u nas; był taki ieden w tobie, za sto.
Owszem więcey, bo śmiele mogłabym poprzysiąc,
Że wart ieden Fiutyniec, innych takich tysiąc.

FIUTYNIEC.

Wstrzymay się, w bystrym gniewu, y niełask pospiechu,
A iać wstążkami, z błaznow, wykupię się cechu,
Przyim wstążki.

KRĘCICKA.

iakże, w krotkiey chwili oka mgnienia,
Prezent; ciupę w grzecznego człowieka, przemienia.
Ale to wstążka droga, kosztowna, bogata?

FIUTYNIEC.

Nie żałuie niczego Młodzian, gdy się swata.

KRĘ-

KRĘCICKA.

Coś łożył na te wſtążki?

FIUTYNIEC.

dowcip, y ſtaranie,
Bez pieniędzym ie kupił, nic nie dawſzy za nie.

KRĘCICKA.

Toś ie ukradł; śmieſz o mnie, ſtarać ſię złodzieiu?
Nie maiąc cnoty w ſercu, ni w głowie oleiu.

FIUTYNIEC.

Nieukradłem z ſzkatuły, wziąłem ie z nienacka,
Sprzątnąć,ieſt rzecz mayſtrowſka,kraść ieſt rzecz partacka.
To ieſt ſztuka; a iam ią zrobił po omacku,
Takiego wzroku w nocy, trudno znaleść w gacku.

KRĘCICKA.

Smiałeś kraść?

FIUTYNIEC.

Fe; ma cnota, boi ſię poſtronka;
Czy chciałaż by złodzieia, Kręcicka być żonka?
Ja w ſłużbie Pana mego, y wierny, y czuły.
Po omacku do Pańſkiey otwieram ſzkatuły,
Wyſługuię mą płacę, w czoła mego pocie.
A w dzień y w nocy ſłużę, bo mam oczy kocie.

KRĘCICKA.

Widział Pan, gdyś brał wſtążki?

FIUTYNIEC.

On w dzień mało widzi,
Nos ſiodła w okulary, a z wzrokiem ſię bidzi.

KRĘCICKA.

Jakżeś wziął wſtążki?

FIUTYNIEC.

Oto z Pańſkiego rozkazu,
W ciemną noc, do ſzkatułym otworzył do razu.
Pan mi do niey z ufnością powierzył kluczyka,
Wiedząc; że nic, cnotliwy Fiutyniec, nie zmyka.
Kazał mi z niey wziąc wſtążki, dla ciebie na dary,
Przyim ie od Pana, tobie poſłał ie dziad ſtary.

KRĘCICKA.

Za co?

FIUTYNIEC.

byś mu uſłużna była, u Amaty,
Do ktorey Przyiaciela, poſzle dziſiay w ſwaty,

KRĘCICKA.

Co mey piękney Amacie, po brodatym Capie?
Ktoremu z oczu ciecze, y z noſa mu kapie.

FIUTYNIEC.

Nie poymuieſz mię, chocieś rozumna dziewczyna,
Z piękną twoią Amatą, Ociec ſwata Syna.

KRĘCICKA.

Teraz rozumiem; ale coż to ieſt za fraſzka,
Pannie ſłużebney wſtążki, przynoſić od gaſzka?

FIUTYNIEC.

Co chceſz więcey?

KRĘCICKA.

Kto taką chce poiąć dziedziczkę,
Bogatą iey dziewczynie, ma kupić ſpodniczkę.

FIU-

FIUTYNIEC.

Będzie to.

KRĘCICKA.

Kto o przyiaźń, ſtara ſię Amaty,
Dziewczynie iey ma ſprawić, kontuſik bogaty,

FIUTYNIEC.

Dobrze.

KRĘCICKA.

chcąc wziąć z Amatą, wioſki tak intratne,
Trzeba dać iey ſłużebney, ſukienki bławatne,

FIUTYNIEC.

Zgoda.

KRĘCICKA.

Piękność Amaty, y Cnot zbior tak wielki,
Wart, aby mi choć ze dwie ſprawić kamizelki;

FIUTYNIEC.

Pokiż tego?

KRĘCICKA.

Amaty gaſzek, dla dziewczynki,
Tey Damy; kupi piękne, ze złotem patynki.

FIUTYNIEC.

Gwałtu? długiż to regeſtr,

KRĘCICKA.

Amaty dzieweczka,
Godna, ze złotem, ważnym, ſporſzego woreczka,
Reſzta potym?

FIUTYNIEC.

Zbyt drogo, Kręcicka zaczynia,
Pełnaby była, wielu tych prezentow, ſkrzynia.
Ten zaś do targu będzie, ieden punkt naygorſzy,
Worek ważnego złota, nie ſkąpy y ſporſzy.

KRĘCICKA.

Kręcicka odrobiny, z targu nie uſtąpi,
Przyſłowie ieſt: dwa razy ten traci, kto ſkąpi.

Rzuć ponęty; a rybę, ułowiſz na wędce,
Rzuć pieniędzmi; a pewnie, ożeniſz ſię w prędce,
Bez datku nic nie wſkoraſz, kochany ſąſiedzie,
Wſzak mowią: że kto dobrze ſmaruie, ten iedzie,
Mow to Panu; a ieźli chce poiąć Amatę,
Niech przodem, za nię poſzle, Kręcicki zapłatę,
Jnaczey; z nim ma Pani, ſtalowa, żelazna,
Będzie; y powie, że ma Kawalera błazna.
Wieſz, że iey ſercem rządzę, że iey myślą władam,
Zeiak Echo powtarza, co iey w ucho gadam.

FIUTYNIEC.

Coż z mym Panem wyieżdzaſz? on żonki nie pragnie,
Młodą Amatę, z Dziadem ſwataſz, z capem iagnie,
Byłażby rzecz przyſtoyna, byſtrey na kſztałt łani,
Starego Pana mego, być żoną, twey Pani.
Jużem ci mowił, że ten wiekiem oſłabiony,
Starzec, nie ſobie ſzuka, lecz ſynowi żony.

KRĘCICKA.

Wiem to, y czyż podobna, by Panna młodziuchna,
Chciała ſtarca, co z niego, ſypie ſię iak z pruchna.
Ktory na nowiu Marca, lub na pierwſzey Kwadrze,
Niemocą obalony, raptem nogi zadrze.
Wiem to, że Syn ſię żeni, lecz Ociec niech płaci,
A Kręcicka, na targu ſwym, niech nic nie traci,
Ale idź ztąd, bo Pani moia, tu nadchodzi,
Pokaże to Kręcicka, iak ią za nos wodzi.

SCENA DRUGA.

KRĘCICKA y AMATA.

KRĘCICKA.

Dobre Kochaney Pani, przynoſzę nowinki,
Warte, bym za nie wzieła, piękne upominki.

Mło-

Młodzian zacny, bogaty, młody, hoży, grzeczny,
Dziśiay u nog Amaty, hołd złoży ſerdeczny,
Ten młodzian, ztąd ieſt bardziey ſzacowny, że ſtarca,
Ma Oyca, co w grob poydzie, oſtatnich dni Marca,
Co lada dzień polegſzy, oſtrzem śmierci koſy,
Ciężarne złotem, w ſkrzyniach, zoſtawi nam trzoſy,
Rozumiem że Amata, Kręcickiey nie zgani,
Że takiego ſwey ſtręczy Konkurenta Pani.

A M A T A.

Jeżeli kocha Cnotę, będzie mi przyiemny,
Bez tego do Amaty, trud będzie daremny.
Nad wſzyſtkie inne, ieden ten przekładam przymiot,
Bez niego mi Kawaler, ieſt nudny, iak wymiot.
Niech nic nie ma, a w cnocie niech będzie gruntowny,
Znaydzie w ſercu Amaty, affekt nieodmowny.
Inne wady okrasi, tym iednym przymiotem,
Bez niego, wſzyſtko u mnie, ieſt śmiecią y błotem.

K R Ę C I C K A.

Gdzież ieſt człowiek bez wady? nie ma go świat cały,
A nayczyſtſze bez ſkazy, nie będą Krzyſztały,
Nie maſz doſkonałości, bez żadney przywary,
Dopiero nie grzeſzemy, iak poydziem na mary.
Ten ſię zowie cnotliwym, w wielkiey ludu zgrai,
Kto mniey ma wady, albo; kto ią lepiey tai.
Płochość mamy w młodości, a zrzędę w ſiwiźnie,
Na świecie iak na ledzie, każdy ſię pośliźnie.
Chyba iedna Amata, wad nie ma nic cale,
Y moia tylko Pani, bydź może bez ale.

A M A T A.

Mam ich też moią miarkę, y z gorą; lecz mnieyſze,
Jak przyrodzone ludziom, wady, ſą znośnieyſze.

Ten; kto Swiętemi BOGA, rządzący się prawy,
Nie tknął bliźniego swego, własności, ni sławy,
Kto danego nam słowa, y wiary nie złamie,
Kto przyiaźni dotrzyma, kto szpetnie nie skłamie,
Kto będąc przyiacielem, ludzkiego rodzaiu,
Bliźniemu swemu, chętnie świadczyć, ma w zwyczaiu,
A przytym, kto ma serce, Cnotami ozdobne,
Temu zawsze, wybaczyć trzeba, wady drobne.

KRĘCICKA.

O Kawalerze, ktory ma do ciebie wzdychać,
Gdziekolwiek uszy puszczę, wszędzie dobrze słychać,
Cnotliwy, mądry, piękny, maiętny, y zacny,
Jeden tylko ma defekt, do poprawy łacny,
Ze wszystkich często gani, a pochwali rzadko,
Jednak nie tknie honoru, ale utnie gładko.

AMATA.

Palcem mi go wytykasz, łatwo powieść taka,
Daie Staropolskiego, poznać mi dziwaka.
Nimem tu przyiechała, w Warszawskim Klasztorze,
O iego nie zwyczaynym, słyszałam humorze,
Słyszałam y o Cnotach, o sercu bez skazy,
Y przez kratem go mogła widzieć, ze dwa razy.
Słuchay Kręcicka; porzuć namowy y szachy,
Nie takiey do Amaty, iak ty, trzeba swachy,
Nie mam Oyca, ni Matki, a choć kocham Brata,
Nie on, lecz chyba Niebo, Amatę wyswata.
BOGA, rozumu, serca, szczegulnie tu słucham,
A co mi ludzie szepcą, na to wszystko głucham.
Jednak o konkurencie, co mi go chcesz raic,
Nie mam przyczyn, myśl moią, przed tobą utaić.
Urodzenie, maiętność, rozum, y Osoba,
Zgodna z moią miłością, wieku iego doba,

Ze

Ze wszelkich miar Amacie, gardzić nim nie radzą,
Jeżeli wady iego, poprawić się dadzą,
Wprzod to będzie Amata, ważyć iak na szali,
Nim tego Konkurenta, przyimie, lub oddali.

K R Ę C I C K A.

Jeźli w Cnocie gruntownym iest; to nic nie znaczy,
Ze czasem ludzi gani, y trochę dziwaczy,
Nie z złego serca, ale nałogu gawędzi,
A znać ma swierzbę w ustach, y ięzyk go swędzi.
Wszak mowią; że u młodych, bywa pusto we łbie,
Y iak przysłowie uczy; znaydą się w nim kiełbie,
A gdy młodzian ma Cnoty, zacność, y bogactwa,
Trzeba mu przy nich drobne, wybaczyć dziwactwa.

A M A T A.

Trzeba go pierwey poznać, trzeba to wprzod zważyć,
Czy dla wielkich Cnot, małe wady, mu pobłażyć,
Czy ma tak piękne serce, y tey ceny warte,
Ze nią drobne defekta, mogą bydź za tarte,
Czy tak, iako przy cieniach kolory iaśnieysze,
Są przy wądach, przymioty iego, wydatnieysze,
To zważać, to roztrząsnąć, moia rzecz iest; a ty,
Nie wyrywaj się do mnie, drugi raz, przed swaty.
Ale wyidź z tąd, a trzymay ięzyk, za zębami,
Z Bratem mym nadchodzącym, zostaniem tu sami.

SCENA TRZECIA.

CNOTOSŁAWSKI, y AMATA.

C N O T O S Ł A W S K I.

Będą nam tu Siestrzyczko, Gospodarze radzi,
Ociec Syna do piękney, Amaty prowadzi,

Do ktorey ieźli za nim, Nieba się przyczynią,
Przemieni się Amata, z Gościa w Gospodynią.
Zacność, Maiętność, Rozum, statek bez nagany,
Czynią go znakomitym, pomiędzy Młodziany,
Nikt w nim nie postrzegł, żadnych złych nałogow, ani,
Płochości; iednę wadę ma, że wszystkich gani,
Nie tknie iednak, niczyiey sławy, ni Honoru,
Ganiąc nie z złego serca, lecz z złego humoru.
A iak cała Warszawa, iednomyślnie mniema,
To ten Młodzian, nie Cnocie, przeciwnego nie ma,
Y ia, kochana Siostro, nie widzę, czemu by,
Nie był godzien dozgonne, poprzysiąc ci śluby.
Bo gdy serce ma w Cnotach, gruntowne y stałe,
Wart tego, aby wady, przepuścić mu małe.
A ieźli na Kobiercu, Nieba cię z nim stawią,
Twe Cnoty, drobne iego, przywary poprawią.

AMATA.

Wiem, że nietylko Siestrze, ale każdey Damie,
Zgodny z prawdą twoy ięzyk, Bracifzku nie kłamie,
Znam piękne serce twoie, znam Cnoty chwalebne,
Ktoreć wszędzie przyznaią, usta niepodchlebne,
Wiem y to; że po oboch, mych Rodzicow stracie,
W tobie iednym, y Oyca, y Matkę mam Bracie,
Ze y moia osoba, y moia Fortuna,
Ciebie ma iedynego, swego Opiekuna.
Po wyrokach Niebieskich, cenię twoie zdanie,
A twey rady o moim, słuchać będę stanie.
Jednak, gdzie mi o szczęście idzie dożywotnie,
Trzeba mi się z rozumem, naradzić stokrotnie,
Trzeba się nie raz, z sercem mym, y z myślą znosić,
Trzeba gorąco Niebios, o natchnienie prosić,
Trzeba się wprzod rozpatrzyć, dobrze w Kawalerze,
Y pierwey się na iego, poznać charakterze,

Jaki

Jaki ma ſtatek, rozum, iakie obyczaie,
Jeźli mu Cnota do mnie, zalecenie daie,
Gdy pierwey nic nie rzekę, aż tego nie zważę,
Rozumiem, że tą zwłoką, Brata nieurażę.

CNOTOSŁAWSKI.

Moia rzecz radzić, twoia, obrać męża ſobie,
Rozpatrzywſzy ſię w ſercu, w rozumie, w oſobie.
A chociaż tego Sioſtro, Młodziana odrzuciſz,
Ani mię tym uraziſz, ani mię zaſmuciſz.
Co o nim wſzyſcy iego, gadaią ſąſiedzi,
Wierniem ci opowiedział, tak iak naſpowiedzi,
Zacny, grzeczny, rozumny, ſtateczny, maiętny,
Nie roſpuſtny, nie gniewny, uraz nie pamiętny,
Ta ſzczegulna ieſt iego, przywara y wada,
Ze z wſzyſtkiego żartuie, nagani, ogada,
Wſzyſtko mu krzywo, wſzyſtkim zawſze ſię przekarza,
Jednak ganiąc, honoru nigdyj nie zpotwarza,

AMATA.

Wielka Cnota, defekta małe, może zatrzyć,
Ale w tey Cnocie trzeba, dobrze ſię rozpatrzyć,
Jeżeli tak gruntowna ieſt, w ſwoiey iſtocie,
Ze małe wady nikną, przy tey wielkiey Cnocie.
Trzeba y nad tym myslą, dobrze ſię zabawić,
Jeźli ta Cnota zdoła, defekta poprawić,
A kto to wſzyſtko zważyć, nie da ſobie czaſu,
Ten nie do ślubu idzie, ale do taraſu.

CNOTOSŁAWSKI.

Tak ieſt; bo kto w Małżeńſkie óślep wchodzi Sluby,
Częſto ſobie przyſpieſzy, y śmierci y zguby.
Z okropnym ſerca żalem, widzieliśmy wielu,
Po krotkim, przez wiek cały, płaczących weſelu.

A kto

A kto raptem, y nagle, w ten święty ſtan wchodził,
Załował że ſię żenił, owſzem że ſię rodził.
Gdy w dożywotniey parze, przed ołtarzem ſtaiem,
Małżeńſtwo naſze będzie, lub piekłem, lub raiem.

AKT TRZECI.

SCENA PIERWSZA.

ROLAND, CNOTOSŁAWSKI, y AMATA.

ROLAND.

Gdy w domu Oyca mego, witam zacnych gośći,
Więcęy czuię, niż umiem, pokazać radośći.
Rodzic moy, wnet tu przyidzie, ieſt w bliſkim Kościele,
Nim Mſzy doſłucha; Syna gościom do nog ściele,
Z ſzczęśliwego, kochanych Sąſiadow przybycia,
Radość mu przyczyniła, y zdrowia y życia.

CNOTOSŁAWSKI.

Znamy przyiaźń, y dobre Serce Goſpodarza,
Ale w tym Domu nowe ſzczęście ſię nam żdarza,
Gdy wſtępuiąc w ſąſiada, kochanego progi,
Witamy cię, nie dawno przybyłego z drogi,
Już lat kilka, iakem cię widżiał, w młodſzey dobie,
Y nie wiem, ieżeli mnie, przypominaſz ſobie.

ROLAND.

Wſtyd mię, żem w Domu Oyca, Cudzoziemiec prawie,
To w Lublinie, ſtrawiwſzy ſiedm lat, to w Warſzawie.
Długość czaſu, y wielki gmin, rzeczy widzianych,
Tłumią mię w przypomnieniu, oſob dawno znanych,

Ufam

Ufam iednak, że moiey niezdolność pamięci,
Nie zmnieyszy dla mnie, w sercu twym, łaskawych chęci.

CNOTOSŁAWSKI.

Nie może zapomnienie, bydź szkodne nikomu,
Zbyt też młodyś wyiechał, z Oycowskiego domu,
Przez siedm lat, zacnych ludzi, widziałeś tak siła,
A pamięć nowych rzeczy, dawne zatłumiła.
Ale, czy znasz tę Damę?

ROLAND.

Nie miała lat pięciu,
Gdym iey w tym Domu służył, na ten czas dziecięciu,
A wszystek skład iey twarzy, nie iest teraz inny,
Lecz właśnie taki, iaki przedtym był dziecinny.

CNOTOSŁAWSKI.

Twarz wzmiankuiąc, przytomney Damy, iey urody,
Nie chwalisz; czy w Warszawie wyszło to iuż z mody?
Czy teraz są w Warszawie, Młodzianie tak skromni,
Na wsi, młodzian Dam pięknych, bez pochwał nie wspomni.

ROLAND.

Tenże to zwyczay na wsi, że zacni Sąsiedzi,
Insze maią pytania, insze odpowiedzi?
A gdy mnie pytasz o mey, z Damą znaiomości,
Każesz mi dać odpowiedź, o Damy piękności.
Niechay kto chce, wasz zwyczay, za prawo poczyta,
Ja na to nie odpowiem, o co kto nie pyta.

AMATA.

Ta rzetelność iest z Cnoty; usta z myślą zgodne,
Zawsze będą chwalebne, choć nie zawsze modne.
Bo coż ma mieć znaiomość do piękności; ile,
Ze ma twarz, nie wygląda przyiemnie y mile.

ROLAND.

Krzywdę ſe czyniſz, zawſze wdzięk twoy y uroda,
Do przymiotow twey duſzy, wielkiey ceny doda.
Chociaż nie ieſt tąk zbytnia, aby Dąma żadna,
Nie była nigdzie, iak ty, tąk piękna y ładna,
Wielki maſz wdzięk, iednakże mowiąc bez przyſady,
W twey, y w każdey piękności, znayduią ſię wady.

AMATA.

Mam ich bez liku, owſzem piękności nic całe,
Nie mam; ty mi iey wądy, powiedz poufale.

ROLAND.

Twa piękność, wſzyſtkie ſobie zniewala affekty,
A chociaż w niey ſię drobne, znayduią defekty,
Gdy ie wielką urodą, y zgaſiſz y zmażeſz,
Smiele ci ie wymięnię, kiedy mi to każeſz.
W twych brwiach, maſz ieden dłużſzy, niżli inſze włoſek,
Sliczny, acz niezbyt dobrze ſkończony maſz noſek.

CNOTOSŁAWSKI.

Piękna ieſt między nami, y zgoda y zwadą,
Ale przychodzącego witaymy Sąſiada.

SCENA DRUGA.

STAROPOLSKI, CNOTOSŁAWSKI, AMATA, y ROLAND.

STAROPOLSKI.

GDy w mym Domu, z kochanym widzę ſię Sąſiadem,
Rozpływam ſię z radości, y z ſerca mu radem,

Przybywa mi ſtaremu, y zdrowia y ſiły,
Kiedy mi cię uściſkać, Nieba pozwoliły.
Ale co to za piękność, niewidziana w świecie,
Rożе gaſi rumieńcem; w młodości ſwey kwiecie.

CNOTOPOLSKI.

Przyiaźń w twoy Dom ſprowadza, y Sioſtrę y Brata,
Ta, ktorąś znał dziecięciem, kłania ci Amata,
Przez dziewięć lat w Warſzawſkim bawiła Klaſztorze,
Nim wyſzła na świat, w pierwſzey młodości ſwey porze,
Gdy ſię iak Cudzoziemka, w Domu właſnym ziawia,
Widzeniem ſwego Kraju, nayprzod ſię zabawia,
A ſzukaiąc honoru, z tobą ſię poznania,
Przed wſzyſtkiemi ſąſiady, naypierwey ci kłania.

STAROPOLSKI.

Nowym ſzczęściem, me ſerce, Niebo uweſeła,
Gdy kochanego witam z Sioſtrą Przyiaciela.
Sliczna Dama, co śliczna w przod była dziecina,
Cudnym wdziękiem pamięci mey ſię przypomina.
Na piękną młodź wyraſtać zwykła, piękna dziatwa,
A śliczną twarz przypomnieć ſobie, ieſt rzecz łatwa.

AMATA.

Nowina to ieſt dla mnie, y wieść nieſłyſzana,
Zebym między pięknemi była poczytana,
Dośćby na mnie, z Klaſztornych murow wynieść cienia,
Szczegulną piękność duſzy, ſerca y ſumnienia.

STAROPOLSKI.

Hoyne Nieba, w twey śliczney zamknęły Oſobie,
Wraz y ciała, y duſzy twey, piękności obie,
W tobie Cnota z Urodą, walcząc ślicznym ſporem,
Dam cię naydoſkonalſzych, czynią pięknym wzorem,
Gdy widzących cię Starcow, nagaba kochanie.
O powabach twych myśleć co muſzą Młodzianie?

Wstydliwym się rumieńcem, każdy z nich przepłoni,
A takim wdziękom, żadne serce się nie zbroni.

R O L A N D.

Wyznam prawdę, że Dama tak piękna y gładka
Jak Amata, na świecie znayduie się zrzadka,
Jednak nie zaraz, wszystkich nas zniewala; ani,
Mienimy się być łatwo, Amaty poddani.
Nie zwykliśmy, w miłości więzy, iść oślepem,
Ptaszki to bezrozumne, łapaią się lepem,
Młodzianie zaś długo się wpatruią w pięknośći,
Niżeli im uczynią, ofiarę miłości.

A M A T A.

Slicznie mowisz, tak myślić, tak czynić należy,
A ten kto oślep kocha, oślep w przepaść bieży,
Zawsze zwykło rozumne, kochanie Młodzieńskie,
Dozgonnym szczęściem więzy, obdarzać Małżeńskie,
A zawsze tym pomyślnie, losu kostka padła,
Ktore rozum y serce, zgodnie sprzęgły, stadła,
Tam szczęśliwe Małżeństwo, gdzie rozum był swatem,
Ale poydę do siebie, z odchodzącym Bratem.

SCENA TRZECIA.

STAROPOLSKI, y ROLAND

S T A R O P O L S K I.

Sam się sądz Synu, ieźliś nie nudny, nie dziwny,
Zdaniom Oycowskim, w oczy, śmiałeś być przeciwny,
Smiałeś w tym grubiaństwie, przykry y zuchwały,
Uiąć daney od Oyca, Amacie pochwały,
Czy twoiaż rzecz, w dyskursie, za słowka mnie chwytać,
Dość na cię odpowiedzieć, gdy cię raczę spytać.

ROLAND.

Wszystko com mowił, szczerey prawdy, iest istotą,
A zawsze się rzetelność może nazwać Cnotą,
Ze piękna Dama; czyliż zaraz w iey niewoli,
Serce uwięzić, zdrowy rozum, nam pozwoli?
Y czy tenże iest, Darow Niebieskich porządek,
Zeby przy Dam urodzie, niknął nasz rozsądek?

STAROPOLSKI.

Prawda; ale też nie rzecz, wrywać się Synowi,
W dyskurs Oyca, y przeczyć temu, co on powi,
Procz tego, każdy Młodzian, błądzi y wykracza,
Kiedy przy piękney Damie, iey wdziękom uwłacza,
Bo choć kto, Dam urodę, pochwałą przesadzi,
Co to komu do tego, co to komu wadzi?

ROLAND.

Cnota zawsze się zwykła, sprzeciwiać obłudzie,
A rzetelni przy prawdzie, obstawaią ludzie.
Dowod to iest niechybny, Cnotą tchnącey Duszy;
Gdy ią obraza prawdy, do gniewu poruszy.
Przeciwko Rodzicowi, Roland nie wykroczy,
Lecz Oycu, nawet Krolom, prawdę powie w oczy.
Bo prawda, rzecz iest w świecie, tak zacna, tak święta,
Ze wszędzie być powinna, z szacunkiem przyięta.

STAROPOLSKI.

Dzika twa Cnota, mozgu krzywego, iest znakiem,
Y nie darmo cię ludzie, nazwali Dziwakiem.
Tak zrzędzasz, tak wymyślasz, taki z ciebie zgaga,
Ześ nie moia pociecha, lecz moia zniewaga,
Doznasz w krotce, iak sobie źle radzisz, y kędy,
Zaprowadzą cię twoie dziwactta y błędy.
Ja niechcę prożno z tobą, czas y słowa trwonić,
Twoy upor, do dobrego, nie da się nakłonić,

Chcieć

Chcieć ci twego nudnego, dziwactwa zabraniać,
Było by to, cień chwytać, y wiatry uganiać.
Sam BOG, y czas, być może, wad twoich lekarzem,
My cię nie utrzymamy, my cię nie ukarzem.
Ja się Synu za ciebie, modlić będę BOGU,
Aby cię w nudnym twoim, poprawił nałogu.
Ale iedna rzecz wzbudza, me żale serdeczne,
Ze me chęci dla ciebie, czynisz bezskuteczne,
A szczęściu twemu, Oyca zamysły przychylne,
Dziwactwem twym się staią, spełzłe y omylne,
Bo ia, do tychczas miałem, nadzieię niepłonną,
Ześ mogł pozyskać, miłość Amaty dozgonną,
Brat iey w tym mi pomagał, y miałem sposoby,
Ktoremi me staranie, do skutku przyszłoby.
Tyś całą mę robotę, zniszczył, y obalił,
Gdyś mi to przy niey zganił, żem iey piękność chwalił,
Gdyś przy niey Oyca twego, ktory się iuż zstarzał,
Nie uczcił; ale mu się, sprzeciwiał przekarzał,
Gdyś pokazał, że głowa twa, na rozum chora,
W swym szwanku potrzebuie, lekow, y Doktora.

ROLAND.

Dotąd nie mam Amaty, ni w sercu, ni w głowie,
A bardzo temu wierzę, co mowi przysłowie.
Ze każdemu z śmiertelnych, iest y śmierć, y żona,
Z naywyższego wyroku Niebios, przeznaczona,
Od wiekow napisano, z kim się kto ożeni,
Dekretow zaś Niebieskich, człowiek nie odmieni.
Jeżli Roland Amatę, ma sobie zaślubić,
Niebo skłoni ich serca, że się będą lubić,
Mego Oyca, iey Brata, tak ziednoczy zdanie,
Ze ta para do ślubu, przed Ołtarzem stanie.
Jeżli mi zaś, nie sądził BOG, Amaty żony,
Trudna to: czas daremny, y marnie stracony.

AKT

AKT CZWARTY.

SCENA PIERWSZA.

FIUTYNIEC, y KRĘCICKA.

FIUTYNIEC.

SKarżęć się na twą miłość, że w sercu mym pała,
Tak; żem zschł, a cień tylko, chodzi mego ciała,
Spali mię na popioły, krew we mnie wysuszy,
Zyły moie powędzi, y kości pokruszy,
Spoczynku mi nie daie, w boki mi się wpiła,
Tak; że mię bolą; iakby kiiem ie obiła,
Piersim zerwał wzdychaniem, ięk mi dławi szyię,
A łzami co dzień ręce, choć brudne obmyię,
Jak szczur suchary, tak mi miłość, głowę gryzie,
Jak iastrząb ptaszka w szponach, tak mię trzyma w ryzie.
To zaś gorsza, że dla mnie Kręcicka z opoki,
Pogardza mną, łaie mię, wziąwszy się pod boki,
W złości zapamiętała, nakształt srogiey iędzy,
Swym gniewem, mych przyczynia, ucisków y nędzy,
A na mnie okrutnieysza, niż na myszy sowa,
Gdym miłością spieczony, ona iest surowa.

KRĘCICKA.

Rozumiesz, że żartuiesz, gdy ladaco brydzisz,
Czyniąc się nudnym trutniem, baiać się nie wstydzisz,
Porzuć ten głupi koncept, coć się w głowie roi,
A powiedz, co Panowie, o nas myślą twoi.
Wasz Roland, za powodem, Oycowskiego zdania,
Czy dziwackie swe serce, do Amaty skłania,

Czy zmierzaiąc do ſkutku, tak pięknego ſwactwa,
Porzuca ſwe wykwinty, y nudne dziwactwa,
Czy wie, że ſerca Pani moiey, ieſtem pewna,
Ze gdy każę łaſkawa; gdy każę, ieſt gniewna,
Ze gdy Kręcicka, ſercu iego, zechce ſłużyć,
Amata ſię do niego, da ſkłonić, y użyć,
Ze gdy przez ciebie do mnie, do Pani przezemnie,
Uda ſię; będzie kochał, kochany wzaiemnie.

F I U T Y N I E C.

Prędzeyby poſzedł głuſzec, z kurami do koyca,
Niżby Roland, do ślubu poſzedł, z woli Oyca,
Rodzica, ani żadney rady, on nie ſłucha,
Ze on ſam tylko mądry, ta iego otucha,
Umyſł tego Dziwaka, zbyt pyſzny y dumny,
Mniema, że ieden w świecie, Roland ieſt rozumny,
Ze nawet twa y moia głowa, nie ieſt mądra,
Y że gab ieſt Fiutyniec, a Krecicka flądra.

K R Ę C I C K A.

Ze gap Fiutyniec; dla mnie, ta nowina ſtara,
Lecz podobna Kręcickiey nie ſłuży przywara,
Nigdy nic takowego, paść nie może na nią
Znać nie głupia, gdy za nos wodzi, ſwoią Panią,
Gdy ſkłaniaiąc gdzie zechce, ſerce iey y żądze,
W prędce za mąż ią przeda, za dobre pieniądze,
Ktorey kiedy Fiutyniec, dla Pana nie kupi,
Znać; że nie włada ſercem Pana, znać że głupi,
Znać że w ſiły rozumu, nie tęgi, nie duży,
Gdy nie umie panować, temu komu ſłuży.

F I U T Y N I E C.

Alboż moy Dziwak, takie, iak twa Pani iagnie,
Zadnym ſię upor iego, ſpoſobem nie nagnie,

Ktoby

Ktoby z Rolanda głowy, chciał wybić wykwinty,
Z muzgiem by ie, wyſtrzelić muſiał, kulą z flinty.
Rowny mu cudak w świecie znalazłby ſię z trudna,
Praca z nim ieſt daremna, y rozmowa nudna,
Do tego; ia nie iemu ſłużę, moy Dziad ſtary,
Da mi ſię wodzić za nos, ſiodłan w okulary.
Jak rządzę ſtarcem, widzieć będzieſz, iak na dłoni,
Jeźli naſz Dziwak ſerce, do twey Pani ſkłoni.
Obaczyſz iak ci choynie, Amatę zapłaci,
Jak cię podarunkami, ſtarzec ubogaci.

KRĘCICKA.

Poki ci ſwey Amaty, Kręcicka nie przeda,
Poty dobrego ſłowa, Fiutyńcowi nie da.
Poty Fiutyniec będzie, gap, łgarz, ſzalbierz, plotka,
Poki nie da Kręcicki, za Amatę złotka.
Ktorego ieżeli iey, nie zmoże wyrobić,
Wart tego; ażeby mu, kiiem boki obić.
Ale ma Pani idzie, ty wychodź, ia będę,
Starać ſię, że ią złowię, iak rybkę na wędę,

SCENA DRUGA.

AMATA, y KRĘCICKA.

AMATA.

TWoy Roland, z powſzechnego naganny odgłoſu,
Rozumiem, że ieſt godzien ſzczęśliwſzego loſu.
Rzetelność iego w prawdzie, niemodna, y dzika,
Z ſerca, zbyt oſtrą Cnotą tchnącego wynika.
Mowi wſzyſtko, co myśli, a nic nie uważa,
Jeżeli ſobie kogo prawdą nie uraża.

R Lecz

Lecz skromnie bez potwarzy, czystą prawdę rzecze,
Nigdy ni czyiey sławie, ni czci nie uwłecze.
Niech kto chce, szczerą serca, nagania prostotę,
Wiem, że kto chce ią ganić, musi ganić Cnotę.

KRĘCICKA.

Wszakem ia to kochaney Amacie mowiła,
Ze nic są małe wady, gdzie iest Cnoty siła.
Choć by się mały defekt, w Rolandzie mogł ziawić,
Doskonałość Amaty, może go poprawić.
Z usilną ciekawością, z staraniem, z zabiegiem,
Byłam dotąd, defektow iego, wiernym szpiegiem.
A gdziem mogła, puszczaiąc uszy, na wywiadki,
Mowiłam z domowemi, czynow iego świadki.
Lecz wszystkich mych wywiadek, te miałam pożytki,
Ze grzeszy przez szczegulne, ostrey Cnoty zbytki.
Nie kłamca, nie gniewliwy, nie gracz, ani piiak,
Nie pyszny, nie utratny, nie naganny niiak,
Pobożny, mądry, grzeczny, cnotliwy, bogaty,
Zacny; a słowem, godzien bydź mężem Amaty.

AMATA.

O iego obyczaiach, chciey się ieszcze badać,
Może ci twoy Fiutyniec, o nich się wygadać.
Tym czasem, on tu przyidzie, a ieźli narowy,
Ma iakie, pokażą się, z moiey z nim rozmowy,
Wymacam ie; myśl iego, na ięzyk wyciągnę
A do skrytości serca, rozumem dosiągnę.
Ale wyidź ztąd, bo Roland iuż nadchodzi do mnie,
Nad swoy zwyczay wygląda, przyiemnie y skromnie,

SCE-

SCENA TRZECIA.

ROLAND, y AMATA.

R O L A N D.

PRzyznaſz piękna Amato, że wieyſkie zabawy,
Nudne ſą, po rozrywkach wſpaniałey Warſzawy.
Tam w niezliczonym Wielkich Panow, y Dam gminie,
Weſołością ſkrocony dzień, iak moment minie.
Muzyka, tańce, maſki, gra, y poſiedzenia,
Swiatłem gaſzą południe, w śrzod nocnego cienia.
Tam po ulicach, złotem lśniące ſię poiazdy,
Luſtrem w oczy biiącym, błyſzczą ſię iak gwiazdy,
A pyſzno ſtroyne Cugi, w ſzor ſrebrem bogaty,
Stangret zacina, w drogie ubrany ſzkarłaty,
W Pałacach cudnym kunſztem, ozdobne Pokoie,
Pyſzne ceną zamorſkich, marmurow podwoie,
Sciany żywych obrazow, ſukienką odziane,
Na ſtolikach Kobierce, złotem ślicznie tkane,
Luſtry, ktore aż chyba, nad świtaniem gaſſy;
Są widoki; co oczy me w Warſzawie paſſy.
Tu zaś na wsi, dzień każdy, zdaie mi ſię wiekiem,
Częściey z zwierzem przeſtaiąc, niżeli z Człowiekiem.
A widząc gminy bydła, w wieczor, y w południe,
Między tłumem obory, czas przepędzam nudnie,
Albo ſamotny, w małey zamknąwſzy ſię chatce,
Dumaiąc, nucę ſobie, tak iak ptaſzek w klatce,
Przyznay Amato; gdy ſię na wsi człek zakopie,
Jak nudno po Warſzawie, przy roli, y ſnopie.

A M A T A.

Jam w Warſzawie y razu nie była u Dworu,
Y w niey nic dobrze nie znam, procz mego Klaſztoru,

Słyſzałam zaś, że Damy, y piękne y grzeczne,
Zdobią śliczną urodą, to miaſto ſtołeczne,
Y że miły wdzięk twarzy, Rozum, Obyczaie,
Cały świat iednoſtaynie, tym Damom przyznaie.

R O L A N D.

Tak ieſt, y pewnie nigdy, Francuzki, y Niemki,
Ni żadne, nie celuią tych Dam, Cudzoziemki.
Bo co ſię tycze Cnoty; bez ſkazy, y kału,
Niezmazane y czyſte, ſą na kſztałt Krzyſztału,
W Urodzie zaś, y w ſtanie, tak Panny iak Panie,
Są piękne, ładne, wdzięczne, ſą hoże, iak łanie.
Z ktoremi gdy rozumna bawi nas rozmowa,
Z ich ślicznych uſt wyborne, wdzięcznie płyną ſłowa.
Lecz coż ieſt tego wieku Piękność, Cnota, polor?
Gdy twarz rumieni, kupny, nie wrodzony kolor?
Farbami ſię iak obraz maluią, a czaſem,
Jak mur wapnem, tak lice, bielą ſię bleywaſem,
Y na miaſt tych, co ſkromnie w ciele ſię ukryły,
Ołowkiem ſię bezkrwawe, naryſuią żyły.
Słowem że tego wieku, nie natura twarze,
Piękne daie; lecz farby, pędzle, y malarze.
Jdźmy do Cnoty; tego wieku, wyſzło z mody,
Z powierzchowną ſkromnością, łączyć wdzięk Urody.
Cnota w ſercu ſię chowa, a oczy ſwywolne,
Swym wdziękiem zniewalaią naſze ſerca wolne:
Y rzucaiąc te ognie, co w nas żądze wzbudzą,
Czyſtość ſwych zachowuią ſerc, lecz naſze brudzą.
A chcąc mieć chęci naſze, ſwym wdziękom poddane,
Choć ſame nie kochaią, lubią bydź kochane.
Co ſię tycze Rozumu; ten śliczny y wielki,
Przyznaie Damom Polſkim, obcy Narod wſzelki.
Lecz wiek naſz od dawnieyſzych, rożny, y wyrodny,
Smie nazywać Rozumem, płochy dowcip modny,

Teraz

Teraz w ſłowa wyborne, myśl podła y ſłaba,
Stroi ſię: iak ſzkaradna w piękne ſzaty baba.
Teraz mowa, co chwyta za ſerca z początku,
Gdy ią do końca ſłuchaſz, nie ſtaie w niey wątku.
Teraz obmowcy ięzyk, tak wielki iak ozor,
Słuſznie mowi że wſzyſtko; obłuda y pozor.

A M A T A.

Wiem to, że większy dowcip, a rozſądek mnieyſzy,
Damom, niż wam przyznaie, wiek naſz, y dawnieyſzy,
Słabość płci naſzey, oſtra nad nią władza waſza,
W czym chce, nas z krzywdą naſzą, przewyżſza y zgaſza.
Więc mińmy Damy; Męſzczyzn przypiſuymy ſławie,
To co luſtr nayprzednieyſzy, przynosi Warſzawie.
Tam na wielki Senatu Luſtr; miło ieſt patrzeć,
Ktoryby Starych Rzymian, mogł zgasić y zatrzeć,
Mądrość, co ią wiek daie ſędziwy y długi,
Powaga zarobiona wielkiemi zaſługi,
Przezorność Rad Polſkiego tak ſłynie Senatu,
Zeby mogła całemu dawać Prawa Swiatu.
Tego Senatu Rady gdy z Woiewodztw Poſły,
W iednoſtaynym umyśle, na Seymie ſię znioſły,
Zawſze od nich luſtr nowy, brały Cne Narody,
Y zwiększyły Oyczyſte Prawa, y ſwobody,
Widzieć ludzi w Oyczyznie, tak Wielkich, tak ſiła,
Jak musi być rzecz piękna, iak ma bydź rzecz miła.

R O L A N D.

To pewna; że po BOGU, y po Krolu Rada
Senatorſka, do ſzczęścia tych Państw ſię przykłada.
Ze kochaney Oyczyznie, wierny y uprzeymy.
Senat, zwykł utrzymywać ſwą powagą Seymy.
Ale, gdzie ſą te Seymy, y iak tych iuż mało;
Ktorymby doſzłe Seymy widzieć ſię doſtało.

Wſzak

Wſzak to iuż po dwudzieſtym, Rok piąty naſtaie,
Jak ſię każdy Seym zrywa, żaden nieudaie.
Co ieźli dłużey potrwa, bać ſię trzeba z laty,
Seymow, a z niemi, wſzyſtkich Praw naſzych utraty.

A M A T A.

BOG, y Naylepſzy z Krolow, tego nas uchowa,
Ziednoczy Rad y Poſłow, y myśli y ſłowa.
Ten Pan, co będąc Krolem, y ſerc y affektow,
W gminie Cnot Wielkich, nie ma naymnieyſzych defektow,

R O L A N D.

Nic nie maſz bez defektow, wſzyſcy wady mamy,
Krzyſztały maią ſkazy, y ſłońce ma plamy.
A choć naſz Krol przewyżſza, Cnotami Traiana,
Choć żaden łaſkawſzego, Narod nie miał Pana,
Jednak ten Krol, Cnot Wielkich, zbior nieſkażytelny,
Ten ieden, wielki defekt ma; że ieſt śmiertelny,
Ze po ſtu lat, ktorych Bog, raczy mu użyczyć,
Po śmierci iego Polſka będzie z żalu ryczyć.
Ze go zawiozſzy, z rzewnym płaczem, do Krakowa,
Z kościami iego, ſwoią ſzczęśliwość pochowa.

A M A T A.

Lubiſz dowcipnie ganić, y obmawiać grzecznie,
Gdzie żadnych wad nie widziſz, ſzukaſz ich koniecznie.
A gdy wſzędzie znayduieſz defekty; tak kładę,
Ze przyznaſz w ſobie ſamym iakąkolwiek wadę.
Powiem ci ią; a choć twe, y wady y ſkazy,
Nie zadaią naymnieyſzey, twey Cnocie, urazy,
Jednak gdy obmow twoich, cały świat ieſt celem;
Nikt z ludzi bydź nie może, twoim Przyiacielem,
A przez dzikość nudnego twego obyczaiu,
Maſz w korzyści nienawiść, ludzkiego Rodzaiu.

Nie

Niewiem, co za przyiemność znayduiesz w naganie?
Przystoynieyby w pochwałach mieć upodobanie,
Jeden Roland na świecie w żołci znalazł smaki,
Jeden twoy niesłychany, y nudny gust taki.
Zal mi Cnot twych, ktoreby lepiey się wydały,
Gdyby ich troszkę nie cmił, ten defekt choć mały.
Porzuć ten nałog; obroć na to myśl y siły,
A dotąd wszystkim nudny, będziesz wszystkim miły.
Ta zaś rada, ktorą ci, niech mi się dać godzi,
Wiedz; że nie z złego serca moiego, pochodzi.

ROLAND.

Moc iakaś niewidoma, tego upomnienia,
W momencie na tok inszy, me serce przemienia.
Surowych ust, zmarszczoney twarzy, człek się zlęknie,
Sliczne Usta, strofuią wdzięcznie, łaią pięknie.
Kocham Oyca, lecz iego surowe przestrogi,
Daremnie się z moiemi, biedziły nałogi,
Jak się dowie, co piękność twa, y rozum umi,
Miłym się podziwieniem; staruszek zadumi.
A tak cudne, Urody twoiey we mnie skutki,
W radość przemienią iego, frasunki y smutki.
Gdy zaś, iest ma poprawa, dziełem twoim iawnym,
Nie gardź Amato sercem, od ciebie poprawnym.

AMATA.

Nic ci na to nie powiem; wprzod muszę obaczyć,
Jeźli szczerze przestaniesz, zrzędzać y dziwaczyć.

AKT

AKT PIĄTY.

SCENA PIERWSZA.

FIUTYNIEC y KRĘCICKA.

FIUTYNIEC.

O czym piękna Kręcicka duma?

KRĘCICKA.

pomaleńku
Ze mną Fiutyńcze; dawno mam z tobą na pieńku.
A gdy za twe szalbierstwo, mam na ciebie chrapkę,
Dumam, iak sobie począć; żebyś mi w padł w łapkę.

FIUTYNIEC.

Tyranko! twardsza na mnie, niż skały y głazy,
Niż ogurek na grzędzie, surowsza sto razy.
Okrutnico! do iędzy podobna, złym okiem,
Co mię iak bazyliszek, chcesz zabić twym wzrokiem,
Pokiż mię łaiać będziesz?

KRĘCICKA.

Szaleńcze nie gawędź,
Bo się o twoy ząb oprze, moiey ręki krawędź,
Jakże cię nie mam łaiać, za twe łgarstwa? sobieś
Sam winien, żeś wierutny szalbierz, hultay, obieś,
Gdzież podarunki, złotko, gdzie kosztowne szaty,
Za ktoreś u mnie serce ztargował Amaty?
Y ty, y nudny Dziwak twoy; y Dziad twoy stary,
Zgińcie, a wszyscy razem, idźcie se na mary.

FIUTYNIEC.

Jako? śmiesz mię zniewazać? com tak zacny młokos.

KRĘCICKA.

Słuszny z ciebie Kawaler, do cepa, y do kos.

FIU-

FIUTYNIEC.
Jako ia do kos? Pańſki Dworzanin, y ſługa?

KRĘCICKA.
Prawda; ale do Dworu, przyſzedłeś od pługa.

FIUTYNIEC.
W głowę zachodziſz; z gniewu rozum ci ſię mieſza,

KRĘCICKA.
Mam y rozum y pamięć, żeś chłop od lemieſza.

FIUTYNIEC.
Błądziſz, iam nie z tych krajow, iam ſobie człek obcy,

KRĘCICKA.
Przychodzą z obcych kraiow w ſiermięgach parobcy.
A ciebiem ia nie dawno, w inſzym znała pierzu,
Wierutny bałamucie, bezwſtydny ſzalbierzu.

FIUTYNIEC.
Słowa mi z uſt wyciągaſz; y Kręcickę pono
Nie dawno zabawiała kądziel y wrzeciono.
Y nie maſz trzech lat, iak icy, kaſzy, albo grochu,
Na iey bankiet, w czerepce, dawano po trochu.

KRĘCICKA.
Z ſzaloney twoiey mowy, to będzieſz miał w zyſku,
Że cię za drzwi wytrącę, dawſzy ci po pyſku.
Że pięścią wyproſzony, y kułakiem zbyty,
Z potarganą czupryną poydzieſz ztąd iak zmyty.

FIUTYNIEC.
Nie dziw, choćbym oſzalał, wſzak przy pięknych Dziwkach,
Bywa często, w młodzianow głowie, iak po śliwkach.
Ale Kręcicka dla mnie, tak twarda, iak krzemień,
Zmiękczona podarunkiem, gniew twoy w łaſkę przemień.

 Hoy-

Choynie cię nim obdarzę.

K R Ę C I C K A.

Nie uwierzem; zaczym,
Na własne twych prezentow oczy, nie obaczym.
Coż masz dla mnie?

F I U T Y N I E C.

Mam złotem haftowany trzewik,
W ktorym tak stąpać będziesz, iak młody Cietrzewik.
Mam patynki ze srebrem, w ktorych piękne kroki,
Stawiać będzie twa nożka mała iak u sroki,

K R Ę C I C K A.

Coż procz tego?

F I U T Y N I E C,

mam ieszcze iedwabne pończoszki,
Tak nowe, że nie padły dotąd, na nie proszki.

K R Ę C I C K A.

Coż masz procz tego?

F I U T Y N I E C.

O to mam wstążki, spodniczki,
Kornety, zarękawki, sprzączki, rękawiczki,
Kontusiki, futerka, szpilki, y wachlarze,
Bielidła, co swą farbą czynią piękne twarze,
Mam cały sklep, z ktorego możesz się zakwesić,
Ustroić, upudrować, y włosy utresić.
Słowem; mam dla Kręcicki, sto czerwonych w worku,
Jeżeli poprzestanie, gniewu, y uporku,
Jeźli się za Fiutyńca, poyść za mąż nie zbroni,
Jeźli serce Amaty, do Rolanda skłoni.

K R Ę C I C K A.

Day worek z złotem ważnym,

F I U T Y N I E C.

Przyznaymy bez swaru,
Ze nie płacą pięnięd
zy, nie wziąwszy towaru.

KRĘ-

KRĘCICKA.
Daięć parol za towar; lecz ty pusta głowo,
Ze szumieć poprzestaniesz, daymy wzaiem słowo.

FIUTYNIEC.
Ręczę na mę poczciwość; ślubuię ci za to,
Ze Fiutyniec tak będzie stateczny, iak Kato.
A był to Rayca Rzymski, z brodą iak śnieg białą,
Często bywał Burmistrzem, trząsał Radą całą.

KRĘCICKA.
Day worek, a bądź pewny, że iak złotko grypsnie,
Kręcicka; iuż Amata z rąk się wam nie wypsnie,
O zapłaconym, Panu, idź donieś towarze,
A wierz, że ty, y Roland, dziś będziecie w parze.

SCENA DRUGA.

AMATA, CNOTOSŁAWSKI, y KRĘCICKA.

AMATA.
NAwrociłam Dziwaka, a przy moich nogach,
Przyrzekł; że się w swych zdrzędnych poprawi nałogach,
Nie wiem; czy mu mam wierzyć, y czy w krotce znowu
Nie wroci się do swego płochego narowu.
Po nawroceniu, tyle miał do mnie śmiałości,
W te słowa mi uczynić, ofiarę miłości.
Gdy twą mocą, me serce, nową formę wzięło,
Nie gardź piękna Amato, tym, co twe iest dzieło.
Teraz; radź mi Braciszku, czy iego ofiary,
Odrzucić mam; dla iakieyś dziwactwa przywary,
Czy też nawroconemu mą miłością sercu
Wierząc; z Rolandem stanąć na ślubnym kobiercu?

CNOTOSŁAWSKI.

Z yczyłem ci Rolanda, y byłem Prorokiem,
Że go pięknym, uleczysz na dziwactwo, okiem.
Teraz gdy się to zpełnia, nie wiedziałbym czemu,
Nie wierzyć, twą miłością sercu poprawnemu.
Cnoty, grzeczność Rolanda, y wiek iego młody,
Moc twoiego rozumu, wdzięku y urody,
Zgodnie nam obiecuią y gruntownie radzą,
Że małe iego wady, poprawić się dadzą.

KRĘCICKA.

Młodzian zwykł się polepszyć, gdy do ślubu stanie,
A nałogi poprawia, przysięgłe kochanie.
Y ia dziś z Panią piękne, biorąc z niey przykłady,
Z Fiutyńcem w stan małżeński, wstępuię w iey ślady.

SCENA TRZECIA.

ROLAND, STAROPOLSKI, CNOTOPOLSKI, AMATA, FIUTYNIEC, y KRĘCICKA.

ROLAND.

Rzucam nudne dziwactwo: odtąd do grobowca,
Obrzydły y obmierzły będzie mi obmowca.
Śliczna Amato; na twe przysięgam ci oczy,
Że nigdy tym nałogiem Roland nie wykroczy.
Cnot twych uczyć się będę; ieźli w czym pokawię,
Na tak piękny wzor patrząc, prędko się poprawię.
Poki osnowy moiey nie doprzędą Parki,
A nie wybiią godzin ostatnich zegarki,
Słodkim Rządom, y Prawom, Amaty posłuszny,
Oświadczę iey moy affekt, serdeczny, y duszny.

A gdy

A gdy ſię pod grobowe wybiorę kamienie,
Miłość twoią, w śmiertelne wezmę z ſobą cienie.

STAROPOLSKI.

Amato; twa mi piękność, uleczyła Syna,
Bielmo ſpada mu z oczu, y widzieć poczyna.
Poznaie ſam ſzpecące, Cnotę iego, błędy,
Obmierził ſobie brzydkość zdrzędnego gawędy,
Nader ſzczęśliwy; ieźli z nałogu poſtawſzy,
Twą mocą, wzgląd u ciebie, mieć będzie łaſkawſzy.

CNOTOSŁAWSKI.

Sioſtro; kiedyś Rolanda pogodziła z Cnotą,
Przyimuiąc ſerce iego, nie gardź twą robotą.

AMATA.

Ja zaraz ſzacowałam w Rolandzie Cnot wiele,
Zagrzebionych w dziwactwie, iak złoto w popiele.
Kiedy zaś oczyſzczony z ſzpecącey ſię zmazy,
Serce mi ofiaruie bez wady, y ſkazy,
W ſłodkiey dozgonnych naſzych affektow zamianie,
Wzaiemne mu Amata przyrzeka kochanie.
A z nim idąc w małżeńſkie śluby dożywotnie,
Jego ſerce odbiera, ſwe daie ochotnie.

FIUTYNIEC.

Gdy we wſiach śluby ſłychać, á w Miaſtach rozwody,
Panie, lepſzeż ſą mieyſkie, czyli wieyſkie mody?

ROLAND.

Wieś dziś mnie nad Warſzawy, Paryże, y Rzymy.

FIUTYNIEC.

To y Warſzawſkie precz ſię rozeſzły iuż dymy!

RO-

ROLAND.

Coż mey, rownego, świata Stolice, Modeście
Wydały kiedy?

FIUTYNIEC.

Wiwat! o cieſzcież ſię! cieście!
Kręcicka! ach iaka mię bierze oſzkomina?

KRĘCICKA.

Coś ią czuć y Kręcicka, wierzże mi, poczyna.

FIUTYNIEC.

Niechże o iednym koſzcie, będzie weſel dwoie,
Z Amatą mego Pana, a z Kręcicką moie.

KRĘCICKA.

Zgoda; a niech ta prawda, na świecie ſię wſławia,
Dziwakow y Fiutyńcow, kochanie poprawia.

NATRĘT

NATRĘT
KOMEDYA.

AKTOROWIE Y AKTORKI.

MODESTA, Panna na wydaniu.

STARUSZKIEWICZ, Ociec Modeſty.

REGINKA, ſłużebna Modeſty.

UMIZGALSKI, Młodzian.

STATECKI, Młodzian.

PUSTAK, Pacholik Stateckiego.

Scena ieſt w Warſzawie w Dworku Staruſzkiewicza.

AKT

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

PUSTAK, y REGINKA.

PUSTAK.

Jak ſię miewaſz Reginko? niech ſię ſpytać godzi,
Jak ſię moiey Regince, w Warſzawie powodzi?

REGINKA.

Kłamieſz; nie twa Reginka, nie wie ieſzcze czyia,
To tylko wie, że tobie Puſtaku nie ſprzyia.

PUSTAK.

Coż to? zkąd ta odmiana? zkąd ten gniew tak ſrogi?
Zhardziałaś widzę; dobrze mowią: chleb ma rogi.
Pokiś nie była w takim pierzu, w takim ſzczęściu,
Samaś o twoim za mnie, mawiała zamęściu.
Teraz że ſię w bławatach, iak roża czerwieniſz,
Inſzaś dziś, inſza wczoray, iak mieſiąc ſię mieniſz.
Pyſznaś iak indyk, chodziſz odęta iak ſowa;
Będzieſz ty tańſza, kiedy będzieſz Puſtakowa.

Przyidzie czas; że ſpaſzuie harda twoia minka,
Gdy Puſtak będzie Mężem, a Zoną Reginka.
Gdy zawołam; Reginko! idź, ogień rozdmuchni,
A ſmaczny podwieczorek zgotuy mi na kuchni.

R E G I N K A.

Widzę, że iak nazwiſko, tak głowa twa puſta,
Lecz większy dla mnie reſpekt miey, lub zamkni uſta.
Nie wieſz; że my tu wſzyſtkie zowiemy ſię Damy,
Cośmy ładne, co piękną twarz y oczy mamy.
Urzędnik, czy Senator, byle tylko młody,
Szanuie w nas y chwali, wdzięk piękney urody.

P U S T A K.

Reginka Damą? to ia Kawaler! w tey dobie
Rowniśmy; y nie mamy co wymawiać ſobie.
Y iam też piękny, zwłaſzcza kiedy ſię umyię,
Pięknieyſzym ieſzcze, kiedy na kluſkach utyię.

R E G I N K A.

Plecieſz Puſtaku; ale wybij ſe to z głowy,
Zeby padł na mnie wyrok Niebios tak ſurowy,
Abym żyć miała w parze z takim grubianem,
Fe; y twymbym podobno gardzić mogła Panem,
Czas co wſzyſtko odmienia, y piękna Warſzawa,
Inſze ſercu, y myśli moiey, daią Prawa,
Chwalcow urody moiey otoczona kołem,
Widzę; iak przed pięknością moią biią czołem,
Przebieram w nich iak w plewach, a takie ſtraſzydło
Jak ty; przedtym mi znośne, teraz mi obrzydło.

P U S T A K.

Brzydź ſię mną, łay mię iak chceſz, niech twoy umyſł hardy,
Urąga ſię z Puſtaka, y pyſzni z mey wzgardy,

Cho-

Chociaż byś na mnie była, żmiią, ofą, wężem,
Reginko; mufifz bydź mą żoną, ia twym mężem.

REGINKA.

Jako, ia mufzę?

PUSTAK.

Moiey omyłce wybaczyfz,
Nie mufifz być mą żoną, ale nią bydź raczyfz,
W oftatku; niech mi Nieba, co mym lofem władną,
Reginkę, czyli infzą żonę, dadzą ładną,
Za moią dolą poydę, iak w taniec, a kroki
Obrocę, tam gdzie Niebios rozkażą wyroki.
Dam fe radę; nie dam fię wyprowadzić w pole,
Mam rozumu po ufzy, byłem Miefiąc w fzkole.
Teraz odmieńmy dyfkurs; Regince w fekrecie,
Mam co mowić, ieśli fię przed kim nie wyplecie,

REGINKA.

Wfzakże wiefz, że Reginka, choć czafem fzczebiotka,
Jednak fekret zatrzyma, y nie bywa plotka.
Mow befpiecznie.

PUSTAK.

Wiefz dobrze, że odmieniam Pana,
Jak fuknie, owfzem częściey, bo ta nadfzarzana,
A Panow choć miewałem, pięknych, młodych, zdrowych,
Jednakem ich co Miefiąc, odmieniał za nowych.
Teraz co mam za Pana; on ieden, ia drugi,
Szukać w świecie takiego, y Pana, y fługi.

REGINKA.

Nie pleć, nie trwoń mi czafu, bo u nas w Warfzawie,
U gotowalni fchodzi czas nafz wfzyftek prawie.
Idę do niey; bielidłem uczynię fię piękną,
Jak mię bez farb obaczą, ludzie fię mnie zlękną.

P U S T A K.

Pozwol Reginko; niech cię ſpytam bez urazy,
Czyście wy piękne Damy? czy piękne obrazy?
Czy przyczyni piękności twoiey farba cudza?
Ktora, gdy z niey twarz otrzeſz, chuſtkę twę ubrudza,
A kiedy ią ſerweta obmyie y zbierze,
Praczka wraz y ſerwetę, y piękność twę pierze.

R E G I N K A.

Nie przymawiay, Paryſkim zwyczaiom, y modzie,
Bo ta, wiele ozdoby przydaie urodzie.
Mow prędko, co maſz mowić.

P U S T A K.

To ci zabełkoczę,
A przeciw twoiey Damo powadze wykroczę.

R E G I N K A.

Kończ; bo nie wieſz, iak Damie gadać z tobą nudno,

P U S T A K.

Tę Damęm znał chodzącą, y boſo y brudno,
Ktorey teraz z reſpektem, mam honor namienić,
Ze chciał bym Pana mego, z iey Panią ożenić.

R E G I N K A.

Ktoż teraz ieſt twym Panem?

P U S T A K.

Powiem, ſłuchay pilnie,
W Krymie, w Paryżu, w Jaſach, w Londynie, ni w Wilnie,
Nie kupiſz takich Panow;

R E G I N K A.

Ale iak ſię zowie?

P U S T A K.

Spuść oczy, ſtoy z reſpektem, nim ci ſię to powie,

Zam-

Zamkniy uſta, a uſzy miey tylko otwarte,
Bo imie Pana mego takiey ćzci ieſt warte.

REGINKA.

Czy widziſz? iak Reginka grzeczna, iak cię ſłucha?
Oczy ſpuſzcza, z reſpektem nadſtawuie ucha.

PUSTAK.

Statecki ieſt mym Panem, a to imie wielkie,
Zawiera w ſobie cnoty, y pochwały wſzelkie,
Pan ten mądry iak Samſon, iak Salomon mocny,
Pan wſchodni, południowy, zachodni, pułnocny,
Na cztery części świata, grunt Pańſki otacza,
Dwor iego; a ktoż by go nie miał za Bogacza?

REGINKA.

Co o twym Panu mowiſz, wſzyſtko to ieſt fraſzka,
Bo mamy do mey Pani, natrętnego gaſzka,
Ten natręt, mnie y Pani mey, odetchnąć nie da;
Ze kochać nie przeſtanie, z przyſięgą powieda,
Choć nim gardzi Modeſta, obraca to w żarty,
Ciężki będzie do zbycia, ten Natręt uparty.
Ale ſłuchay; podam ci, ſpoſob nie zawodny,
Spoſob za naſzych czaſow, y za wſzyſtkich modny,
Ktorym wyrobiſz Pańſkie zamyſły y żądze,
Ten ſpoſob tak ſkuteczny, zowie ſię: pieniądze.
Rzuć niemi, a nie ſkąpo, potym bądź beſpieczny,
Ze twoy Pan będzie piękny, hoży, mądry, grzeczny.
Naprzod w oczach Reginki, ważnym złotem błyśni,
Kup u niey ſerce Pani: a co ſię iey przyśni,
Donieſie ci Reginka; y myśli y ſłowa
Pani ſwoiey przedawać, Reginka gotowa.
Ale; idź ztąd, bo Pani mey nadchodzi Ociec,
Domyślny ieſt, a naſzych intryg mogłby dociec.

SCE-

SCENA DRUGA.

REGINKA y STARUSZKIEWICZ.

STARUSZKIEWICZ.

Reginko! czy Latawiec wypadł z tego gmachu,
Ledwie mię nie roztrącił, nabawił mię ſtrachu,
Wielkim pędem, wpadł na mnie, raptem y znienacka,
Mina mu iakaś ſtraſzna, y poſtać dziwacka,
Nie dość, że mię dziś znudził, waſz Natręt obrzydły,
Jeſzcze mię Niebo karze iakiemiś ſtraſzydły.

REGINKA.

Miarkuię z twey powieści, że prawda być musi,
To, co o ſtrachach u nas gadaią na Rusi,
Kiedy tu ſtrach widziałeś, w Latawca poſtawie,
Dziwno mi, czemu ſtrachom nie wierzą w Warſzawie.

STARUSZKIEWICZ.

Czułem ſtrach, nie widziałem; a ciebie ſię figle,
Trzymaią, nie o żartach myśl, ale o igle.

REGINKA.

Chętnie bym ſzyła, ale wielu z grzeczney młodzi,
Mowiło mi, że ſzycie pięknym oczom ſzkodzi.
Do tego; wiem że ſzyiąc ſuknia ſię ubrudzi,
A tu potrzeba czyſto ubrać ſię do ludzi.

STARUSZKIEWICZ.

Czyſto, zgoda; przyznaię, że Pannie przyſtoi,
Kiedy ſię czyſto nosi, y chędogo ſtroi.
Tak być powinno; ale nie wiem, co to po tym,
Że moia Corka lubi lſnić ſię w ſtroiu złotym,

Poży-

Pożyczać chce piękności od kosztowney mody,
A dość ma z przyrodzenia w dzięku y urody.
Twarz y stan iey iest milszy, niżli szaty drogie,
Niech te swiecą bokami, co w piękność ubogie.

REGINKA.

Jakże? gdy tu bogato każda chodzi Dama?
Twa Corka, w podłych szatach, będzie tylko sama.
Obmowią nas w Warszawie, że ta iedynaczka,
Czy Oyca ma skąpego, czy sama dziwaczka?

STARUSZKIEWICZ.

Tyś dziwaczka; twoia to wymyślna robota
Sprawiła, że má Corka chce do sukien złota,
Ty ią psuiesz; idź: Corki moiey woła y do mnie,
A kiedy z Panem twoim gadasz, gaday skromnie.

SCENA TRZECIA.

STARUSZKIEWICZ, MODESTA, y REGINKA.

STARUSZKIEWICZ.

Nie wiem, co się Regince twoiey w głowie roi?
Mną y tobą chce rządzić, swym gustem cię stroi,
Powieda; że cię noszę nie dosyć bogato,
Jakby nie ia, lecz ona, łożyła koszt na to,
Niech albo poprzestanie zrzędy niepotrzebney,
Albo się pozbędziemy w krotce tey służebney.

REGINKA.

Nie będę ia, to będzie, na mieyscu mym inna,
A każda, Państwu prawdę, powiedzieć powinna,

Chleb

Chleb by mię Pańſki pobił, w garle by mi kością,
Stanął; gdybym go płacić miała nieſzczerością.
O honor Pańſki mowię;

STARUSZKIEWICZ.

Przyſzło mi na licho,
Z tą dziewczyną! ia z Corką gadam, tobie cicho.
Milcz, dawnom ci powiedział, że z ciebie gawęda,
Doiadła mi do ſerca nudna twoia zrzęda.
Corko co na to mowiſz?

MODESTA.

Bardzo mię to boli,
Ze Reginka ieſt ſprzeczna, Oyca mego woli,
Miłe mi ſą z rąk iego, ſuknie choć ubogie,
Gdy ie dał Ociec, iuż ſą u mnie bardzo drogie.

REGINKA.

Taką Corkę, trzeba by uſrebrzyć, uzłocić,
W rubiny, w dyamenty, w perły ukleynocić.

STARUSZKIEWICZ.

Prawda; ale Reginka, co tak zła, iak oſa.
Godna, żeby chodziła, odarta y boſa,
Cyt mowię, bo twoy ięzyk możeć ſię zle nadać,
Pokaż, że umieſz milczeć, wiem że umieſz gadać.

REGINKA.

Zamykam uſta palcem;

STARUSZKIEWICZ.

Trzymaſz z owym wilczkiem.
Co nie ſzczeka, choć gryzie, y co kąſa milczkiem,
Lada dzień Corkę moią złość twoia nabechce,
Ze ſię znowu w bogate ſuknie ſtroić zechce.
Ale, choćbym też Corkę kochaną zaſmucił,
Z Domu bym cię iak raka z kobiałki wyrzucił,

Y zno.

Y znośnieyby mi patrzeć na Corki mey szlochy,
Niźli na twe wymyślne dziwactwa y fochy
Ty Corko, sposobnieyszey czekay czasu chwili,
W ktorey z sobą będziemy bez swiadkow mowili;
Teraz, o większych rzeczach, niż o twoim stroiu,
Chcąc pomyślić, odeydę do mego pokoiu.
Jeźli mię tylko srogi Natręt nie zakłuci,
A dosyć ztroskanego bardziey nie zasmuci.

SCENA CZWARTA.

MODESTA y REGINKA.

MODESTA.

REginko, bespieczeństwo twe może cię zdradzić,
Godziłoż ci się, przy mnie, z Oycem moim wadzić?
Przykry nadzamiar ięzyk twoy, y ostry zbytnie,
Nie raz y mnie, y innym do żywego przytnie.
Wybaczam to; lecz kiedy mogłaś się odważyć,
Przeciwko Oycu memu, ust twych na złe zażyć,
Kiedy niepowściągliwa, w słowach twych y w mowie,
Temu co mi dał życie, gniewem psuiesz zdrowie.
Ten raz ieszczeć wybaczam, lecz drugi y trzeci,
Jeźli przewini, z domu Reginka wyleci.
Dzień dzisieyszy dość dla mnie był przykry y smętny,
Dość mi dziś Umizgalski dokuczył natrętny,
Y Reginka mię martwi, gdy Oycu przycina
Słowami; ktore do ust przyniesie iey ślina.

REGINKA.

Taką, za wierną moię usługę y pracę,
Za dobre serce, tak złą mam odbierać płacę?
Wiesz dobrze, że Reginka ni gnuśna, ni płocha,
Chyba tym tylko grzeszy, że cię nazbyt kocha.

Nie przewiniłam nigdy wielomoſtwem; ani,
Nic przykrego nie rzekłam Oycu moiey Pani.
Jakże mam milczeć, kiedy żal mi ſerce ſciſka,
Ze w Warſzawie możemy przyśść na pośmiewiſka,
Ze gdy inne celuieſz Damy, twą urodą,
Ociec cię noſi wieyſką nie Warſzawſką modą?
Y kiedy chce do Corki zwabić kawalerow,
Na ſuknie iey żałuie ſpleſniałych Talerow.
A na ſzkatule ſwoiey, poſadziwſzy węża,
Nie wie, że nim odrazi od Corki ſwey męża.

MODESTA.

Surowoć zakazuię, zaniechay te ſuknie,
Bo ieźli choć raz Ociec na mnie ſię ofuknie
O twoy ięzyk, zapewne nie minie czas długi,
Ze ty pozbędzieſz Pani, ia pozbędę ſługi.

REGINKA.

Daięć parol; á uznaſz, że Reginka ſłowna,
Tak milczeć umie iak być umie, wielomowna,
Y pierwey ſię oduczą wadzić baby krupne,
Pierwey Panny ſłużebne nie będą przekupne,
Wprzod pytać ſię o poſag przeſtaną Młodzianie,
Wprzod bez niechęci zeydzie, wiek w Małżeńſkim ſtanie,
Wprzod będą ludzie, gruſzki kopali na wirzbie,
Wprzod ſię zdarzy, uganiać orły, małey dzirzbie,
Pierwey cetnar ołowiu na nitce zawiśnie,
Niż Reginka, o ſukniach twoich, ſłowo piśnie.
Ale coż to? dziś trzecią, mam bidę po bidzie,
Umizgalſki ten nątręt, ten gaſzek tu idzie,
Oyca y Corki, przykre wycierpiałam łayki,
A ieſzcze cierpieć przykre mam natręta bayki.

SCENA

SCENA PIĄTA.

MODESTA, REGINKA, UMIZGALSKI.

U M I Z G A L S K I.

GDy miłość żądzom moim, swych skrzydeł pożyczy,
Lecę, do nog twych, miłey kosztować słodyczy;
A kiedy wzdychać, u stop twoich się ośmielę,
Z kochaniem y radością, serce moie dzielę,
Y Niebieskie na ziemi w ten czas trawiąc chwile,
Zażywam dobrych czasow szczęśliwie, y mile.

R E G I N K A.

Jak żyię, nie słyszałam o takim natręcie,
W głowę zaszedł, ladaco gada, iak w odmęcie.
Kto ma rozum, znayduie; Panie importunie,
Przyiemność w twym dyskursie, taką, iak w piołunie.

U M I Z G A L S K I.

Z Panią, nie z tobą gadam;

R E G I N K A.

Ty z nikim na świecie,
Nie gadasz; bo twoy ięzyk, nie gada, lecz plecie.

U M I Z G A L S K I.

Chcesz, żebym tu nie bywał?

R E G I N K A.

Wiedzieć nie zawadzi,
Ze kto mądry, nie bywa tam, gdzie mu nieradzi.

M O D E S T A.

Reginko; przerwęć duskurs twoy nazbyt bespieczny,
Każdy tu może bywać, cnotliwy, y grzeczny.

Nie takiemu gościowi nie będzie tu wstrętem,
Byle iak Umizgalski, nie był mi natrętem.

UMIZGALSKI.

Doświadczasz mey miłości; ale ia z kochaną,
Choć surową Modestą, poydę na wytrwaną.

MODESTA.

Niech wprzod umrę, y pierwey, niech zginę ze szczętem,
Niżlibym żyła w parze, z tak nudnym Natrętem.

UMIZGALSKI.

Gniew ciężki, w słodką miłość, przemienia się z czasem,
Szczęście się często wraca, choć poydzie nawiasem.
Po wielkich smutkach radość wielkim krokiem spieszy,
Jeden moment nas zmartwi, á drugi pocieszy.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

STARUSZKIEWICZ y MODESTA.

STARUSZKIEWICZ.

LUbom twoy Ociec, iednak pochwalić cię muszę,
Ze masz od Nieba, w pięknym ciele, piękną duszę.
A na twe obyczaie patrząc, widzę iaśnie,
Ze lustr twoiey urody przy cnotach twych gaśnie.
Skromność, y wstydliwego, ozdoba rumeńca,
Nie iednego do ciebie przywabia Młodzieńca.
Gmin znaczney młodzi, ktory przychodzi tu tłumem,
Chwali w tobie, złączoną urodę, z rozumem.

Ja

Ja gdy cię widzę w dobie, Panny na zamęściu,
Chciałbym cię prędko uyzrzyć, w dożywotnim szczęściu,
Y radbym, abyś w twoich konkurrentow gminie,
Obrała sobie męża, niźli ten dzień minie.
Wprzod zaś nim do ślubnego przystąpisz kobierca,
Poradź się dobrze Oyca, rozumu, y serca.
A ieźli nie znasz ieszcze w kochaniu słodyczy,
Nowego Kawalera, Ociec twoy ci życzy.

MODESTA.

W rękach Oyca, są losy moie dożywotnie,
Skinieniu Jego będę posłuszna ochotnie.
Ten, ktory mi dał życie, niech mym szczęściem rządzi,
Serce Corki, za Oyca powodem nie zbłądzi.
Dotąd szczegulne w życiu, Oyca znam kochanie,
A żem się nauczyła, że w Panieńskim Stanie,
Toż iest w sercu mieć miłość, co w zanadrzu węża,
Ani kochać nie umiem, ani obrać męża,
Dopiero w ten czas wnidę z miłością w przymierze,
Gdy Ociec kochać każe, gdy Męża obierze.

STARUSZKIEWICZ.

Ze takie cnoty, będą błogosławić Nieba,
Y mnie, y tobie Corko, spodziewać się trzeba.
Ale coż ci się zdaie, ten twoy Natręt nudny,
Umizgalski?

MODESTA.

Ze płochy, nieszczery, obłudny,
Jest ten Młodzian, nie tylko mowa go wydaie,
Ale też śmiechu godne iego obyczaie.

STARUSZKIEWICZ.

O tym natręcie, trzymam, tak iako ty, ale
Nowych mych myśli, zwierzę ci się poufale.

Mowi-

Mowiłem ci, kochana Corko, tyle razy,
Ze ci dam do zamęścia radę, nie rozkazy,
Y że do twego Ociec skłonny przedsięwzięcia,
Kogo zechcesz mieć mężem, Ja przyimę za zięcia.
Teraz, kiedy do ciebie, Młodziana prowadzę,
Nic ci nie rozkazuię, ale tylko radzę,
Przyiacielam od serca miał, co od pieluszek,
Rosł ze mną, dziecko, chłopiec, żył mąż y staruszek,
Tego mi przed lat ośmią, w mego wieku dobie,
Smierć nienawistna, z płaczem mym, złożyła w grobie.
Został po nim iedynak, Młodzian bardzo grzeczny,
Pobożny, Urodziwy, rozumny, stateczny.
Ten w Sądach Assessorskich, maiąc swoie sprawy,
Wczorayszey nocy asztą zbiegł tu do Warszawy,
Dziś był u mnie, á tylko, com go we drzwiach zoczył,
Zapomniawszy żem stary, szypkom z krzesła skoczył.
Upłakałem się nad nim, z pociechy, á oku
Łez radosnych, z miłegom pozwolił widoku.
Bom postrzegł, że skład twarzy, postać, oczy, cera,
Oycowska, iest w osobie tego Kawalera.
Po przywitaniu, padł mi do nog, á wstydliwe
Oczy podniozszy, tak mi rzekł: dziś dobrotliwe
Nieba, do szczęsney doli, daią mi pochopy,
Pozwalaiąc mi twoie ucałować stopy.
Ociec moy, gdy w boleściach, ostatniey choroby,
Postrzegł, że w przodkow swoich przenieść się ma groby.
Tak rzekł; nim sen ostatni zamknie mi powiekę,
Przyiacielowi syna, zapiszę w opiekę.
A widząc, że śmierć Jego zbliżać się poczyna,
Ciebie mi Oyca, á mnie, zapisał ci Syna.
Teraz, niechay cię widzę w Oycowskiey postawie,
W życia, y serca mego nayprzednieyszey sprawie.
Corkę twą dziś widziałem, á do iey piękności,
Pierwszy raz w życiu pałam, ogniami miłości,

Gdy

Gdy ſię dziś rano, w świętym modliła Kościele,
W ślicznych oczach tey Damy, widziałem cnot wiele,
Y wyznam; ieźli moia śmiałość nie wykroczy,
Ze mi iey piękność przeſzła do ſerca przez oczy,
Bo ſię z śliczney iey twarzy, iawnie wydawało,
Ze ma ieſzcze pięknieyſzą Duſzę, niźli ciało.
Kocham ią, á ſtateczny ten ieſt umyſł u mnie,
Albo z nią żyć dozgonnie, albo polec w trumnie.
A co mam ſchnąć z miłości, y umierać ſkrycie,
Dziſiay z rąk twych odebrać, chcę śmierć albo życie.
Gdy tak mowił; ze łzami przeplatał wzdychania,
Swiadectwa, y dowody ſzczerego kochania.
A do nog mych przytulać nie przeſtał ſwey głowy,
Poty; pokim go temi nie pocieſzył ſłowy:
Serca mego bądź pewny, Corka ſwoim rządzi,
Będzie twoia, ieźli ią Niebo ci przyſądzi.
Sam idę do niey w ſwaty, ty za dwie godziny,
Przydź, mogą ſię nam zaraz udać zrękowiny.
A ieżeli iey będzieſz przyiemny y luby,
Dziś w nocy, Swięte ſobie, przyſiężecie śluby.
Teraz Corko, czyń co chceſz, będziemy tu oba
Z kawalerem, obaczyſz ieźlić ſię podoba,
Ja ci go życzę, ia cię upewniam, y ręczę,
Ze cnotliwy ten młodzian, ktorego ci ſtręczę,
Oſzczędny gdzie potrzeba, á gdzie trzeba choyny,
Skromny, ſzczery, rozumny, ſtarowny, ſpokoyny,
Maiętność ma doſtatnią, na Stan naſz Szlachecki,
Ten, Urodziwy młodzian, zowie ſię Statecki.

MODESTA.

Za wolą Oyca poydę, on mym ſercem władnie,
A z tak kochaney ręki, los moy dobrze padnie.
Nie wiem zaś czy nie tegom widziała Młodziana,
Na ranney Mſzy w Kościele u Swiętego Jana.

O kil-

O kilka tylko krokow, był odemnie bliſki,
W oſy y brew miał czarną, wąs ruſy, wzroſt, niſki,
Z twarzy y z oczu iego, patrzyły mu cnoty,
Kontuſz miał biały, żupan ponſowy, pas złoty.

STARUSZKIEWICZ.

Ten ſam ieſt, á w takowey poſtaci y ſtroiu,
Dziś o dziewiątey z rana był w moim pokoiu.
Znać, że was Nieba złączą, kiedy ſię wam zdarza,
Pierwſzy raz u Swiętego poznać ſię Ołtarza.
Ale; rad nie rad muſzę, ztąd odeyść bez zwłoki,
Umizgalſki prędkiemi idzie do nas kroki.
Jak klawiſze z parteſow, ſzypkie ſtawia nogi,
Umknę wprzod, niż ten natręt przeſtąpi me progi,
Nie zcierpiałbym wykwintow, tego Jegomości,
Przyſzlęć Reginkę; niechay bawi takich gości.

SCENA DRUGA.

MODESTA y UMIZGALSKI.

UMIZGALSKI.

TAk właſnie, iak zebrany w krzyſztał, Słońca promień,
Ogniem zapala ſiarkę, y wybucha w płomień,
Widokiem przyiemnego blaſku twoiey twarzy,
Serce me, twą miłością pali ſię y żarzy.
Tak, iak pachnąca roża ślicznie czerwienieie,
Gdy na nię miły Zefir parą ſwą zawieie,
Zapłoną ſię rumianym wſtydem, twoie lice,
Gdy na nie rzucę pełne miłości zrzenice.

MODESTA.

Słońce na Niebie, roża w polach, my w Warſzawie,
Zdaleka ſzukaſz wſparcia, w miłości twey ſprawie.

Nie

Nie tak mowi, kto kocha; tak zwykł gadać w ſzkole
Zaczek, lub nie dotarte w naukach pachole.

UMIZGALSKI.

Odmienię dyſkurs; powiem, że tu Krol w Koronie,
Dyamentami ſtroyney, Pańſkie nosi ſkronie.
Tyś mi nayſzacownieyſzy y kleynot y perła,
Drożſzaś mi niźli wſzyſtkie Korony y berła.

MODESTA.

Pierwſzy twoy dyſkurs w ſzkole nie ſzpeciłby żaka,
Lecz drugiego oſnowa, cale ladaiaka.
Bo tu ani na Seymie, ni z Senatem w radzie,
AUGUST Polſki na głowę, Korony nie kładzie.
Lubo zaś mowią Damie, Tyś moia Krolowa;
Z Krolem nie rowna Damy, chyba puſta głowa.

UMIZGALSKI.

Gdy y w drugim mym ſmaku nie maſz gomplemencie,
Trzeci zaraz, y w iednym powiem ci momencie.
Tak śliczną maſz urodę, tak wyglądaſz pięknie,
Ze gdy cię widzę, ſerce me z miłości mięknie.
Mdleię z kochania, ciemnym umarłych manowcem,
Poydę, aż ſtanę ſmętny pod twardym grobowcem.

MODESTA.

Tam leżą a nie ſtoią, ty znać prędko w trumnie,
Będzieſz, boś zmyſły ſtracił, gadaſz bezrozumnie.
Coż to? ſerce ci mięknie; co taka myśl znaczy?
Tylko że twoia Muza plecie y dziwaczy.

UMIZGALSKI.

Uſtał moy Pegaz; iuż ſię poci, y potyka,
Słowa niknąmi w uſtach, na końcu ięzyka,
Jeſzcze powiem; że chociéś iak Dyament twarda,
Nigdy mię nie odrazi gniew twoy, ani wzgarda;
A ſtatek moy, twe ſerce opoczyſte ſkruſzy,
Gdy doznaſz y doświadczyſz, że cię kocham z duſzy.

MODESTA.
Już też nazbyt dziwaczysz; iuż mi z tobą nudno,
Takiego mi Natręta, dłużey słuchać trudno,
Odchodzę, bystry rozum, dowcipney Reginki,
Znaydzie rowno twey Muzie, wiersze y ucinki,
Umie prowadzić dyskurs, takim iak ty tokiem,
W sam dobry czas, pospiesznym zbliża się tu krokiem.

SCENA TRZECIA.

UMIZGALSKI, y REGINKA.

UMIZGALSKI.
Ach Reginko! posłuchay; okrutna twa Pani,
Y miłością mą gardzi, y wiersze me gani.
Co za niesprawiedliwość! czyliż posmiewiska
Godny moy dyskurs, moia Muza Wierszopiska?

REGINKA.
Twoy dyskurs, tak ieſt pełen, pięknych myśli tłumu,
Że ieſt dobry, sam przez się, chociaż bez rozumu,
A słowa twe układasz, w tak ślicznym porządku,
Że mogą bez zdrowego obeyść się rozsądku,
Nie mowiż, ale śpiewasz na podziw wiersz miły,
Y kawki nigdy wdzięczniey, iak ty, nie nuciły.

UMIZGALSKI.
Szczerze, czy chytrze mowisz?

REGINKA.
Smieszne to wątpienie,
Szczerszego złota nie masz, iak moie sumnienie.
Ale w tym o co spytam, szczerością wzaiemną
Chciey iść, y wynurz serca skrytości przedemną.

Kochasz

Kochasz ty moią Panią?

UMIZGALSKI.

Ach iakże nie kocham?
Do iey piękności wzdycham, mdleię, ięzczę, szlocham.

REGINKA.

To co mowisz, nie ieſtże żart, albo obłuda?
(*Tu go utnę; ieżeli moy przemyſł ſię uda.*)
O czaſy! o zwyczaie! ſromota y groza,
Na moy ſąd, godna kary, miecza y powroza.
Staraią ſię o Damy, dziſieysi Młodzianie,
A nie pomnią, że naſze my wydaiem Panie.
Ociec ich ani matka nie ieſt tak potrzebna,
Młodzianowi do Damy, iak Panna ſłużebna.
Ta ſkrytość ſerca Damy do gruntu przenika,
Tey ucho więcey ſłyſzy, niżli Spowiednika.
Tey ſię Dama w ſekrecie, myśli ſwoich zwierza,
Do kogo iey przychylność, ſkłania ſię y zmierza.
Krotkoć powiem; twę Damę ia mam na wydaniu,
Zapłać mi ią, otrzymaſz ſkutek wtym ſtaraniu.
Wiedz zaś, iakie ſłużebney ma zapłacić żołdy
Młodzian, ktory iey Pani, nieſie ſerca hołdy.
Wprzod, niżli ſię ſwey Damie, pierwſzy raz ukłoni,
Młodzian pierwſzą nam ſummę, wyliczy na dłoni.
Nim mu da ſłowo Dama, że iego uſługą,
Nie gardzi, da ſłużebney, Młodzian ſummę drugą.
Nim zaręczą Młodziana, pokrewni y ſwaci,
Trzecią ſummę kawaler, ſłużebney wypłaci.
Nim intercyza ślubna, będzie z nim zawarta,
Od Kawalera ſumma należy nam czwarta.
Nim ślub weźmie, w dozgonne więzy nim ſię wpląta,
Młodzian, ſumma od niego należy nam piąta.
Ktory zaś Młodzian przez te nie zechce przeyść ſtopnie,
Nigdy o Damę, ſwoich zamyſłow nie dopnie.

Będzie gap, piiak, hultay, gracz, oſzuſt, y głupi,
U Pani naſzey, ieźli nam ſię nie okupi.
Teraz dobyway worka; á ſzafuy nim ſzczodrze,
Nie żałuy, choć z pieniędzy Reginka cię odrze.
Coż to ieſt? ſto czerwonych złotych dobrey wagi,
Gdy ſię za nie kupuią tak wielkie poſagi.

UMIZGALSKI.

Co powiem! oto; ſerce z żalu mi ſię kraie,
Ze ſię zprawdza przyſłowie: kto nie ma, nie daie.
Ale; niechay podpadnę oſtatniey mey zgubie,
Jeźli ci ſto czerwonych nie dam po mym ślubie,
Y niech mię ſpali ogień piorunu, y gromu,
Jeźli nie będzieſz w pierwſzych faworach, w mym Domu.

REGINKA.

Uććiwſzuſzy Waſzmości; za takiego Gapia,
Niech ſię żadna poczćiwa, iść za mąż nie ſkwapia.
Odchodzę; nie maſz większey na ſłużebne nędzy,
Jak do ich Pań natrętny Gaſzek bez pieniędzy.

AKT TRZECI
SCENA PIERWSZA.

PUSTAK, y REGINKA.

PUSTAK.

Reginko, Panu memu twą radę donioſłem,
Y od niego do ciebie, ieſtem wielkim Poſłem.
Statecki, chcąc z Modeſtą, zabrać afekt ſciſły,
Zna to; że loſy iego, od ciebie zawiſły,

Y wie że Dama, na głos Rodzicow ſwych głucha,
Pannę ſłużebną bardziey, niż Matkę posłucha,
Teraz kiedy Modeſtę twą maſz na przedaży,
Moy Pan ią, Puſtak ciebie, kupować ſię waży.
Reginko; za Modeſtę, Tyſiąc złotych w worku,
A za ciebie ci daię, darowiznę Dworku.
Jednym targiem za żony, kupuię was obie,
Modeſtę Panu memu, a Reginkę ſobie.
Przedawałaś mi Panią, kupuię z nią ſługę,
Nie rozłączam ich, płacę, y iedną y drugę.

REGINKA.

Pokaż piękne to złoto, obrączki y ranty,
Swiadczą że Pan y Puſtak, oba nie furfanty.
Gdzież Dworek? czytam: *Właſny moy Dworek we Lwowie,*
Y Grunt przy nim, ktory ſię Stateczyzna zowie,
Co go ograniczaią, dwa wielkie gościńce,
Statecki darem daię, na wieczność Regince.
Jeżli ſerca Puſtaka, nie gardząc ofiarę,
Dziś mu poślubi miłość, posłuſzeńſtwo, wiarę.
Złotko, Dworek, y Puſtak, ſą to nie złe rzeczy,
Ten targ Regince, ſpoſob życia ubeſpieczy.
Poydę za ciebie; ale nie na imie zgubne,
Ni oślep; lecz kontrakty takie zawrę ślubne:
Wprzod niżeli Reginka poydzie za Puſtaka,
Stawa dziś między niemi Intercyza taka.
Puſtak będzie pracował, na to z potem czoła,
Aby Reginka była, ni głodna, ni goła.
Starac ſię pilnie będzie, aby nowe ſtadło,
Po ludzku ſię noſiło, mięſzkało y iadło.

PUSTAK.

Zgoda; ale też Waſzmość, maſz grzędy w ogrodzie,
Sadzić, ſzyć, prać, a tak nam, bieda nie dobodzie,

Niehc

Niech nowe ſtadło pracą, z ſobą ſię podzieli,
Puſtak będzie pilnował Panow, ty kądzieli.

REGINKA.

Puſtak będzie Reginkę, ćcił y kochał z Duſzy,

PUSTAK.

Cźcić cię będę, uſłyſzyſz często uczciwſz uſzy.

REGINKA.

Jeźli ſię kiedy Puſtak zbytecznie opiie,
Reginka za to kiiem, boki mu obiie.

PUSTAK.

Zgoda, kiedy za ſwoy groſz, to w ten czas powoli,
Bić mię wolno, lecz tylko poki nie zaboli.

REGINKA.

Puſtak będzie ſpokoyny, z nikim ſię nie zwadzi,
Wierny będzie w uſługach, Panow ſwych nie zdradzi.

PUSTAK.

Nie zdradzę Panow moich, y nie przedam cnoty,
Za taler bity, chyba za czerwony złoty.

REGINKA.

Reſzta potym: Modeſta idzie, niżli wkroczy,
W te progi, ty z tąd prędkim krokiem, idź mi z oczy.
Ja ſię z nią o twym Panu wygadam, wyſzepczę,
Y affekt iey dla niego, wybiegam, wydepczę.

SCENA DRUGA.

REGINKA, y MODESTA.

REGINKA.

Wieſzże kochana Pani, że konkurent nowy,
U nog twych, w krotce ſwoiey ukłon złoży głowy,
State-

Statecki ſię nazywa, a cała Warſzawa,
Powſzechnemi odgłoſy, pochwały mu dawa.
Twoy Ociec, ma go bardzo ſzacować y kochać,
Uyrzawſzy go, z pociechy, miał płakać y ſzlochać.
Bo poki Oyca iego, duch przebywał w ciele,
Oba ci ſtarcy byli, wielcy przyiaciele.
Niewiem iak Niebo zrządzi dozgonne twe loſy,
Wiem że powſzechne chwalą, Stateckiego głoſy.

MODESTA.

Wyrokow Nieba, doli ſwoiey, nikt nie zgadnie,
BOG naprzod, potym Ociec, ſzczęściem moim władnie,
Nie mam dotąd, y nigdy mieć nie chcę ſwey woli,
Poki zamęście moiey nie ukaże doli.

REGINKA.

Swięte to ſłowa, godne na cedrze y złocie,
Bydź wyryte, na wieczne pochwały twey cnocie,
A te, ktore ſłuchaią, y Oyca y Matki,
Ubłogosławia Niebo, dobrą dolą dziatki.
Twa Rodzicielka dawno, pod ſmutnym grobowcem,
Złożona, Oyca twego uczyniła Wdowcem.
On ci Oycem y Matką, kocha cię ſerdecznie,
Miłośći iego możeſz podufać beſpiecznie.
Całym ſercem ci ſprzyia, z nikim go nie dzieli,
Bo mu wyroki Niebios inſze dzieci wzieli.

MODESTA.

Kocham za to Reginkę, że mi ſię odważa,
Prawdę mowic; że Cnoty w mym ſercu pomnaża.
Uznaię Oyca mego affekt bardzo wielki,
On mię ukochał ſercem ſwym, y Rodzicielki,
On gdyby mi rozkazał, nie zmarſzczywſzy czoła,
Tak na śmierć, iak na gody, poſzłabym weſoła.

O no-

O nowym Kawalerze ze mną przez nie mały
Czas mowił, bardzo wielkie daiąc mu pochwały.
Statecki ieſt cnotliwy, czyś nie uważała,
Młodziana, com dziś na Mſzy obok z nim klęczała?
Ten ſam ieſt,

REGINKA.

Co miał kontuſz białego koloru,
Zupan ponſowy, Młodzian pięknego pozoru.

MODESTA.

Ten ieſt, dziſiay takiemi okryty ſukniami,
Oycu padł do nog o mnie, proſząc go ze łzami.
A poty u nich leżał, aż dobra otucha,
W nim niby nie wſkrzeſiła, y życia y ducha.
Przyſięgał ſię że nie znał, co to ieſt kochanie,
Y że myślił w Młodzieńſkim żyć y umrzeć ſtanie.
Ze iak tylko mię dziſiay w Kościele obaczył,
Zakochał ſię, ten co ſię na miłośc iunaczył.
Ze ſerce iego dotąd ſwobodne y wolne,
Y na moment nie było oprzeć mi ſię zdolne.

REGINKA.

Nie trzeba tu iuż pytać, ani mowić wiele,
W tym gdzie pierwſze poznanie, będzie ślub Kościele.
Dziſiay, wſpolne dozgonney miłości ofiary,
Ponieſiecie przed święte Ołtarze u Fary.
Ja proſić będę BOGA, gorącemi modły,
Aby tak piękney pary zamyſły ſię wiodły.
Ale Statecki idzie do ciebie w zaloty,
Z twarzy miłość, a z oczu iego patrzą Cnoty.
Wſpaniała iego poſtać, przyiemne weyzrzenie,
Pięknieyſzey ieſzcze Duſzy, ſą to grube cienie.
Będzie tu dość cnot z wami, ia od was odchodzę,
Miłość nie lubi świadkow, ia wam nie przeſzkodzę.

SCENA TRZECIA.

MODESTA, y STATECKI.

STATECKI.

Gdy do nog twych pierwſzy raz, ſkłaniam moią głowę,
Serce, tłumiąc me myśli, przerywa mi mowę.
Zali ſię że me ſłowa, nikczemne y liche,
Słabſze ſą niżli żądze, gorące choć ciche.
Piękność twarzy, wdzięk cudny, ślicznych twoich oczy,
Płeć śnieżna przycieniona, czarnością warkoczy.
Uſta co gaſzą roże farby piękniey ſzemi,
Pokazuią w oſobie twey, Niebo na ziemi.
Dziś rano u Swiętego, widząc cię Ołtarza,
Pierwſzym raz miłość poznał, iak ſerca rozżarza.
Jak w iednym oka mgnieniu, nakſztałt błyſkawicy,
Przeſzła do ſerca mego, od twoiey zrzenicy.
W każdym twoim ruſzeniu, w każdym twym obroćie,
Cnota piękności, piękność, luſtr przydaie cnocie.
A miłość co me ſerce, zapala y ſuſzy,
Przekłada nad urodę, piękność twoiey duſzy.
Gdzie ſtąpiſz tuż ſą z tobą, nieodſtępne wdzięki,
Czcić w tobie każeſz śliczne dzieło, Boſkiey ręki.
Ja twą miłością pałam, lecz mdleię z boiaźni,
Gdy ci o dożywotniey, śmiem wſpomnieć przyiaźni.
Albo mi życie dadzą, uſt twoich wyroki,
Albo w groby mych przodkow, wpędzą mię bez zwłoki.

MODESTA.

Nie gardzę ſercem twoim, lecz moim nie władam,
W rękach Oycowſkich, loſy życia mego ſkładam.

Ze zaś młodź zacną, co się tu ciśnie z miłością,
Przewyższasz cnotą, sercem, rozumem, grzecznością,
Wiedz, że w mych Konkurentow, rzędzie y kolei,
Tobie tylko łask moich, pozwalam nadziei.
Nad wszystkich cię przekładam; a tacy przeklęci,
Jak Umizgalski; niechay przepadną natręci.

STATECKI.

Za nic poczytam Krolow, berła y Korony,
Cyfrą są teraz u mnie, y Państwa y Trony.
O resztę świata nie dbam, gdy twoy affekt stały,
Serdecznym mym zamysłom, Nieba obiecały.

MODESTA.

Porzuć ten płonny dyskurs, y tę resztę świata,
Milcz y ufay, moy Ociec idzie, masz w nim swata.

SCENA CZWARTA.

MODESTA, STATECKI, y STARUSZKIEWICZ.

STARUSZKIEWICZ.

Jakże Corko? Ten Młodzian, grzeczny, urodziwy,
Byłże do ciebie, w swoich zamysłach szczęśliwy?
Wolałbym umrzeć, niżbym przymusu y groźby
Zażył, Oycowskie tylko, niosę za nim proźby.
Dom, y plemie poczciwe, cnoty, y uroda,
Młodziana tego niech mym proźbom, wagi doda.
Zycia by mi przybyło, gdybym Ociec stary,
Widział prędkie złączenie, tak kochaney pary.

MODE-

MODESTA.

Zamysłom Stateckiego, znać Niebo dogadza,
Gdy mi Ociec y ſerce, ſprzyiać mu doradza.
Nie znałam nigdy, co ieſt kochanie, atoli,
Zaczynam ſię z miłością poznawać powoli.

STATECKI.

Nieba! Umrę z radości!

STARUSZKIEWICZ.

Przerwęć te amory,
Do ſpoſobnieyſzey czaſu, odłożyſz ie pory.
Corko moia kochana, chceſzże ſię zaręczyć,
Z Stateckim? ktorego ci, śmiele mogę ſtręczyć,
Bo cię na moią miłość, y na moy włos ſiwy,
Upewniam, że ten młodzian, będzie mąż cnotliwy.

MODESTA.

Zawſzem ia Oycze twego, ſłuchała ſkinienia,
Zycia ci nie odmowię, nie tylko pierścienia.
Chętnie czynię z Stateckim, te miłe zamiany,
Gdy tak radzi y każe, moy Ociec kochany.
Po Stateckiego ſercu, pięknym y wſpaniałym,
Trzymam, że mię affektem, kochać będzie ſtałym.
Ze iak ſobie dozgonne, śluby poprzyſiężem,
Nie przeſtaniem ſię kochać, aż w grobie polężem.
Niech Zonę Mąż tak lubi, iak ia będę Męża,
Niechay ſię ſtadło wzaiem, miłością zwycięża.
Nieprzeſtannych affektow, y Męża y Zonki,
Znakiem będą okrągłe, bez końca pierścionki.

STATECKI.

Serce me co żądzami, mięſza ſię y tłumi,
Same ſię nie zna, ſame ſiebie nie rozumi.
Miłość, radość, nadzieia, y boiaźni trocha,
Dzielą me ſerce, że ſię cieſzy, lęka, kocha.

Płaczę z pociechy, z słodkiey umieram miłości,
A szczęście me zważaiąc, ożywam z radości.
Rozum moy, tłumem myśli słabi się, y nuży,
Jak się Modeście z łask iey, Statecki wysłuży.
Serce mu radzi tego chwycić się sposobu,
Aby się wysługiwał, od slubu do grobu.
Ta ktora serce moie, zniewala y rani,
Modesta Stateckiego, dożywotnia Pani.
Choć ma rozum Anielski, iednak nie przenika,
Jakiego w swe poddaństwo, bierze niewolnika.
W słodkich iey więzach przeszła, wolność mi obrzydła,
Stan Młodzieński w mych oczach, iest nakształt strászydła.
Kiedy go sobie wspomnę, bardzo mię to boli,
Zem dawno tak kochaney, nie szukał niewoli.
Poki moiey osnowy, Parka nie doprzędzie,
Miłość moia wzmagać się, y powiększać będzie.
A gdy do grobow święte, przyimą mię Kościoły,
Y po śmierci me będą, kochać cię popioły.

STARUSZKIEWICZ.

Już teraz kontent umrę, a w grobowe cienie,
Chętnie poydę, gdy każe Boskie przeznaczenie,
Kiedy do iedynego moiego dziecięcia,
BOG mi pozwolił dobrać, cnotliwego Zięcia.
Prędzey niż za dwie godzin, w dożywotniey parze,
Sluby czynić przed Swięte, poydziecie Ołtarze.
Odmieni się z Młodziana, Zięć moy w Oblubieńca,
Corka ślubną koronę, wezmie namiast wieńca.
A gdy was wyrok Nieba, na kobiercu stawi,
Niech za Oycowską proźbą, BOG was błogosławi,
Bliska iest tego czasu szczęśliwego doba,
Ale Natręt tu idzie; uchodźmy z tąd oba.

SCENA PIĄTA.

MODESTA, y UMIZGALSKI.

U M I Z G A L S K I.

Ach Modesto! iak straszna, wieść mię w tym momencie
Doszła; o nowym do mey Pani, Konkurencie.
Nie trwożyłem się dotąd, choć Młodzianie raźni,
Ubiegali się ze mną, do twoiey przyiaźni.
Ale że Stateckiego, twoy Oiciec iest swatem,
Żalę się na mą krzywdę, przed Niebem y światem.
Jeźli mi zaś Modesty, niźli ten dzień minie,
Nie odstąpi Statecki; pewnie z rąk mych zginie.

M O D E S T A.

Nie Męszczyzni Natrętow, boią się, lecz Damy,
Stateckiemu uczynisz strach, iak z myszey iamy.
Zebyś zaś, y moiego nie obrażał oka,
Stronić od ciebie będę, iak stronią od smoka.
Wszystkim mym Kawalerom, zawsze czynił wstręty,
Z Piekła na mnie nasłany, ten Natręt przeklęty.

SCENA SZOSTA.

U M I Z G A L S K I S A M.

Nie tak łatwo miłości mey ogień przydusisz,
Jeźli za mnie iść nie chcesz, to za mnie iść musisz.
Zażyię zdrady, szachow, zbrodni, y matactwa,
Ażebym cię w prowadził, w poniewolne swactwa.
Obaczysz w poł godziny, iaki tuman puszczę,
Jak kłucąc Corkę z Oycem, gniew iego podusczę.
Jak Rodzicielskie serce, na ciebie zakrwawię,
Y iak okropną scenę, w twych oczach wystawię,

Straſznieyſzy Umizgalſki, będzie w twoim Domu,
Niżli ogniſty pociſk, piorunu y gromu.
Pełno w nim będzie niezgod, rozterkow y kłutni,
Wſzyſcy w nim chodzić będą, poſępni y ſmutni.
Wſzyſtek wzgory nogami, ten twoy dom wywrocę,
Poniechęcę, porożnię, zwadzę, zbałamucę.
A ty coś mi mowiła, że gadaſz iak żaczek,
Doznaſz żem ia nie taki, iak mniemaſz proſtaczek.
Ten Natręt, ten twoy ſzkolny żak, tak cię odurzy,
Ze Modeſta od żalu, we łzach ſię zanurzy.
W gniewie mym, Stateckiego ſtraſzniebym ponękał,
Gdyby był większy niż ia tchorz, a mnie ſię lękał.
Sprobuię; a ieźli ma ſerce; to z złey chwili,
Uciekniemy, albo ſię, będziemy proſili.

AKT CZWARTY.

SCENA PIERWSZA.

REGINKA, y STATECKI.

R E G I N K A.

Dozgonne obowiązki, y nayniżſze dzięki,
Winnam ci ieſt za twoiey, ſzczodrobliwość ręki.
Dworek y złoto ważne, dałeś mi wſpaniale,
Teraz mi twe rozkazy, daway poufale.
Nie minie cię Modeſta, gdyś przed ſobą w ſwaty,
Poſłał Pannie ſłużebney, z rantami Dukaty.
Choynego ſerca twego, przymioty chwalebne,
Będą Młodzianom Panny, wyſtawiać ſłużebne.
Aby wſpaniałym twoim, pięknie idąc śladem,
Ważne nam rozdażali złoto, twym przykładem.

STATE-

STATECKI.

Grzecznaś ieſt, że ty czaſem, nie gardziſz tych fraſzek,
Ale niewieſzże, co waſz wyrabia mi Gaſzek.
Jak chytrze Umizgalſki, płata mi ſztuk wiele,
Aby moie z Modeſtą, nie doſzło weſele,
W tym momencie mi nową, wyſtawił robotkę,
Przez podobnego ſobie, ſzalbierza y plotkę.
Ten oſzuſt głosi płonne, fałſze y matactwa,
Ze Natręt Umizgalſki, ma wielkie bogactwa.
Czyta liſt ktory Poczta, przynioſła oſtatnia,
Ze Gaſzka śmierć zbogaca, Wuiowſka y bratnia.
Tą wieścią, tak Modeſty Oyca, zbałamucił,
Ze ſię boię, żeby ſię z zaręczyn nie zrzucił.

REGINKA.

Nieboy ſię, tego ptaſzka w naſze ſidła złapiem,
A co go zowią gaſzkiem, my go zrobiem gapiem.

STATECKI.

Dawno nim ieſt; lecz nie wieſz, gdy ſię chytrym uda,
Gap; iaka z nim w robocie, ieſt praca y zmuda.
On bezwſtydnie cię zdradzi, on cię zproſta utnie,
On poczyta za honor, matactwa y kłutnie.
On ma za wſtyd bydź człekiem poczciwym y ſkromnym,
On ſobie ma za honor, że ieſt wiarołomnym.
On ſię iak z wielkich czynow, pyſzni y nadyma,
Gdy ſto razy przyſięże, y raz nie dotrzyma.
A gdy ſobie tak chytrze, poczyna y radzi,
Kogoż on nie oſzuka? kogoż on nie zdradzi?

REGINKA.

Inſze ieſt moie zdanie, u mnie gap y proſtak,
Choćby też naychytrzeyſzy, to wart, co zły ſzoſtak.

STATECKI.

Zoſtawmy to czaſowi, obaczyſz w robocie,
Ze ſzalbierz choć roſtropney, ſztukę wytnie cnocie.

Wiem

Wiem to że Umizgalſki, nosi liſt zmyślony,
Ze na niego po Wuiu ſpadły milliony.
Omamia Teścia mego, podobno moy zwlecze
Slub, a potym nam z oczu, zniknie y uciecze.
Tak zwykł czynić gap chytry, o iutro nie pyta,
Każdey chwili, iak brzytwy tonący ſię chwyta.
Mądry by tak nie czynił; gap nie patrzy końca,
Nie dba że będzie błaznem, po zachodzie ſłońca.
Byleby choć na godzin kilka, przed wieczorem,
Mogł ſięucieſzyć ſzczęścia, obłudnym pozorem.
Otoż widziſz iak ciężcy, na rozumnych tacy,
Są gapiowie, co chytrzy ſą, chociaſz proſtacy.

R E G I N K A.

Krotkoć odpowiem ręcząc, że iak w ſidło ptaſzka,
Ułowi dziś twoy Puſtak, Natrętnego Gaſzka.

S T A T E C K I.

Cyt, Umizgalſki idzie: marſem patrzy, wąſa
Pociąga, a nim na mnie, iak ſum iaki trząſa.
Wprzod niby ſię go zlęknę, potym go poſtraſzę,
Smiech ſobie z niego zrobię, niżeli go zgaſzę.

SCENA DRUGA.

STATECKI, REGINKA, UMIZGALSKI.

U M I Z G A L S K I.

Gdzież ieſt ten śmiałek, ktory w żądz ſwoich zapale,
W moiey Modeście kochać, ważył ſię zuchwale,
Mam na kark iego oſtre, bułaty, y miecze,
Dozna iak ręka moia, zabiia y ſiecze,
Gdzie ieſt Statecki; abym dobywſzy bułata,
Jak świecę go zamachem, iednym zdmuchnął z świata.

Zginio-

Zginiony ieſt, á chyba że u nog mych klęknie,
Wſpaniałe ſerce moie od litości zmięknie.
Chyba że u ſtop moich, ſzukać będzie uſzy,
A u nich leżąc, moie miłoſierdzie wzruſzy.
Chyba że łzy wyleie, y rzewnie zapłacze,
A ięczeniem do mego ſerca zakołacze,
Dopiero ſię namyślę; ieźli go w pokoiu
Nie zoſtawię; krwi iego nie wylawſzy zdroiu.
Turczyn y Tatar, mego zna oſtrze pałaſza,
Ktorym nie raz Dnieſtr ręka zakrwawiła naſza.
Gdy oczyſzczaiąc z Pogan, obfite Podole,
Zkrapiałem nie raz buyne krwią Turecką role.
Kogoż tu widzę? nie ieſtze to ten zuchwalec?
Czyś ty ſam ieſt Statecki? czyś iego ſłużalec?

R E G I N K A.

Statecki drży ze ſtrachu, y wſzyſtek ſię chwieie,
Jak trzcina, kiedy na nią wiatr gwałtowny wieie.

U M I Z G A L S K I.

Tak właſnie drzał, Chocimſki Paſza pod Kamieńcem,
Gdym znoſząc go, zwycięzkim zdobił ſkronie wieńcem.
Krew Turkow do Stambułu, Dnieſtr przez czarne morze
Nioſł; y w ten czas mnie ſławił na Ceſarſkim Dworze,
W ten czas bramy Stambulſkie zadrżały trzęſieniem
Ziemi; czy mym zwycięzkim ztrwożone imieniem.

R E G I N K A.

Wſzak to w ten czas w Stambule, takie ſtrachy zdieły
Koguty; że przez trzy dni nie iadły, nie pieły.
Y w ten czas na kokoſze takie trwogi padły,
Ze trzy dni nie kwokały, y trzy dni nie iadły.

U M I Z G A L S K I.

Tak było; ale z czego, ten tchorzem podſzyty,
Statecki, śmiać ſię zaczął, co wprzod ſtał iak wryty?

Jeżeli nie chce zginąć, niech mi u nog lęże,
A Modesty na wieki, niech się odprzysięże.

STATECKI.

Smiecię się, że gdy iesteś, gap wielki, tchorz płochy,
Jaki, y podłe ludu szpecił by motłochy.
Chcesz się czynić Junakiem, kłamiesz tak szkaradnie,
Ze twe łgarstwo, naygrubszy rozum pozna snadnie.
Z niewyparzonych twoich ust, z szalbierskiey gęby,
Trzebaby ięzyk wywlec, powybiiać zęby.
Ostrzaś mey szabli nie wart, ale płazem boki,
Obłożę ci, pamiętne dam ci na dwa roki.

UMIZGALSKI.

Po tak nieznośnym mego honoru afroncie,
Na nielitość Waspana, poydę płakać w koncie.
Teraz mi męstwo moie, z serca wpadło w nogi,
Radzi mi, bym się prędko wyniosł, za te progi.
Gorzey tu, niż z Turkami, tam rany y krysy,
Nie bałem się, uzbroion w szyszaki, w kirysy.
Y tu od stop do głowy, uzbroy mię żelazem,
Nie ustraszysz mię pięścią, kułakiem, ni płazem.

STATECKI.

Nie poydziesz ztąd, aż dobrze obity y siny,
Ja będę miał wesele, á ty przenosiny.
Gdzież to męstwo? ta dzielność? ktorąś Dniestr zakrwawił,
Ktorąś się pod Kamieńcem, y w Stambule wsławił?

UMIZGALSKI.

Utoneła mi w Dniestrze, ale ztąd krok skory,
Niosę, bo na straszliwe wiatry bardzom chory.
Z złego razu umykam, uchodzę odwodem.

REGINKA.

Uchodź, y z całym tchorzow Umizgalskich rodem!

Lecz

Lecz patrzmy, bo bezwſtydnych ten zwyczay natrętow,
Jakich ieſzcze zażyie matactw y wykrętow.

SCENA TRZECIA.

STATECKI, REGINKA, PUSTAK.

P U S T A K.

Wiecie, że gdzie potrzeba, Puſtak wſcibi noſek,
Donoſzę wam, żem pewnych zaſłyſzał pogłoſek,
Ze Natręt, gdy zmyślone bogactwa wylicza,
Przerobił na kopyto ſwe Staruſzkiewicza,
Obiecał ſto tyſięcy, zapiſać Modeście,
A on, nie ma kredytu, na trzy groſze w Mieście.
Uwiodł, y w ſidła ſwoie tak uwikłał Dziada,
Ze mu wierzy, że wielką ufność, w nim pokłada,
Ale teraz przyznacie, Puſtaka za mayſtra,
Obaczywſzy, co w ſobie ta zawiera tayſtra.
Wlazł w nią Pan Umizgalſki, y iuż tu w niey dyſzy,
Lecz niech tego ſekretu, nikt nie wie, ni ſłyſzy.

R E G I N K A.

Pokaż tayſtrę.

P U S T A K.

Czy nie wieſz tryb Warſzawſki, że tu,
Nie godzi ſię y żenie, wyiawiać ſekretu.
Ale niech Pan moy śmiele, do tey tayſtry ſięga,
Bo co w niey ieſt, y ſekret, do niego ſię ściąga.

S T A T E C K I.

Czytam: Ten liſt należy, do Dawida Kupca,
Umizgalſki go piſze; czytaymy liſt głupca:
Proſzę cię przyiacielu, zmyśl prędko liſt nowy,
Tym, co pierwſze, dowcipem, mądrey twoiey głowy.

Ze mi moy Woy mniemany, złotem w gotowiźnie,
Oprocz Dobr; sto tysięcy, zostawił w puściznie.
Przyszliy mi go, za moment, ia gdy w lepszey dolie
Stanę; iak wezmę Posag, udzielę go Tobie,
Umizgalski. Co czytam! znam rękę; ach Nieba!
Wam naprzod, za me szczęście podziękować trzeba,
Wam zawdzięczaiąc, mego łaskawość wyroku,
Od cnoty y iednego nieodstąpię kroku.
Kochany moy Pustaku, odtąd aż do grobu,
Chyba rydel z motyką, rozłączy nas obu,
Daięć poczciwe słowo, przed światem y Niebem,
Ze się z tobą ostatnim dzielić będę chlebem.

PUSTAK.

Zły ten kontrakt; á Nieba niechay go przemienią,
Nie chlebem, dziel się ze mną, lecz tłustą pieczenią.

STATECKI.

Wszystko to będzie, ale możnasz się dowiedzić,
Jak ci szczęście zdarzyło, taki list wyśledzić?

PUSTAK.

O mędrca mnie rownego, trudno się dopytać,
Nikt na świecie nie umie, lepiey iak ia czytać.
W myślach zaś nikt nie tęższy, á iakem cnotliwy,
Powiem ci, żem y z charty y z strzelbą myśliwy.
Myślić, czytać, te rzeczy dwie; są mędrcow kresem,
Więcey nie umiał Plato, z Arystotelesem.
Słuchay mych nauk; pierwsza ta myśl była moia,
Aby piękna Modesta, była żona twoia.
Druga myśl ta, żem widział częstego posłańca,
Do Gaszka, od Dawida Warszawy mieszkańca.
Trzecia myśl, że Pan Gaszek, szalbierz oczywisty,
Fałszywe Dawidowi zmyślać kazał listy.

Po

Po tych myślach z wesołą y twarzą y czołem,
Wszedłszy do Pana Gaszka, tak mowić poczołem;
Dawid, iuż mię do ciebie, posyła trzy razy,
Pytaiąc, ieżli iakie nie dasz mu rozkazy.
On zaraz list napisał, á pospiesznym krokiem,
Kazał mi iść, y respons przynosić, przed mrokiem.
Tak Pustak mądry, w ciasne wprowadził go sudki,
Tak myślą wielcy ludzie, y tak łowią dudki.
Tu uważay mą grzeczność; u nog Gaszka czapkę,
Z ukłonem Pustak złożył, za to że wpadł w łapkę.
Poty myśli Pustaka z szczęściem twoim sforne.
Drugi przymiot w tym Mędrcu, czytanie wyborne.
Poszedłem prędko z listem, do skrytego kątka,
Oddarłem papier w koło, gdzie była pieczątka.
Potym wciąż go czytaiąc, anim się zaiąknął,
A w kilkunastu wierszach, tylkom raz odkrząknął.
Nigdy w Areopagu, łepiey nie czytano,
Kiedy całemu światu naukę dawano.
Nigdy z większą łatwością, listy Cycerona,
Tullia Mowcy tego, nie czytała żona.
Jak Pustak czyta, nikt tak czytaniem nie słynie,
Bo z ust Pustaka, słowo każde, niby płynie.
Pustak nie chce być własnych swych przymiotow chwalca,
Ty sam przyznay, iakiego masz ze mnie służalca.
Czy nie takiegoż, ktory o co spytasz, powie,
A nigdy nie wie, co iest mowić, iak się zowie.
Czy nie takiego; ktory gdy usta odmyka,
Nigdy nie rzecze, mam to, na końcu ięzyka.
Twoy Pustak gdyby Grekow zasiągnął był lata,
Byłby poczytan między siedmią Mędrcow świata.

STATECKI.

Tyś mi Mędrzec, przyiaciel, tyś mi ieden ze sta,
Gdyś to zrobił, że moia dziś będzie Modesta.

AKT PIĄTY.

SCENA PIERWSZA.

UMIZGALSKI, y MODESTA.

U M I Z G A L S K I.

SWiadczę ſię łzami, w ktorych zatapiam zrzenice,
Y ſercem mym, nieznośne cierpiącym tęſknice,
Ze ſię w ſmutnych mych myślach zaſzlocham, zażalę,
Kiedy ſię choć na moment, od ciebie oddalę.
Teraz; gdy ſię pod twoie niſko ſkłaniam ſtopy,
Ociec twoy, zaraz za mną poſpieſza w też tropy,
Powie ci o mnie, lepſze niż przedtym nowiny,
Tak to odmienia ſzczęście, czas iedney godziny.
Spadki wielkie po moim y Wuiu, y Bracie,
Łzy moie oſuſzaią, po tych krewnych ſtracie;
Gdy mi na to twoy Ociec, kazał ſię ośmielić,
Abym ſię ważył z tobą niemi ſię podzielić.
Teraz; twey y Oycowſkiey łaſkawości wdzięczny,
Smiem pod twe nogi rzucić, zapis ſtotyſięczny,
Ufaiąc; że mym ſercem nie wzgardziſz, bo przecie,
Ma iakąś cenę ſerce w młodości ſwey kwiecie,
A w ten czas nayſzczęśliwſze, zwykły bywać ſwactwa,
Kiedy z niemi ſpołkuią młodość y bogactwa.

M O D E S T A.

Bardzo ſię myliſz, w twoim rachunku y zdaniu,
Gdy taxę kładzieſz ſercu, y cenę kochaniu,
Widzę twoy zły charakter; gdy z twemi przymioty,
Chełpiąc ſię, zapomniałeś między niemi cnoty.
Wiedz o tym; że z gornego Niebioſow wyroku,
Dwa ſerca naſze, tak ſą odmiennego toku.

Ze

Ze choćby ich na świecie było tylko dwoie,
Nie mogłyby się zcierpieć, te serca oboie.
A nie masz tyle piasku w morzu, w lasach liści,
Jle iest w mym do twego serca nienawiści.
Gdy zaś za Oyca wolą, za Niebios zrządzeniem,
Już się Statecki, moim zaszczyca pierścieniem,
Wiedz o tym; że wzaiemne serc naszych zadatki,
Chyba życia naszego rozerwą ostatki.
O twych zaś ogniach mowić; masz moy zakaż groźny,
Inaczey; twą zuchwałość, przypłaci żal poźny.

UMIZGALSKI.

Doświadczasz serca mego, czy się twey nie wzdrygnie,
Niełaski, y w miłości swey, czy nie ostygnie.
Ale, pierwey się Wisły wspak obrocą biegi,
A Warszawskie porzucą, y osuszą brzegi.
Pierwey wodą zapalać będziem, gasić ogniem,
Niż się twą surowością, przełamiem, lub pogniem,
Jmeś na mnie do niełask, y do gniewu prętsza,
Tym iest w mym sercu miłość, Modesty gorętsza.
Bo mały ogień w strasżne płomienie wybuchnie,
Gdy z impetem na niego, potężny wiatr dmuchnie,
To mię zaś nic nie trwoży, tylko mię zadziwia,
Ze Statecki, zamysłom moim się sprzeciwia.
Ktoż to iest ten Statecki, względem mnie, y czyli,
Na rowney z sobą szali będziem się ważyli,
Pogodziłbym się prędko, z takim Jegomością,
Gdybym nad iedną moią dał mu rządy włością.

MODESTA.

Ostrożnie o Stateckim mow; boć się poszczęści,
Jeźli twą gębę, iego nie uskromią pięści.

SCE-

SCENA DRUGA.

UMIZGALSKI, MODESTA, y STARUSZKIEWICZ.

MODESTA.

ACh Oycze! chcesz o tego natręta y tchorza
Mowić mi? nad to mię twoy rozkaż upokorza!

UMIZGALSKI.

Jm dłużey u nog twoich wzdychać mi się zdarza,
Tym większym ogniem miłość, serce me rozżarza,
A im bardziey mię twoia surowość zażali,
Tym większym żądz płomieniem, serce me się pali.
Teraz gdy mię twoiego Oyca pomoc wsparła,
Oczy me osuszyła, y łzy me otarła.
Szczęście chęciom mym sprzyia iawnie y otwarcie,
Kiedy do Corki Oyca, ziednało mi wsparcie,
Młodość, rozum, bogactwa, zacność urodzenia,
Czynią mię przecież godnym, Modesty weyzrzenia,
Jle; że winny twoiey hołd oddaiąc cnocie,
Pod twe nogi Dobr wszystkich, rzucam dożywocie,
Z stem Tysięcy zapisu, nim więcey powoli,
Niebo mi, piękney świadczyć Modeście pozwoli.

MODESTA.

Prędzey bym sobie zmiię, iaszczurkę lub węża,
Niźli Umizgalskiego obrała za męża.
Y z swoim dożywociem, y swoim zapisem,
Niehayby z oczu moich, poszedł sobie z bisem.
Ten natręt uprzykrzony, ten oszust wierutny,
Tyran, co na dwie piękne serca, iest okrutny,

Moiey

Moiey y Stateckiego, przeſzkadza przyiaźni,
Choć wie, że nic nie wſkora, iak na złość nas drażni.

STARUSZKIEWICZ.

Corko; z dzieciństwa twego, uczyłem cię cnoty,
Chcąc w ſercu twym wkorzenić, chwalebne przymioty.
Cieſzę ſię, że Modeſta z mych nauk korzyſta,
Y że w niey iak dziedziczna ieſt, cnota Oyczyſta.
Widzę, że gdy do ciebie, Młodzian przyſzedł w ſwaty,
Wprzod pytaſz czy cnotliwy, potym czy bogaty.
Kiedy zaś Stateckiego, cnotom zalecenie
Sam dawſzy, zamieniłem ſam waſze pierścienie,
Wiem, że gdybym mu ſłowa niedotrzymać radził,
Pewniebym przez to cnotę, y Corkę mą zdradził.
Nie myślę o tym, krotkiey tylko ślubu zwłoki,
Żądam, niżli was złączą Niebieſkie wyroki.

M O D E S T A.

Filut co liſty zmyśla, ſzach co plotki ſieie,
Co w ſwych matactwach wſzyſtkie pokłada nadzieie,
Oſzuſt, co ſię zkądś wyrwał, od motłochu ludzi,
Tenże to me wyciſka łzy, twą cnotę łudzi?
Jego to takie ſztuki, płata mi złość wściekła,
Nikt nie wie, zkąd ten człowiek rodem, chyba z piekła.
Piſzeſz o Umizgalſkich Domie Herbarz Polſki?
Głuchy o nim Paprocki, y niemy Okolſki.
Nie zna go nikt w Warſzawie, Bankruta ma ſwata,
Dawida; a ſwe włości ma na końcu świata.
Wiem że przyſtoyność radzi, y z nią przyczyn wiele,
Bym ci ſię nie przykrzyła o prędſze weſele.
Niechcę przeczyć tey zwłoce, lecz niech mi ſię godzi,
Przełożyć ci przed oczy, co twey ſławie ſzkodzi.
Statecki wprędce tego, oſzuſta wyśledzi,
A ślub moy wieść o iego podłości uprzedzi.
Smiać ſię będą, że iedna oſoba tak podła,
Nas y na moment, ſzpetnym matactwem uwiodła.

SCENA TRZECIA.

STATECKI, STARUSZKIEWICZ, UMIZGALSKI, MODESTA. PUSTAK, REGINKA.

STATECKI.

Oycze pozwol! niech podłych ſług Miſtrzowych zgraia,
Na ſzubienicę tego prowadzi hultaia,
Czytay liſt, zważ, co zbrodnia tak ſzkaradna znaczy.
Potym dopuść, niech ginie Natręt, w ſwey roſpaczy.

STARUSZKIEWICZ.

Widzę liſt; Umizgalſki piſze, znam tę rękę,
Czytam; a iuż przeczuwam, mą hańbę y mękę.
Proſzę cię przyiacielu, zmyśl prędko liſt nowy,
Tym, co pierwſze, dowcipem, mądrey twoiey głowy.
Że mi moy Wuy mniemany, złotem w gotowiźnie,
Oprocz Dobr, ſto tyſięcy zoſtawił w puściźnie.
Przyſłiy mi go za moment, ia gdy w lepſzey dobie,
Stanę, iak wezmę poſag, udzielę go tobie.
Umizgalſki. Hultaiu iakżeś ſię odważył!
Zebyś mą ſtarość, ſztuką tak ſzkaradną zażył.
Y nie bałżeś ſię ſrogiey gniewnych Niebios kary,
Gdyś chciał twoim oſzuſtwem zhańbić wiek moy ſtary.

UMIZGALSKI.

Zginąłem; ale niech mię obronią od zguby,
Dziſieyſze Stateckiego, z Corką twoią śluby.

MODESTA.

Oycze ! pozwol niech Corka do nog twych ſię rzuci,
Niech nam kara Natręta, weſela nie ſmuci,
Zażyi litości, odpuść brzydkie przewinienie,
Będzie Umizgalſkiemu katem, złe ſumnienie.

STARUSZKIEWICZ.

Daruię wſzyſtko, bo wiem, że ſzachy y łgarze,
Okrutniey niżli kaci, złe ſumnienie karze.

PUSTAK.

Już Statecki z Modeſtą, odpędzili licho,
O Puſtaku z Reginką, dotąd ieſzcze cicho.

STATECKI.

Już nie będzieſz mym ſługą, ale przyiacielem;
Y z moim, twe z Reginką, chcę złączyć weſelem.

REGINKA.

Wielkie dzięki Waſzmości, za dobrą nowinę.
Lecz czy Umizgalſkiego uważacie minę?
Nicby to nie wadziło, bym tego Junaka
Zęby wzięła w prezencie od mego Puſtaka.
W nadgrodę, ktorym on dziś groził, poiedynku,
Chcę koniecznie od ciebie tego upominku;
Da mi zań Pani moia perełeczek ſznurek,
Nie boy ſię, wſzak maſz dobry, z piąciu palcow kurek.
Ten inſtrument, iak tylko ſilnie mu przyłożyſz,
Gładzey niż kurkiem, wraz mu ośm zębow wydrożyſz.
Zakręćno ſię Puſtaczku: zatrzey rękę: chuchni:
Nie ſtraſz go: nie męcz: gładko w ſame ząbki dmuchni.

PUSTAK.

Wtę mi gray. Umizgalſki, otworz trochę gęby,
Mey Regince twoie ſię podobały zęby.

Widzisz, że mam instrument dość zręczny y czysty,
Lepszego na twe dziąsła nie znaydziesz dentysty.
Otworz usta:

UMIZGALSKI: *scisnąwszy zęby* :
Nie mogę: ścięły mi się szczeki.

R E G I N K A.

Ha! ha! ha! bądź że iuż tym, czym iesteś na wieki.
My się cieszmy: a każdy niech ginie ze szczętem,
Kto się waży, bydź w słodkiey miłości, Natrętem.

ZYCIE

ZYCIE CZŁOWIEKA.

Nieſzczęſny; co go Matka z bolem rodzi
Człowiek; płaczący na ten świat wychodzi,
A przeczuwaiąc złego przykrość loſu;
Łączy ze łzami, ſkargę ſwego głoſu,
Wyciſnąwſzy ſię, z wnętrzności więzienia,
Krotki ma moment wolnego wytchnienia.
Aż zaraz, ledwie widzące świat dzicie,
Złe ſzczęście w ſciſſe, krępuie powicie,
Doznaie daley, co ieſt los człowieczy,
Pokarmu żywność, wypłacze, wybeczy,
Wyżey y niżey noſząc go kołyſka,
Fortuna ſwoie zaczyna igrzyſka,
Z tą mu ſpokoyność, z tą mu ſen przychodzi,
Co młodych rowno z ſtarymi uwodzi.
Potym po ziemi, okrakiem ſię włuczy,
Głupie; za bidą ſwą chodzić ſię uczy,
Jdąc upada, płacze; przecież znowu,
Jdzie, ucząc ſię wracać do narowu.
Wnet nowym kſztałtem, nieſzczęście ſię zrzędza,
Jdzie z nim do ſzkoł, płacz, kłopot, y nędza,
Tam mu Bakalarz, bidy wymyſł nowy;
Z tyłu napędza, rozumu do głowy.
W czytaniu oczom niezwyczayna męka;
W piſaniu, co ſię nie nałomie ręka?
Tak go w męczarnię ciągnąc poniewoli,
Rozbiera członki, wymyślnie zła doli.
Potym nas w rożne z bidą zſyła ſtany,
Tym każe ſprawiać obſzary y łany,
Za pługiem wołow prac czyniąc oſtatki,
Pocić ſię, gmerząc w wnętrznościach ſwey Matki.

Tego

Tego w żołnierſkim chcący trzymać bycie,
Mieniać mu każe za groſz, krew y życie,
A w krwawym boiu, będąc zboycą śmiałym,
Krzcić okrucieńſtwo, nazwiſkiem wſpaniałym.
Trzeciemu zleca, nadſługiwać możnym,
Dworzanem biegłym, frantem być oſtrożnym.
Skarbiąc ſe łaſki, obłudne y zmienne,
Dni przykre, nocy przebywać bezſenne,
A ſpoſob życia, obrawſzy ſe podły,
Zebrać ſowitſzey iałmużny, przez modły,
Przeklinać ſzczęście, idące oporem,
Z prożną nadzieią, włoczyć ſię za Dworem.
Tym kupczyć, raniey wſtawać niźli zorze,
O deſkę z śmiercią puſzczać ſię na morze,
A za kawałek, giętkiey żołtey ziemi,
Zpuſzczać ſwe życie z burzami morſkiemi,
Innym iako mnie, żyć każe wiek nudny,
Piſząc wierſz, częſto oporny y trudny,
Gryść wargi, trudzić biedzące ſię myśli,
Przeklinać pioro, co niezręcznie kryśli,
A wymęczywſzy wierſz wypracowany,
Drukować boiazń pracy ſwey, nagany
Potym cierpliwie znieść, od lada żaka,
Że praca wierſzow moich ladaiaka.
Wymyśla daley złe ſzczęście, gdy w parze,
Przed ſtraſzne Boga wiedzie nas Ołtarze,
A tam w przyſięgłą do śmierci niewolą,
Oddawać każe myśl, ſerce y wolą.
Y zwiodłſzy żonkę na powab zamęścia,
Dzielić z nią, troſki ſwoie y nieſzczęścia.
Dopieroż bieda, Małżonkow obſiędzie,
Uſzykowana w licznym dzieci rzędzie,
Mąż bieda, żona druga, to bied dwoie,
Z tych pełne będą młodych bied pokoie.

Jak

Jak wiele trzeba, pracy y ſtarania!
Do uczciwego dziatek wychowania.
Co ſię Małżeńſtwo nakłuci, natrudzi?
Zeby też w Domu było, iak u ludzi.
Zeby dziecięciu zoſtawić doſtatki,
Co trzeba pracy, y Oyca y Matki:
Niebacznych, że groſz przyſzły z potem czoła,
Uroni ſyna ochotka weſoła,
Y tyſiąc złotych wyoranych z pola,
Jedna zle grana ſtraci Pancerola.
Jeſzcze złe ſzczęście, y los kłopotliwy,
Męczy ſię z nami, chociaż iuż włos ſiwy,
Y do zachodu nachylone lata,
Bliżſzemi czynią, gornego nas świata.
Złe ſzczęście z ſtarych, wyprawia maſzkary,
Siodła nam noſy, kładąc okulary.
Oczom okienkiem patrzyć każe ſzklanym,
Na ſzczudle nogom, przywyknąć drzewianym.
A nim nas w ziemię, Boſki wyrok zaſzle,
W lecie ſłabości, w zimie cierpieć kaſzle,
A popruchniałe utraciwſzy zęby,
Zawczaſu w ziemi ſkładać, kości z gęby.
Aż też nas z koſą, chuda śmierć przydybie,
Jdź rzeknie, zkądeś wyſzedł, ſtary grzybie.
Mrzemy; a mały przyczynek z nas Ziemi
Przybywa, kośćmi w proch obroconemi.
Mieści ſię człowiek, wynioſły y dumny,
W pięciołokciowey kilku deſkach trumny.

O ROWNOSCI SZCZĘSCIA DOCZESNEGO.

POrzućmy błędy, á poſpolſtwa zdaniem,
Y gminu ludzi pogardźmy mniemaniem,

A ſzczę-

A ſzczęścia, ktore lud ſamemu Pańſtwu
Przywłaſzcza, rownie udzielmy Poddańſtwu,
Y wſzyſtkich ſtanow, rowną twierdząc dolę,
W iednakim ſzczęściu, kładźmy Tron y rolę.
Niebom powinne, ſpiewaiąc pochwały,
Że nas mieć wſzyſtkich ſzczęśliwemi chciały.
Nayczyſtſza z Bogiń, Damo bez obłudy,
Co cię czczą Mędrcy, á wzgardzaią ludy,
Prawdo; udzielna wſzyſtkich nauk Pani,
Przyim wierſz moy, na znak poddańſtwa y dani.
Nie opowiem ſię, z nim Apollinowi,
Ani uczynię ofiar Parnaſowi,
Dość będzie wierſz moy, chwalnym y ſzczęśliwym,
Gdy będzie twoim, gdy będzie prawdziwym.
BOG ieſt nas wſzyſtkich Ociec, z iedney Matki,
Z ziemi zlepieni, rodzoneśmy dziatki,
Każdy z nas, iednym ſpoſobem ſię rodzi,
Każdy przez wyiście duſzy, z świata ſchodzi.
Po śmierci, każdy z nas w proch ſię obraca,
A ciało ziemi, duſzę Bogu wraca.
W życiu też czyny duſzy, zmyſłow, ciała,
Wſzyſtkim iednakie moc Boſka nam dała,
Za cożby, ſzczęścia nieiednakie miarki,
Mieliśmy? poki nie ſprzątną nas Parki.
Y czemby w ſzczęścia ukrzywdzony dziele,
Jeden go mało człek miał, drugi wiele?
Nie wiem, z iakieyby naſz Ociec przyczyny,
Nie rownym ſzczęściem, podzielił ſwe ſyny?
A z iedney gliny, zlepiwſzy ſtworzenie,
Temu dał radość, temu utrapienie?
Y przywiązawſzy, ſzczęście do Korony,
Przeklął niedolą, pługi y zagony?
Ten Pan, co nie zwykł czynić oſob braku,
W czapce, w Koronie, w magierce, w Szyſzaku,

Nie

Nie umknął ludziom ſzczęścia, á na Tronie,
Nie dał go więcey, niźli na zagonie.
Y chcąc ſzczęśliwych, mieć kmiotkow y Panow,
Nie przywięzywał ſzczęścia, do ich ſtanow.
Rowna weſołość, śmiertelnym ſię zdarza,
W komorze chłopka, y w Zamku Ceſarza,
A radość, Panow nawiedzaiąc gmachy,
Zawita częſto, y pod wieyſkie dachy.
Oracz co radląc uznoi ſwe ſkronie,
Szczęśliwy może bydź, iak Krol w Koronie,
Y paſtuch, co go pożywi podarſze,
Może w ſwym ſzczęściu, wyrownać Monarſze.
Widziſz, to Niebios ſklepienie tak śliczne,
To iaſne Słońce, te gwiazdy tak liczne,
Mieſiąc, ſąſiada ziemi, co promienie,
Wzięte od Słońca, w naſze zſyła cienie.
Ta, co ſię oczom, przymila y wdzięczy,
W rożne kolory, ſtroyney piękność Tęczy.
Wſzyſtkie te światła, rzucaią iednaki
Blaſk między Krolow, y między żebraki.
Gdy ſię zieloną świat odzieie wioſną,
Gdy śpiewa ſłowik pioſneczkę żałoſną,
Gdy nowym głoſem kukułka zakuka,
Gdy drzewo niby z radości ſię puka,
Te łąki ſtroyne y w ziołka y w kwiatki,
Te choyney ziemi obfite doſtatki,
Krolow y kmiotkow, patrzącemu oku,
Rowny wdzięk czynią, z Boſkiego wyroku.
Jednym przeraża huczny obłok grzmotem,
Krola na Tronie, y chłopka pod płotem,
A kiedy poſzle głos ſtraſzny do ucha,
Piorun Ceſarza trwoży, iak paſtucha.
Gdy zaś ſwą wagą, y mocą gdzie zmierzy,
W Tron, czy w chałupkę, bez braku uderzy.

Zarowno ziębią, y wiatry y burze,
Chłopow w siermiędze, y Xiążąt w Purpurze.
Pasterz; gdy lubey y piękney Pasterce,
Z miłosną twarzą, odda swoie serce.
A na znak dobrze przyiętey miłości,
Z ust iey usłyszy, słowko wzaiemności.
Więcey radości, w swym sercu uczuie,
Niż Krol, gdy wielkie Państwa zawoiuie.
A gdy się z swoią kochanką wyswata,
Za nic poczyta sobie resztę świata.
Tęsknią Krolowie na Tronach, a kmiotka,
Ucieszy lada kiermasz, y ochotka.
Xiążęta dworem otoczeni wkoło,
Noszą pod Mitrą, zasępione czoło.
A chłopek, z iednym w stodole parobkiem,
Cieszy się miłym rąk swoich dorobkiem.
Y kilkanaście kop rachuiąc w gumnie,
Dostatkiem Krolow pogardza rozumnie.
BOG nasz y Ociec, chciał nas mieć na ziemi,
Nie wszystkich Krolmi, wszystkich szczęsliwemi,
Radość z pociechą, w każdym daiąc stanie,
Wymierzył rownie ukontentowanie.
A mocą, ktorey pioro nie okryśli,
Zamknął ie w sercu każdego, y w myśli,
Y kazał, żeby poty w nas mieszkało,
Poki się z duszą nie rozłączy ciało.
To szczęście, ktore dał nam wyrok Boski,
W prawdzie częstokroć, przeplataią troski,
Ale te, naszą sprawione robotą,
Wszystkich iednaką trapią nas gryzotą,
Y kłopot, ktory sam sobie człek knuie,
Serce tak Krola, iak kmiecia poczuie,
A w błędzie swoim, postrzegłszy się obie,
Szukaią szczęścia, y znaydą ie w sobie,

Ow

Ow więzień wzięty do taczek w kaydany,
Przeklina zrazu, los swoy opłakany.
Aż się z rozumem poznawszy powoli,
Smieie się w więzach, y śpiewa w niewoli.
W ten czas, gdy Xiąże błyszczący w kleynotach,
W prożnych taiemnie trapi się gryzotach,
Tamten szczęśliwy, w więzach y siermiędze,
Ten wszystek w złocie, skryte cierpi nędze.
Tak, w każdym stanie, na każdym urzędzie,
Szczęście iest, ale y nieszczęście wszędzie.
Swiat iest iak morze, a na rowney łodzi,
Wszystkim do portu, płynąć nam się godzi.
Ten port iest szczęście, Rozum styrem rządzi,
Kto z nim żegluie, na morzu nie zbłądzi.
A chodź rzucaią łodkę iego fale,
Nie rozbiie się na zdradliwey skale.
Y choć się trafi, że powstawszy nagle,
Burza pozrywa, y podrze mu żagle,
Wnet iego styrnik Rozum, skały minie,
A żeglarz z łodką do brzegu zawinie.
Ten zaś, co w płochym żądz swoich uporze,
Puszczać się waży, bez wiosła na morze,
A nie radząc się wiernego styrnika,
Rozumu, nurtow y skał nie unika,
Czy Krol, czy Xiąże, czy chłop na zagonie,
Nieszczęsny płynie, y łodź mu utonie.
Od iedney świata, aż do drugiey osi,
Każdy człek, w sercu swoim, szczęście nosi,
A ten dar Niebios w duszę naszę wlany,
Rownie podzielił Pan BOG między stany.
Rządź się rozumnie, sprawuy się poczciwie,
A w każdym stanie żyć możesz szczęśliwie.

GAY.

Ty, co w słonecznym, chłodzisz nas upale,
  Zpotniałe w cieniach osuszaiąc czoła,
Co cię w zwierciedle, czystych wod krzyształe,
  Natura stroi, w drzewka, w kwiatki, w zioła,
Co straconego, część piękności Raiu,
Pokazuiesz nam, rozerwi mię Gaiu.

Tam ściany z drzewek, sporządza natura,
  W zielone z liścia, stroiąc ie obicie,
Dach śliczna czyni gałęzi struktura,
  Podłogę kwiatem uściela obficie.
Y iak w pałacach, mieć muzykę moda,
Tam śpiewa słowik, a szumem gra woda.

Tam niepłatnego potrawy kucharza,
  Owoce w liczney rodzaiow rożności,
Ziemia gotuie, a Słońce dowarza,
  Drzewa przynoszą, częstuiące gości.
Ktorym natura, że z ochotą rada,
Ucztą od Czerwca, trwa do Listopada.

Od morza wyszłe, daie im napoie,
  Co się przez ziemię, do morza przechodzą,
Zywe, y w biegu, nie ustanne zdroie.
  Co nas, nad inne trunki, bardziey chłodzą.
Ktorych piy co chcesz, byś był w nich kąpany,
Z tak choyney uczty, nie poydziesz piiany.

Ty gaiu, żal moy, rozryway serdeczny,
  Otuchą szczęścia, ciesząc los okrutny,
Ze affekt Jris, znać będę społeczny.
  Ze czas wesoły, zluzuie czas smutny.

A nim

A nim twe liście, ieſienny wiatr zwieie,
Niech ſzczęścia mego ſpełnią ſię nadzieie.

ZRZODŁO.

Ty, co weſołość, w ſmutne wlewaſz Kraie,
Co z biegiem twoim piękność łąkom płynie,
Co miłym graiąc ſzumem, zdobiſz gaie.
Co wnoſiſz iakąś przyiemność, w puſtynię.
Wdzięczen ochłody, w gorącu y w znoiu,
Wierſzopis śpiewa, chwały twoie zdroiu.

Milſze ſą brzegi,
Ktore twe biegi,
W zwierciedle ſwoim ſtroią,
Czyſta twa woda,
Pięknośći doda,
Kwiatkom, co ſię z niey poią.

Kiedy ſe ſzczupak, igra w tym ſtrumieniu,
A wraz twe wody, ſłowik przelatywa,
Zadaieſz, miłą wątpliwość widzeniu,
Czy ryba leci, a ptaſzek czy pływa?
Tam wzrok złudzony, w przyiemnym zawodzie,
Rybę na drzewie widzi, ptaka w wodzie.

W gorączce ſerca, w miłości zapale,
Ciebie ſię radzą, y ſtarzy y młodzi,
W twym, przezroczyſto płynącym kryſztale,
Kto wart kochania, obaczyć przychodzi.
A choć iſtotnie, pokazuieſz twarzy,
Młodzi cię chwalą, a ganią cię ſtarzy.

Wierszopisowi, w pracy swey nadgrodę,
Na dowod twoiey wyświadczysz wdzięczności,
Gdy śliczną będzie przeglądać urodę,
Jris, szpeć ostrey minę surowości,
By znaiąc, że się twarz iey gniewem zmienia,
Łaskawsze na mnię rzucała weyrzenia.

ŁĄKA.

Co twe o lepszą, y ziołka y kwiatki,
W zgodney rożności zgromadzone licznie,
Wdzięczne rodzącey stroią łono Matki,
Co cię w kolory ubieraią ślicznie,
Przyiemna łąko patrzącemu oku,
Niechay się z twego nacieszę widoku.
Tam se byk młody,
Bieżąc w zawody,
Obszerne mierzy pole,
Rog wyrastaiąc,
Z wołkiem igraiąc,
Do Krwi ieszcze nie kole.

Pierś wyprożnioną,
Tam napełnioną,
Matka cielenciu daie,
Tam trzodzie trawę,
Oku Zabawę,
Pasterz widzący staie.

Na dnie zielonym, rozrzucane ładnie,
Kwiatki, na ukaz daiąca y wzory,
Natura, uczy dobierać nam snadnie,
Y w piękną zgodę, iednoczyć kolory,

Tak

Tak ręka, gdy nas Kwiatkow, zima zbawi,
Mienionych obraz, piękności wyſtawi.

Gdy kocham prożno, gdy wzdycham bez ſkutku,
Gdy ſzlocham, ięcząc w okrutney katowni,
Kiedy w nieznośnym ledwie żyię ſmutku,
Nieſzczęſne życie, z śmiercią kładąc w rowni,
Kiedy nie pewna myśl, w radach ſię błąka,
Cieſzy mię w żalach, y rozrywa łąka.

NOC.

Ty, co świat w czarne, przyodziewaſz cienie,
Po zeyściu ſłońca, daiąc nam żałobę,
A cieſząc w ſmutney,, ciemności ſtworzenie,
Odkrywaſz ziemi, Niebioſow ozdobę,
Ciemna noc, ślepey podchlebna miłości,
Zakryi w ſwych cieniach, Jris ſurowości.

Ciche twe chwile,
Niech ſchodzą mile,
W ſzczęśliwym mym kochaniu.
Co go dzień tłumi,
Noc przydać umi,
Y głos. y wdzięk, wzdychaniu.
Wſzak nocne cienie,
Czyſte płomienie,
Lepiey niż dzień wydaią.

Wſzak zpochodniami,
Do ślubu pary,
Y ſerc ofiary,
Przed Ołtarzami
Częściey w nocy ſtawaią.

Jeźli

Jeźli przykrości dzienne y kłopoty,
Noc dla mnie, niż dzień ſzczęśliwſza oſłodzi,
Jeźli miłemi, łaſk Jris powroty,
Przetrwane męki w biegu dnia, nadgrodzi,
Wezmę za zwyczay, ſpąc godziny dzienne,
A nocy nucąc, przepędzać bezſenne.